



IZABELA ŻUKOWSKA

# GOTENHAFEN



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO

IZABELA ŻUKOWSKA

# GOTENHAUSEN



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO



# ROZDZIAŁ

## 1

Pierwszy do świadomości zaczął przedostawać się ból. Nieustępliwy, dręczący, coraz mocniej obłapiał mózg i nie pozwalał, by rzeczywistość znowu rozplynęła się w ciemności. Sącył się z potylicy, rozlewał po mózgowiczaszce, wwiercając w kości i nie dopuszczając, by myśli, które powoli napływały, zaczęły układać się w logiczny ciąg. Mimo wysiłku, by je uporządkować, pozostawały tylko zlepkiem urywanych słów, przetaczających się przez głowę chaotycznie i bezcelowo.

Nie wiedział, gdzie jest. Nie wiedział, co się stało. Próbował sobie przypomnieć, ale ból z każdą sekundą stawał się coraz bardziej nieznośny. Nie pozwalał rozbieganym myślom na uspokojenie. Nie pozwalał skupić się na czymkolwiek innym poza samym sobą.

Spróbował się poruszyć, ale jego ciało, bezwładne i pozbawione tożsamości, nie zareagowało. Miał wrażenie, że do tego, by unieść powieki, potrzebował całej siły woli, lecz nie miał jej dość, by mu się to udało. Próbował otworzyć usta, by zaczerpnąć do płuc więcej powietrza – napiął mięśnie i poczuł, jak spierzchnięte wargi pękają, a z ran zaczyna sączyć się krew. Lepka, słodka, ciepłym strumykiem wlewała mu się do gardła. Miał ochotę wypluć ją, ale nie był w stanie tego zrobić.

Oddychał ciężko, próbując przypomnieć sobie, jak się nazywa, ale w tej chwili był tylko bezwładnym obolałym ciałem. Leżał bez ruchu w przestrzeni, której nie był w stanie określić, i nie miał pojęcia, co dalej.

Minęła długa chwila, nim jeszcze raz spróbował unieść powieki. Tym razem mięśnie, choć z trudem, odpowiedziały na impuls i pod jego czaszkę cienką smugą zaczęło przedostawać się światło. Początkowo oślepiło go tak, że pozwolił, by powieki znowu opadły. Ale po chwili ponowił próbę. Z pozbawionej kształtów przestrzeni powoli zaczęły wyłaniać się niewyraźne zarysy sprzętów.

Nie wiedział, ile czasu tak leżał. Nie potrafił określić, czy od momentu, gdy ból w potylicy zaczął przywracać mu świadomość, minęły minuty czy może godziny. Zresztą czas nie miał w tej chwili znaczenia. Nie czuł chłodu, nie czuł gorąca. Był tylko ból, który obezwładniał, nie dopuszczając jednak, by zapadł się ponownie w nicość. Ta przyniosłaby wyzwolenie, więc z ulgą by ją przyjął, ale wiedział, że nie powinien się jej poddawać.

A potem poczuł mrowienie w końcówkach palców, z początku ledwie dostrzegalne, po kilku minutach nieznośne. Powoli poruszył palcami i przyciągnął dłonie na tyle blisko twarzy, by nie unosząc głowy, móc je zobaczyć. Były zakrwawione, ale krew dawno zaschła. Czerwone strupy były zdarte w kilku miejscach. Paznokcie wyglądały na zadbane, choć mocno zsiniały.

Z daleka dobiegł go hałas. Znajomy dźwięk, choć nie był w stanie określić, co mogło go wywołać. Chrapliwe skrzeczenie oddalało się i przybliżało, zagłuszając miarowo napływający i cichnący szum.

Mewy – przemknęło mu przez myśl. Zdziwił się tą nagle odzyskaną zdolnością nazywania rzeczy.

– Mewy – powtórzył cicho i otworzył oczy.

Wargi miał obolałe i spuchnięte. Oczy piekły. Rzeczywistość wokół wciąż się rozmywała, ale sprzęty zaczęły nabierać nieco wyraźniejszych kształtów.

Poruszył się. Najpierw niezgrabnie, jakby próbując sprawdzić, czy wszystkie elementy, z których się składał, pozostały ze sobą w kontakcie, czy może rozpadł się na kawałki, części, których nie sposób pozbierać. Wszystko jednak wydawało się na swoim miejscu. Czuł, jak w jego ciele znów działa obieg krwi. Powoli przywracał do życia kolejne komórki, jedna po drugiej, nieśpiesznie, lecz nieodwracalnie. Zdrętwiałe członki odzyskiwały kształt, ciało z każdą sekundą stawało się coraz bardziej rzeczywiste. W skroniach poczuł lekkie pulsowanie przepływającej przez nie krwi i pomyślał, że jednak żyje.

Podciągnął kolana i podpierając się łokciami, usiadł. Otworzył szerzej zapuchnięte oczy i rozejrzał się wokół.

Pokój nie był duży. Za sobą miał tapczan obity materiałem, którego krzykliwy wzór zatańczył mu przed oczami, przyprawiając o zawrót głowy. Szydełkowa firanka unosiła się lekko, gdy przez otwarte okno do pokoju wpadały ciepłe podmuchy słonego wiatru. Na środku stał masywny dębowy stół. Na nim dostrzegł niedopitą butelkę.

– Machandel – przeliterował z trudem. W grubym matowym szkle odbijało się poranne słońce. Obok butelki leżały dwa puste przewrócone kieliszki.

Poczuł, że robi mu się duszno. Z trudem, chwytając się mebli, stanął chwiejnie na nogach i podszedł powoli do okna.

Za firanką wstawał słoneczny dzień. Stoliki ustawione na dużym tarasie piętro niżej były puste. Pomiedzy nimi przechadzały się leniwie dwie skrzeczące mewy. Wody zatoki były spokojne, tafla morza niemal zupełnie

gładka, marszczyła się tylko przy linii brzegu, gdy płaskie fale wspinały się wolno na biały piasek plaży.

Zamknął oczy i łapczywie wdychał świeże powietrze, aż myśli powoli zaczęły mu się rozjaśniać.

Dotknął piersi, by odszukać zegarek i sprawdzić, która godzina, ale pod palcami poczuł tylko rozerwaną, pozbawioną guzików kamizelkę. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu zegara. Jednak zamiast niego zobaczył porzucony męski but, sznurowany, solidny, żaden tam nowomodny oksford na cienkiej podeszwie. But był letni, jasnobezowy, ale dostrzegł na nim drobne ciemne plamki. Spojrzał na swoje stopy. Ciemnobrązowe buty były chyba zbyt ciężkie jak na tę porę roku. No ale były obydwaj, w komplecie, każdy na swoim miejscu, do pary, i żaden z nich nie pasował do tamtego na podłodze.

Poczuł się na tyle pewnie, że zdołał oderwać od drewnianej framugi okna kurczowo zaciśnięte na niej dłonie i podejść do porzuconego buta. Kiedy pochylił się, by podnieść go z podłogi, zastygł na chwilę, bo nie pojął od razu tego, co zobaczył.

Męska stopa, która wyłoniła się zza dębowego stołu, należała zapewne do właściciela buta, bowiem obleczona była tylko w cienką jasną skarpetę, lekko wytartą na pięcie. Stopa wystawała z małego ciemnego korytarza, którego podłogę niemal w całości zajmowały leżące twarzą w dół zwłoki. Mężczyzna był zwalisty, obszerna letnia marynarka była wywinięta tak, że zakrywała opartą o drzwi wyjściowe głowę swego właściciela. Miał wrażenie, że na podszewce w drobną kratkę dostrzega brunatne krople krwi, ale nie był pewien, czy rzeczywiście tam były, zastygłe i pociemniałe, czy też były tylko omamem jego mózgu, wytworem bólu, który ciągle go dręczył. Obok leżała wygnieciona panama. Oderwana taśma wiła się po podłodze niczym ciemna struga krwi.

Zakręciło mu się w głowie. Gdyby nie stół, o który się oparł, upadłby zapewne obok leżącego ciała. Po omacku, zaciskając powieki, dotarł do okna i urwał szydełkową firankę, a wtedy niemal zawisł na parapecie. Zaschnięta krew z jego dłoni osypała się na niego bezdźwięcznie, znacząc białą powierzchnię szeregiem ledwo dostrzegalnych punktów. Oddychał głęboko i czuł jak z czoła spływają mu po twarzy ciężkie krople gorącego potu. Nagle przyszło mu do głowy, że mężczyzna, który leży w korytarzu, żyje, że to tylko machandel obu tak pozbawił przytomności, iż on sam ciągle nie mógł przypomnieć sobie, co zaszło poprzedniej nocy. Uczepił się tej myśli na krótką chwilę, z odzyskaną nadzieją powtarzając pod nosem:

– Żyje, żyje. Na pewno żyje.

Wciąż chwiejnie, łapiąc się sprzętów w obawie, by nie upaść, podszedł do mężczyzny i ukląkł obok niego. Uniósł lekko marynarkę i delikatnie odchylił głowę leżącego, by odszukać na jego szyi tętnicę. Próbował odnaleźć puls, ale bez powodzenia. Ciało było chłodne i lekko zeszywniałe. Pod uniesioną marynarką dostrzegł plamę krwi, niedużą, gęstą i wypełniającą szpary między klepkami parkietu. Zacisnął powieki, które znowu boleśnie zapiekły, wzmagając huczący ból z tyłu głowy. Wstał z trudem i starając się nie przesunąć ciała mężczyzny, uchylił drzwi na korytarz, po czym przesunął się ostrożnie wzdłuż ściany i przecisnął się na zewnątrz.

Korytarz był pusty, w powietrzu unosił się zatęchły zapach naftaliny. Wokół panowała cisza. Odnalazł schody i zszedł do holu, którego centralne miejsce zajmowała rozłożysta dotykająca sufitu palma o ciemnozielonych pierzastych liściach. Liście lekko zafalowały, gdy przeszedł obok. W recepcji było pusto. Uderzył w mosiężny dzwonek, który stał na środku solidnej lady. Jego metaliczny dźwięk ostro przeszył hotelową przestrzeń. Na lśniącej powierzchni zostały ślady jego palców.



Po krótkiej chwili zza przymkniętych drzwi prowadzących na zaplecze recepcji dobiegł stłumiony hałas. Minęło kilka kolejnych sekund i drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

– Szanowny pan sobie życzy? – Zaspany mężczyzna w staromodnej liberii ze złotymi guzikami przypinał na wydatnym brzuchu wytarte szelki. Ziewnął szeroko, nie zasłaniając otwartych ust, i strzepnąwszy z siebie ostatnie dotknięcia porannego snu, stanął za recepcyjną ladą. Wyprostował się i spojrzał na opartego o nią klienta. Dopiero wtedy dostrzegł ślady krwi na jego twarzy i potarganej koszuli.

– Czy coś się stało, proszę pana? – zapytał, a na jego nalanej twarzy pojawił się strach.

– Nie wiem. To znaczy chyba tak. W pokoju na górze leży nieżywy mężczyzna – odpowiedział klient, oddychając z trudem.

Recepcjonista przyglądał mu się długą chwilę, jakby to, co właśnie usłyszał, nie od razu do niego dotarło. W końcu podrapał się w głowę i zapytał wolno:

– Jak się pan nazywa?

– Franz Thiedtke.

Słowa zadudniły w jego głowie. Franz Thiedtke. Dwa mechanicznie wypowiedziane słowa określiły nagle jego tożsamość, nadały mu znaczenie, choć wciąż go nie rozumiał. Imię i nazwisko. Brzmiały obco, choć wypowiedział je bez chwili zastanowienia. Przyporządkowały jego obolałe ciało osobie. Ale kim, u diabła, był Franz Thiedtke? I jak znalazł się w jednym pokoju z nieznanym sobie trupem? Nie zdążył odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań, gdy znowu poczuł ból w potylicy, obezwładniający i ostry, przenikający do mózgu i stamtąd rozchodzący się po całym ciele. Poczuł, jak osuwa się na podłogę hotelowego holu. Mosiężny dzwonek, którego próbował się złapać, zsunął się z recepcyjnego

pulpitu i uderzył go w czoło, po czym z głuchym brzękiem potoczył się w stronę wyjścia.

## ROZDZIAŁ

# 2

Ławka, na której leżał, była twarda i wąska. Cienki brudny postrzępiony koc, który dostał razem z cynowym kubkiem, obtłuczonym talerzem z ciężkiego porcelitu i wykrzywioną łyżką, budził w nim obrzydzenie, ale zwinął go ciasno i podłożył sobie pod głowę zamiast poduszki. Pozbawiony rzeczy, które uznano za zbyt osobiste, by mógł je zabrać do zimnej celi, bez sznurówek w swoich ciężkich brązowych butach i bez zegarka, którego nie udało mu się odnaleźć, czuł się jeszcze bardziej obco w swoim ciele, w ciele Franza Thiedtkego.

Wiedział już, że jest temu nazwisku przyporządkowany, że te dwa krótkie słowa, które nie wywoływały wciąż żadnych emocji, żadnego wspomnienia, towarzyszą mu przez całe życie. Choć rozumiał, że to one określają jego tożsamość, wciąż brzmiały obco.

„Franz Thiedtke” – słyszał własny głos, ale słowa te nie niosły ze sobą żadnych skojarzeń. W jego głowie nie było żadnych wspomnień, wciąż nie był też w stanie przypomnieć sobie tego, co wydarzyło się w pokoju hotelowym w Adlershorst. Ta nazwa zresztą także nic mu nie mówiła. Przeczytał ją na tabliczce ustawionej przy szosie, gdy wieźli go zakutego w kajdanki nieoznakowanym policyjnym samochodem. Razem z nim jechało trzech mężczyzn. Mężczyźni milczeli, od czasu do czasu

porozumiewali się tylko urywanymi monosylabami. Kierowca wyglądał na dwadzieścia kilka lat, był blady, szczupły i smutny. Miał na sobie szary mundur. Pozostali dwaj byli ubrani po cywilnemu. Widział, jak temu, który siedział przed nim, na miejscu obok kierowcy, spływały po karku duże krople potu – ginęły za sztywnym kołnierzem skórzanego płaszcza. Płaszcz był z pewnością nieodpowiedni na tę pogodę. Po chwili mężczyzna wyjął chustkę i otarł kark. Jego ręka była chuda i koścista, nie nosił obrączki.

Siedząc na tylnym siedzeniu samochodu i przyglądając się mężczyźnie przed sobą, dotknął własnej dłoni, bo dopiero wtedy zastanowił się, czy on, czy Franz Thiedtke, ma na palcu serdecznym obrączkę. Była – duża, gładka. Próbował ją zdjąć, by przeczytać, czy coś nie zostało na niej od spodu wygrawerowane, ale okazała się zbyt ciasna.

Zauważył, że mężczyzna siedzący obok, grubas z piegowatą twarzą gimnazjalisty, przygląda mu się uważnie i bez sympatii, szybko więc zaniechał prób zdjęcia obrączki z palca. Pomyślał tylko, że skoro ją nosi, to gdzieś musi być pani Thiedtke. I przyszło mu jeszcze do głowy, że pewnie nie będzie zadowolona, gdy dowie się, że jej mąż Franz jest podejrzany o zabójstwo.

Pani Thiedtke... Jak mógł nie pamiętać kobiety, z którą dzielił życie? Jak mógł nie pamiętać, kim był, gdzie mieszkał i co robił, zanim znalazł się w pokoju na piętrze hotelu w Adlershorst? Zastanawiał się nad ułomnością umysłu, który zawiódł go w kluczowym momencie życia, bowiem choć nie pamiętał, kim był, zdawał sobie sprawę, że morderstwo, o które go teraz z pewnością oskarżą, jest w tym świecie, którego nie rozpoznawał, czynem moralnie złym. Ale nie był wcale pewien, czy człowiek, którego znalazł na podłodze hotelowego pokoju, stracił życie z jego ręki. Przecież nic nie pamiętał. Może był zły, może był mordercą, może Franz Thiedtke był kryminalistą, który potrafił z zimną krwią pozbawić człowieka życia... No

ale może jednak to był tylko głupi przypadek. Nie wiedział, nie mógł sobie przypomnieć.

Leżąc teraz samotnie w małej celi, którą oświetlały tylko nikłe promienie słońca wpadające przez zakratowane okienko pod sufitem, przypominał sobie wydarzenia minionego poranka. To, co zdarzyło się tego dnia, było jego jedynym wspomnieniem. Jakby ta część głowy, w której znajdowała się cała reszta, została nagle zamknięta, a klucz do niej ktoś wyrzucił.

Wielokrotnie odtwarzał moment, gdy ból przywrócił mu przytomność, a potem chwilę, gdy dostrzegł denata. Denata? Zawahał się, poprawiając koc zwinięty pod głową. Trupa w przedpokoju, nieznanego mężczyznę pozbawionego obuwia i życia przez sprawcę, którego też nie pamiętał, nieboszczyka, z którym znalazł się w tym samym czasie w tym samym miejscu, choć nie wiedział, czy trup w momencie, gdy w pokoju się znaleźli, był już trupem, czy może znał żywego człowieka, którego potem ktoś zamordował.

Jedyne wspomnienia, jakie mógł przywołać, to ostatni poranek, martwy mężczyzna i oczekiwanie na funkcjonariuszy policji kryminalnej, których wezwał hotelowy portier. Długie minuty spędzone w pokoiku na zapleczu recepcji, w którym mężczyzna w staromodnej liberii zamknął go natychmiast, gdy tylko podniósł się z podłogi ocucony jego mocnym uderzeniem w twarz. Głuchy trzask ebonitowej słuchawki o widełki telefonu i metaliczny chrobot klucza przekręcanego w zamku, by nie mógł uciec przed przyjazdem Kripo. Krzyk mew za oknem i niski dźwięk gongu dobiegający o pełnej godzinie z drewnianego pudła kominkowego Junghansa, ustawionego na mahoniowej komodzie. A potem stukot butów z cholewami, dudniący łomot obcasów uderzających o stopnie schodów prowadzących na piętro, gwar, zamieszanie i gwałtownie otwarte drzwi.

Nie wstał, podniósł tylko głowę, wciąż ciężką i obolałą. Ubrany po cywilnemu mężczyzna, który przed nim stanął, drgnął i zawahał się, nim zrobił kolejny krok. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Zmrużył oczy, tak że za szklami okularów w cienkiej drucianej oprawie jego źrenice zrobiły się niemal niewidoczne.

– Franz Thiedtke? – zapytał chropowatym głosem.

– Tak – potwierdził wolno.

– Jest pan zatrzymany jako podejrzany o morderstwo Obersturmführera Aloisa Richtera. – Mężczyzna wyjął z kieszeni skórzanego płaszcza kajdanki i podszedł do niego. – I mam nadzieję, że usłyszę od pana rozsądne wyjaśnienie tej sytuacji – dodał, patrząc mu prosto w oczy.

Przez ułamek sekundy w pokoju trwała cisza, którą przerwało ostre szcęknięcie kajdanek zamykanych na przegubach Franza Thiedtkego.

Alois Richter. Alois Richter. Leżąc na twardej ławce, powtarzał w myślach nazwisko, które powinien chyba znać. Zapewne znał, skoro znalazł się z Aloisem Richterem w jednym pokoju hotelowym razem z butelką machandla. Ale teraz nie mógł go sobie przypomnieć. Tak jak nie mógł przypomnieć sobie ulic miasta, którymi jechali do komisariatu przy Hafenstrasse.

Prosta szeroka aleja (na tabliczce odczytał nazwę: Adolf Hitler Strasse) obsadzona młodymi rachitycznymi drzewkami i czteropiętrowe domy o fasadach kanciastych i pozbawionych jakichkolwiek ornamentów nie wzbudziły w nim żadnych emocji, jakby patrzył na zupełnie obce sobie miasto. Z każdą przecnicą budynki stawały się wyższe. Duże witryny sklepowe na parterach kamienic ciągnęły się przez całą ulicę, ocienione kolorowymi markizami, które unosiły się lekko i opadały, dotykane podmuchami słonego wiatru. Minęli budynek z czterema czerwonymi flagami z czarnymi swastykami, które spuszczone z dachu do wysokości

drugiego piętra. Na pustym skrzyżowaniu stał policjant kierujący ruchem. Na jego znak zatrzymali się. Z lewej strony wyjechał autobus z jasnoniebieskim dachem, za nim mężczyzna na rowerze. Na kolejny znak policjanta samochód, którym jechali, powoli ruszył.

Na rogu dużego skweru stała wysoka kamienica z zaokrągloną przeszkloną witryną z napisem „Goten Apotheke” na parterze i reklamą firmy Bayer na dachu. Reklama przykuła jego uwagę na tyle, że nie zauważył perspektywy otwierającej się na wody zatoki po przeciwnej stronie skweru. Morze widział w Adlershorst. Tego miasta nie znał i nie wiedział, gdzie jest.

Kilka chwil później zatrzymali się przed szarym budynkiem. Na tabliczce przy wejściu odczytał: „Präsidium Polizei Gotenhafen”.

Zamknął oczy, dociskając kciukami powieki. Znowu ten ból.

– Franz Thiedtke! – Ciszę przerwał głos wachmana, który zajrzał do celi przez wizjer w drzwiach. Grube metalowe zasuwki trzasnęły głucho i drzwi otworzyły się. – Na przesłuchanie! – wrzasnął strażnik.

Podniósł się z ławki, wsunął stopy w pozbawione sznurówek buty i wstał. Szedł wąskim korytarzem aresztu z pochyloną nisko głową. Patrzył w posadzkę, czując pod czaszką każdy stawiany przez siebie krok. Wachman szedł tuż za nim, gotów powalić go na ziemię w razie próby ucieczki. On jednak nie myślał o tym, by uciekać. Zresztą nie wiedziałby gdzie.

– Proszę usiąść – powiedział ten sam kościsty mężczyzna w okularach w cienkiej oprawie, który w Adlershorst zakuł go w kajdanki. Tym razem nie miał na sobie skórzanego płaszcza, tylko cienką tweedową marynarkę. W krawat miał wpiętą odznakę. Franz Thiedtke dostrzegł na niej napis: „National-Sozialistische DAP”.

Opadł na wskazane krzesło. Mężczyzna otworzył szufladę biurka, za którym siedział, wyjął srebrną papierośnicę, otworzył ją i przechylając się ponad blatem, wyciągnął rękę w jego stronę.

– Zapali pan? – zapytał.

Franz Thiedtke wpatrywał się chwilę w ułożone równo papierosy. Nie brakowało ani jednego. Nie wiedział, czy pali i czy powinien skorzystać z tej propozycji.

– Nie, dziękuję – powiedział w końcu.

Mężczyzna wyprostował się, zamknął wolno papierośnicę i przyglądając się więźniowi, położył ją na blacie biurka.

– Przestał pan? – zapytał.

– Nie wiem... Nie wiem, czy paliłem – odpowiedział Franz, wpatrując się w wieczko papierośnicy, na której wygrawerowano litery „MW”.

– Nie rozumiem? – Mężczyzna zmarszczył czoło. – Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nie wiem. To, co powiedziałem.

Tamten przyglądał mu się bez słowa.

– Może to wyda się panu dziwne, ale ja nie wiem, kim jestem. Nic nie pamiętam. Nie wiem, jak znalazłem się w tym pokoju, tam w hotelu, i nie wiem... nie wiem, kim jestem. Nic nie pamiętam – powtórzył Franz, pochylając głowę.

– Ależ co pan mówi! – Mężczyzna poderwał się nerwowo zza biurka i obszedł cały pokój, zanim stanął obok krzesła, na którym siedział Franz Thiedtke. Pochylił się nad nim, mrużąc oczy. Wyglądał jak wychudzony kot patrzący w słońce. – To jest najgłupsze wytłumaczenie, jakie słyszałem w całej swojej karierze, komisarzy! I pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę! – Zawisł nad Franzem, ciężko sapiąc.



– Pan wie, kim ja jestem? – Franz odsunął się kilka centymetrów, bezwiednie zwiększając bezpieczną odległość od kościstego mężczyzny, którego oddech, przeniknięty dymem papierosowym, poczuł na twarzy.

– Czy naprawdę uważa mnie pan za takiego idiotę? – wysapał tamten.

– Przepraszam, ale ja naprawdę nic nie pamiętam. Będę wdzięczny, jeśli mi pan powie, kim jestem. Może wtedy coś sobie przypomnę.

Mężczyzna przyglądał mu się chwilę, zaciskając dłoń na oparciu krzesła, po czym gwałtownie się wyprostował i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– No dobrze. Zawiadomiłem już pańską żonę – powiedział, przybierając oficjalny ton. – Jest pan podejrzany o zabójstwo. – Podniósł słuchawkę telefonu. – Zabrać go.

– Żonę? – Franz się ożywił. – Będę mógł ją zobaczyć?

Mężczyzna w tweedowej marynarce nie odpowiedział. Otworzył duży, oprawiony w czarną skórę notes i zanotował coś drobnym starannym pismem. Złota stalówka pióra chrobotła cicho, prowadzona po papierze. Do głowy przyszło mu to, co zawsze, gdy brał do ręki pióro znalezione w szufladzie biurka, przy którym teraz siedział, czarne pióro z lekko wytartym napisem „Kawuska”. Jakże cudownie szybko dopasowało się do jego dłoni, zupełnie jak to miasto, które działało zgodnie z jego, Josepha Krupkego, wyobrażeniami. Szybko i bez większych trudności.

Do pokoju wszedł wachman. Chwycił mocno Franza za ramię, podniósł go z krzesła i pociągnął w stronę wyjścia. Mężczyzna za biurkiem zatrzasnął notes i podniósł wzrok, gdy strażnik wypchnął więźnia na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ

# 3

Joseph Krupke pochodził z Danzig. To znaczy właściwie pochodził z Praust, gdzie przyszedł na świat w pokoju na piętrze, w małym szeregowym domku z czerwonej cegły, który należał do jego dziadka Volkera, emerytowanego majstra z miejscowej cukrowni. Do Danzig zabrali go rodzice, kiedy skończył sześć lat i babka Hilda nie miała już siły, by zajmować się niesfornym dzieckiem, które nie dostawszy tego, na co właśnie miało ochotę, wpadało w ataki hysterii i tak długo rzucało się po podłodze, tupiąc nogami i uderzając pięściami o własną głowę, aż ze zmęczenia zasypiało wprost na ługowanych deskach. Kiedy Joseph był młodszy, a babka szczuplejsza i wielki biust, który zaczynał się zaraz pod drugim podbródkiem, nie przeszkadzał jej jeszcze tak bardzo, podnosiła go śpiącego z podłogi i zanosila do łóżka, w którym przyszedł na świat. Ale kiedy Volker umarł, babka podupadła na zdrowiu, a jej rozłożyste biodra ledwo mieściły się w lakierowanej na biało framudze drzwi, ojciec Josepha, Hans, zdecydował więc, że oto nadszedł czas, by chłopiec zamieszkał z nim i matką w Danzig.

Hans był woźnym w szkole realnej Conradinum i razem z żoną, matką Josepha, mieszkał w Langfuhr, w niewielkim mieszkaniu na parterze budynku stojącego przy Eschenweg. Kiedy Joseph przyszedł na świat,

mały, pomarszczony, całkiem niewinny, ale od razu głośnym płaczem wymuszający zaspokajanie własnych potrzeb, Hans i Greta byli bardzo młodzi – zbyt młodzi, jak twierdziła babka Hilda – na to, by wychowywać dziecko. Być może jej intencje nie były do końca uczciwe, bo babka Hilda po prostu jeszcze raz chciała poczuć matczyną potrzebę bycia niezbędną, potrzebę, którą nosiła skrywaną głęboko pod swym obfitym biustem, a której od dawna nie zaspokajał jej Hans, szczenięco zakochany w Grecie. Z Volkerem babka Hilda nie była szczęśliwa, choć zdawała sobie sprawę, że za ich spokojną egzystencję, wyznaczaną rytmem pracy męża w cukrowni i jej własnymi obowiązkami w małym domku z czerwonej cegły, powinna dziękować Panu w czasie każdego nabożeństwa. Jednak od lat z Volkerem tak naprawdę już ze sobą nie rozmawiali, babka Hilda podsuwała mu tylko w milczeniu talerz z kartoflanką albo smażonym pomuchlem, a w niedziele, kiedy przyjeżdżali Hans i Greta, zyłc ze śledzia i gęsią kiszkę. Volker zjadał wszystko bez słowa, a potem szedł nad kanał Radaune, by w milczeniu palić mocne papierosy.

Odkąd Joseph nauczył się chodzić, biegał za Volkerem jak szczeniak, trochę z tyłu, ale zawsze na tyle blisko, by nie stracić go z oczu. Volker palił swoje papierosy, a Joseph rzucał do płynącej leniwie wody patyki, które oddalały się, pozostawiając go z pytaniem, czy dopłyną do wielkiego morza, o którym wiele razy słyszał od Hansa i Grety, ale którego sam nigdy jeszcze nie widział. Joseph nie potrafił wyobrazić sobie wody ciągnącej się aż po horyzont, o której opowiadał mu Hans. Woda kojarzyła mu się tylko z ograniczonym nurtem kanału, którego końca też nie mógł odgadnąć, ale przez który łatwo się było przeprawić, by stanąć na brzegu odległym zaledwie o niewymuszony rzut kamieniem.

Nie był też w stanie wyobrazić sobie miasta, które mu opisywał ojciec, choć odkąd miał marzenia, marzył, by się w nim znaleźć. Był jednak

przekonany pewnością upartego kilkulatka, że Danzig musi być piękny niczym pałac, do którego kareta zawiozła Aschenputtel na wymarzony bal w jednej z bajek, które wieczorami czytywała mu babka Hilda, sapiąc i postępując na za małym stołku. Być może, myślał, Danzig było nawet tym miejscem, w którym znalazła się Aschenputtel, choć Hans o żadnym pałacu w mieście nigdy mu nie opowiadał. Joseph z przejęciem słuchał bajek czytanych przez babkę Hildę, ale najbardziej lubił nie tę o nieszczęsnej dziewczynie, która zamienia się w cudowną księżniczkę, by w pałacu poznać swego księcia (bo z księżniczką Joseph w żadnym wypadku się nie utożsamiał, a i dla zakochanego księcia w jego świecie kilkulatka nie było miejsca), a raczej tę o przerażającej przygodzie Hänsla i Gretel, którzy wyprawili się do lasu i trafili do domku z piernika, gdzie stara czarownica chciała ich usmażyć w kuchennym piecu. Lubiał tę historię najbardziej nie z powodu samej opowieści, a z uwagi na bohaterów, którzy nosili te same imiona co jego rodzice, zamknięci, jak sobie wyobrażał, w pałacu w Danzig, skąd udawało im się wyrwać tylko w niedzielne popołudnia. Czasem za nimi tęsknił, może nie bardzo, trochę, zwłaszcza gdy odjeżdżali, a on pozostawał na peronie dworca w Praust, ściskając mocno rękę babki Hildy, w milczeniu, jak Volker nad kanałem Radaune. Wyobrażał sobie, że Hans i Greta zauważą w kanale, który – wiedział to – z Praust płynie do Danzig, więc zauważą patyki wrzucane przez niego niedaleko domku z czerwonej cegły i zdecydują się w końcu zabrać go do siebie, by i on mógł zobaczyć ten wielki świat. Świat, przez który dryfowały kawałki suchych gałęzi, płynące szlakiem wyznaczonym blisko sześć wieków wcześniej przez budowniczych zakonu, którzy dostali zadanie, by w wodę pitną zaopatrzyć zupełnie niebajkowy zamek krzyżacki. Zamek istniał już tylko na jednym obrazie, a kanał ciągle trwał, mimo że nikt nie pamiętał, kto sprawił, iż wody z Praust po raz pierwszy poruszyły koła Wielkiego

Młyna, by potem wpaść do Motlau i w końcu zniknąć w słonych wodach zatoki.

No więc, kiedy umarł dziadek Volker, a babka Hilda, choć od dawna z nim nie rozmawiała, przejęła się tym tak bardzo, że sama zaczęła tracić życiowe siły, w małym domku z czerwonej cegły stojącym niedaleko ponurej cukrowni zapadła decyzja, że mały Joseph pojedzie do Danzig i zamieszka razem z Gretą i Hansem w ich mieszkaniu przy Eschenweg.

– Tylko pamiętaj, żebyś nie chodził z matką do kościoła – powiedziała do Josepha babka Hilda, kiedy składała jego rzeczy do tekturowej walizki.

– Nie chodził z matką do kościoła – powtórzył automatycznie Joseph, choć tak naprawdę nie słuchał tego, co mówiła.

– Pamiętaj, Joseph. – Babka stanęła naprzeciw niego i położyła swe duże dłonie na jego wątłych ramionach, aż ugiął się pod ich ciężarem. – Nie chodź z matką do kościoła, tylko z ojcem.

Joseph trochę wystraszył się tonu, jakim babka Hilda wypowiedziała te słowa, nie na tyle jednak, by po przyjeździe do Danzig pamiętać o danej obietnicy. Szybko zaczął odwiedzać z matką Schwarzerweg, by najpierw na parterze okazałej plebanii, a wkrótce w kościele, gdzie pod ostrołukowymi sklepieniami pysznił się złoty ołtarz, oglądać spektakl, jakiego wcześniej nie widział. Ksiądz Wienke, tonąc w oparach kadzidła, odprawiał tam msze łacińskie, które fascynowały Josepha teatralnym obrzędkiem. Nie przeszkadzało mu to jednak bywać też z ojcem w kościele przy Am Johannisberg, gdzie na niedzielnych surowych mszach luterańskich bywali stacjonujący w koszarach przy Hochstrieß Leib huzarzy. Kiedy latem tysiąc dziewięćset czternastego zabrakło ich szamerowanych mundurów i futrzanych Pelzmütze ozdobionych trupimi główkami, Joseph przestał w ogóle chodzić na nabożeństwa. Bo wiara już wtedy nie miała dla niego znaczenia.

Nie wierzył w Boga, ani tego, do którego modlił się Hans, ani tego, o którym mówił ksiądz Wienke. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego ludzie przywiązują wagę do czegoś, czego istnienia nikt nigdy nie udowodnił. On sam uważał się za racjonalistę i pod poduszką trzymał *Kapitał* Marksa. To nie podobało się ani ojcu, który powtarzał, że Marks był żydem i dlatego spiskował przeciw uczciwym ludziom, ani matce, która mówiła, że nie dość, iż był żydem, to jeszcze sprzeniewierzył się własnej tradycji i przechrzcił na luteranina, a tego ona już znieść nie mogła. Bo Greta była kaszubską katoliczką. Jej rodzina mieszkała w Karthaus i była do tradycji bardzo przywiązana. Dlatego rodzice Grety nie byli wcale zadowoleni, gdy związała się z Niemcem. Marzyli raczej o pracowitym kaszubskim gburze, uprawiającym ziemię nad Radaunen-See, które oni w swoim dziwnym, niezrozumiałym dla Josepha języku nazywali „jezorem Reduńszé”. Greta przestała ich odwiedzać, gdy w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego z budynku dworca kolejowego zdjęto tablicę ze znajomym napisem „Karthaus” i zastąpiono ją tablicą z niby podobnym, ale jednak obco brzmiącym napisem „Kartuzy”. Jednak od wiary rodziców nigdy nie odstąpiła, aż do swej śmierci w trzydziestym pierwszym.

Joseph Krupke po młodszej fascynacji Marksem doszedł do wniosku, że najważniejsze w życiu są właściwa ocena sytuacji i umiejętne dostosowanie się do niej tak, by osiągnąć możliwie największe korzyści dla samego siebie. Imał się różnych zajęć, bo po powrocie z frontu jego ojciec Hans był już tylko w stanie siedzieć w fotelu i przez otwarte okno mieszkania przy Eschenweg obserwować to, co działo się na ulicy, i to na jego, Josepha, barki spadło utrzymanie rodziny. Po kilku nieudanych próbach, gdy chciał zatrudnić się jako robotnik w Danziger Waggonfabrik i w browarze przy Labesweg, a także jako pikolak w restauracji Forsthaus, której strzeliste wieżyczki wyrastały ostro spośród koron drzew

otaczających korty tenisowe przy Jäschkentalerweg, dostał w końcu posadę kelnera w sopockim kasynie, a tam dzięki wrodzonemu sprytowi szybko otrzymał propozycję, by frak kelnera zamienić na nierzucający się w oczy garnitur detektywa, bo kasyno zatrudniało własnych detektywów, którzy chronili klientów zostawiających przy stołach do ruletki i bakarata swoje rodzinne fortuny. To właśnie wtedy okazało się, że praca detektywa sprawia Josephowi najwięcej satysfakcji, a unieszkodliwianie doliniarzy i szulerów, których w sopockim kasynie nie brakowało, idzie mu dużo lepiej niż serwowanie szampana i koktajli. Zasłynął więc jako sprawny detektyw o celnym oku, który miał na swoim koncie kilka udanych akcji, przeprowadzonych dyskretnie na zapleczu kasyna. A kiedy w trzydziestym drugim do Zoppot przyjechała sama boska Garbo, to jemu powierzono opiekę nad gwiazdą, jakiej w tym mieście jeszcze nigdy nie widziano.

Ale praca w sopockim kasynie przestała Josephowi w końcu wystarczać. Tropienie fałszerzy żetonów do ruletki, łapanie za rękę kieszonkowców i wyławianie w eleganckim tłumie utracjuszy zawodowców oszukujących kasyno stało się wkrótce pozbawioną świeżości rutyną. Joseph znowu poszukiwał sensu swego życia w filozofii, choć zamiast Marksa czytał teraz Nietzschego. Jego *Gott ist tot* bardzo przypadło Josephowi do gustu, utwierdzając go w przekonaniu, że życie to tylko suma przypadków, a wszelka wina, jeśli ma być ukarana, to tylko tu i teraz, w innym wypadku nie ma znaczenia, bo jeśli nie ma kary, to nie było zbrodni.

Kasyno w Zoppot odwiedzali różni ludzie, pojawiali się też coraz bardziej widoczni w Wolnym Mieście działacze NSDAP, którzy mogli „wylegitymować się” dostatecznie wysokimi dochodami, by w Sali Błękitnej grywać w ruletkę lub w Sali Żółtej w bakarata. Eleganckie towarzystwo, które ściągало do sopockiego kasyna, ciągle traktowano tu

w ten sam sposób, mierząc pozycję w społeczeństwie zawartością portfela przeznaczoną na hazard, a nie poglądami politycznymi i przynależnością partyjną, wszyscy więc, bez względu na narodowość i pochodzenie, zbierali się na kolacje w przylegającym do wystawnych sal gier bufecie lub tańczyli wspólnie na tanecznych wieczorkach w sąsiedniej Sali Czerwonej. To tutaj młody detektyw poznał równie młodego adwokata z Danzig, Wenera Schramma, który w kasynie bywał raczej dla towarzystwa niż hazardu. Przez swego ojca, też adwokata, Werner znał samego Arthura Greisera, wówczas świeżo wybranego wiceprezydenta Senatu Wolnego Miasta. Ojciec Wenera, zgodnie z przechwałkami młodego prawnika, był też częstym gościem u gauleitera Forstera i to jeszcze w czasach, gdy ten przybyły z Bawarii działacz partii narodowosocjalistycznej mieszkał w pokoju przy Jagowstrasse 2, który wynajął u księdza Spletta, wikarego oliwskiej parafii. Joseph szybko zrozumiał, że takie znajomości mogą mu znacznie pomóc w dążeniu do wygodnego ustawienia się w życiu. I nie mylił się. Z wikarego Spletta uczyniły biskupa, jemu zaś pomogły znaleźć się w Prezydium Policji przy Karenwall. Choć komisarz Franz Thiedtke, którego asystentem wkrótce został, podchodził sceptycznie do jego detektywistycznych umiejętności, to czuł jednak respekt wobec koneksji, które Joseph zyskał, zapisując się wkrótce po poznaniu Wenera do gdańskiego oddziału NSDAP.

Jego kariera w prezydium nie rozwijała się może tak szybko, jak sobie tego życzył, ale Joseph Krupke wiedział, że w życiu najważniejsza jest cierpliwość. Czekał więc cierpliwie, aż komisarz Thiedtke przejdzie na emeryturę, by wówczas zająć jego miejsce.

Na Heveliusplatz nie umilkły jeszcze strzały, ich odgłosy niosły się przez cały pierwszy dzień września ponad spadzistymi dachami. Albert Forster telegrafował do Führera, powiadamiając go o uchwaleniu przez



Senat Wolnego Miasta ustawy o likwidacji tego haniebnego wymysłu twórców traktatu wersalskiego i przyłączeniu grodu do Rzeszy. Sam wódz zaś wygłaszał przemówienie o prawach Niemiec do ziem na wschodzie, a jego słowa niosły się ponad głowami zebranych w berlińskiej Krolloperze, gdzie od ścian odbijały się wciąż dalekie echa granej tu kiedyś pod batutą niemieckiego Żyda z Breslau muzyki Janacka, Hindemitha i Strawińskiego. W tym właśnie dniu, gdy komisarz Franz Thiedtke oficjalnie przeszedł na emeryturę, Joseph Krupke otrzymał awans i biurko po nim. Wiedział, że oto nadszedł czas, jego czas.

Początkowo wcale nie wierzył w hasła głoszone na wiecach, które organizowała jego partia, z czasem jednak dał się ponieść entuzjazmowi tłumu maszerującego ulicami przy świetle płonących pochodni. Bez trudu przyjął argumenty o zdradzie w Compiègne, o spisku żydowskim przeciw Niemcom i o komunistach, którzy doprowadzili do rozkładu Republiki Weimarskiej. Nie był wyznawcą volkizmu, do którego od początku ich znajomości skłaniał się Werner Schramm, za to pamiętał o nietzscheańskim übermenschu, którego siłą woli usprawiedliwiał swą wątlą posturę. I wiedział, że wraz z pociskami wystrzelonymi w stronę polskiej strażnicy na Westerplatte, gdy komandor Kleikamp wydał rozkaz do rozpoczęcia ataku, rozpoczęła się epoka übermenscha, epoka człowieka, który pogrzebawszy Boga, sam nim się staje.

Na swój czas nie musiał długo czekać. Jeszcze tego samego dnia, gdy otrzymał awans, do jego pokoju w wieżyczce z pruskiego muru na tyłach Kleine Irrgarten, ledwo zdążył przekroczyć próg po powrocie z Prezydium Policji, zapukała wdowa Friedke, od której wynajmował lokum.

– Telefon do pana, panie Krupke – powiedziała krótko, bo od czasu, gdy jej mąż Adolf umarł w pokoju, który teraz zajmował Joseph, nie była zbyt rozmowna.

Wezwano go z powrotem do prezydium. Miał zająć się dozorem grupy polskich przestępców, których wyciągnięto wieczorem z piwnic poczty przy Heveliusplatz. Wiedział, że wybrano go, bo zdobył sobie zaufanie przełożonych, jednak cieszył się, że po kilku dniach Polaków zabrano do Victoriaschule, bo nie lubił metod, jakimi posługiwało się gestapo. W końcu był policjantem i mimo wybuchu wojny miał zamiar nadal zajmować się pracą komisarza policji. Wiedział, że jest tylko trybem w maszynie, która ruszyła długo przed strzałami w Danzig i wypowiedzeniem wojny przez Anglię i Francję, był też przekonany o słuszności słów płynących teraz każdego dnia z radia ustawionego na komodzie w jadalni wdowy Friedke, u której się stołował, jednak komisarz Franz Thiedtke nauczył go innych metod działania niż te, które w pierwszych dniach września stosowano w prezydium przy Karenwall oraz w pobliskiej Victoriaschule, do której on sam co prawda nie zaglądał, słyszał jednak opowieści tych, którzy zostali odesłani na Holzgasse. Zgadzał się z tym, że aby osiągnąć cel, trzeba czasem ponieść ofiarę, jednak wykorzystywanie miejskiej straży pożarnej do pompowania benzyny zamiast wody, by podpalić zamiast ugasić, uważał za nadużycie. Rozumiał, że wygrana wymaga walki, miał jednak nadzieję, że świeżo przywrócony do Rzeszy Danzig pozostanie z dala od huku dział – przez tydzień unosił się on jednak nad miastem z Westerplatte, a potem nocą dochodził do uśpionego miasta z Gdingen, które poddało się dopiero w połowie miesiąca.

Nie sądził, że dostanie nakaz przeniesienia się do powstającego w Gdingen prezydium i budowania struktur tamtejszej policji kryminalnej. Jednak kiedy usłyszał ofertę, wiedział, że oto nadszedł wreszcie czas dywidendy od zainwestowanego czasu i pracy włożonej w przynależność partyjną. Ledwie Kriegsmarine oddała zarząd nad miastem władzy cywilnej, komisarz Joseph Krupke został funkcjonariuszem Prezydium

Policji w Gotenhafen – kiedy Führer odwiedził miasto, zdecydował o zmianie nazwy, by jego polską przeszłość przekreślić raz na zawsze.

Kiedy Krupke przybył do Gotenhafen w połowie grudnia, czekało już na niego wygodne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy na rogu Gotenstrasse i Askanierstrasse, duże i widne, składające się z trzech pokoi w amfiladzie i służbówki, którą zajmowała polska służąca Marianna. Mieszkanie było w pełni urządzone, a w szafach oprócz porcelany i sreber z warszawskiej firmy Frageta znalazł nawet pachnącą krochmałem pościel. Mieszkanie należało ponoć do radcy miejscowego urzędu, którego uznano za element niebezpieczny i odesłano do więzienia w Wejherowie, jego rodzinę zaś wysiedlono w głąb Generalnej Guberni – podobnie uczyniono z wieloma polskimi mieszkańcami miasta, by zrobić miejsce dla niemieckich osadników. Zresztą Joseph Krupke nie interesował się losami polskich właścicieli mieszkania; nie zastanawiał się też nad tym, co stało się z właścicielem pióra Kawuska, które znalazł w biurku przydzielonego mu w Prezydium Policji przy Hafenstrasse gabinetu.

Kiedy strażnik wyprowadził Franza Thiedtkego, Krupke odłożył pióro, zamknął notes i zdjął okulary w drucianej oprawie. Zastanawiał się, czy wbrew własnemu przekonaniu, iż jego praca w Gotenhafen będzie ograniczać się do działań wyznaczanych na Prinz Eugenstrasse, gdzie w budynku dawnego przedsiębiorstwa żeglugowego rezydowała teraz placówka gestapo z SS-Hauptsturmführerem Reinchenbachem na czele, a zatem, że jako komisarz policji kryminalnej w Gotenhafen będzie zajmował się ściganiem polskich bandytów, których nazwiska wskazywali podwładni Reinchenbacha, w jego karierze pojawiła się sprawa, którą być może będzie musiał uznać za największe wyzwanie, z jakim przyszło mu się dotychczas zmierzyć. Bo sprawa, w której podejrzanym o morderstwo członka Einsatzkommando doktora Trögera był jego dawny przełożony, od

razu wydała mu się podejrzana. Zastanawiał się, czy komisarz Thiedtke nadal uważa go za skończonego idiotę i udaje zanik pamięci, czy rzeczywiście nic nie pamięta. Krupke wiedział, że Franz Thiedtke nie był przekonany o jego umiejętnościach śledczych. Z faktu, że pracował w sopockim kasynie, komisarz natychmiast wysnuł wniosek, że Joseph był hazardzistą, i choć wiele razy usiłował mu wytłumaczyć, że to on tropił hazardzistów, którzy dla zysku oszukiwali kasyno i innych graczy, Thiedtke nigdy nie zmienił o nim zdania. Teraz więc, przy biurku w gabinecie Prezydium Policji przy Hafenstrasse w Gotenhafen, wspominając pracę z komisarzem Thiedtkem w Danzig, komisarz Krupke zastanawiał się, czy jego dawny przełożony rzeczywiście jest mordercą.

## ROZDZIAŁ

# 4

Była niewysoka i drobna. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, gdy ją zobaczył, to to, że była tak zaskakująco krucha. Krucha i bezbronna. Miał nadzieję, że mimo tej kruchości znajdzie w sobie dość siły, by przeżyć to, co wydarzyło się w Adlershorst. Cały ranek myślał głównie o niej. O Waltraud Thiedtke. Tak się nazywała. Wiedział to od młodego wachmana, który prowadził go do pokoju widzeń. Miał nadzieję, że jej widok coś w nim poruszy, że odblokuje pamięć, pomoże mu przypomnieć sobie nie tylko, co wydarzyło się poprzedniej nocy, ale też, co działo się w jego życiu przez wszystkie poprzednie lata. Teraz jednak stał nieruchomo naprzeciwko tej kobiety, która w milczeniu wpatrywała się w niego zimnoszarymi oczami. Stał i nadal nic nie pamiętał.

– Waltraud? – zapytał niepewnie.

– Franz.

– Powiedzieli mi, że tu jesteś. Że jesteś moją żoną.

Nie odpowiedziała.

– Przepraszam cię, Waltraud, ale ja nic nie pamiętam. – Usiadł ciężko przy drewnianym stole ustawionym w ciasnym pokoju widzeń. Czuł wzrok wachmana, który stał w kącie i w milczeniu uczestniczył w całej scenie. – Nie wiem, kim jestem. – Ukrył twarz w dłoniach, na których ciągle widać

było ślady zaschniętej krwi zmieszane z atramentem do pobierania odcisków palców. – Wiesz, że jestem podejrzany o popełnienie morderstwa?

– A zrobiłeś to? – Kobieta usiadła naprzeciw niego. Była blada. Zauważył na jej czole drobne kropelki potu, które zbierały się w sieci zmarszczek.

– Nie wiem. Nie wiem, Waltraud. Niczego nie pamiętam. Ciebie nie pamiętam. Naszego życia też nie pamiętam. Jakby ktoś wyczyścił wszystkie moje wspomnienia.

– Aloisa też nie pamiętasz? Aloisa Richtera? – Waltraud siedziała sztywno, z dłońmi splecionymi przed sobą.

– Alois Richter? – zawahał się. – To ten denat? To znaczy mężczyzna, którego znalazłem w hotelu. – Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak uporczywie powracało do niego to słowo. Denat. – Waltraud, kim ja jestem? Powiedz mi, kim jestem! Wczoraj mnie tu przesłuchiwali. Powiedzieli do mnie „komisarzu”. Kim ja jestem, Waltraud? Ja nie mogę sobie tego przypomnieć. Nie mogę! – Znowu ukrył twarz w dłoniach.

Przez długą chwilę w pokoju widzeń panowała cisza, dojmująca, przygniatająca, niemal bolesna. Słysząc było tylko jego ciężki oddech.

– Ja zupełnie nie wiem, co się stało, Waltraud. Nie mogę sobie nic przypomnieć. Oni myślą, że ja kłamię, ale naprawdę mam w głowie pustkę. Nie wiem, jaki dziś jest dzień. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kim był Alois Richter ani co robiłem z nim w jednym pokoju hotelowym. Nie wiem, czy go zabiłem, czy ktoś go zabił, a ja byłem świadkiem. Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! – Zerwał się gwałtownie zza stołu i obrócił wokół własnej osi, dotykając głowy, która nie przestawała go boleć. Po chwili opadł ciężko na krzesło.

Waltraud przyglądała mu się bez słowa.

– Mam nadzieję, że w końcu wróci ci pamięć – powiedziała wreszcie, wstając. Jej głos był cichy i bezdźwięczny. – Myślę, że zatrzymają cię tutaj na dłużej. Będą dochodzić, co się stało. I czekać, aż sobie przypomnisz. Lepiej, żebyś sobie przypomniał, Franz. I współpracował. – Podeszła do drzwi. Wyciągnęła rękę, by położyć ją na mosiężnej klamce, ale odwróciła się jeszcze w stronę męża. – Uwierz mi, tak będzie lepiej dla ciebie.

Przyglądał się jej w milczeniu. Poczłł zawód, bo Waltraud niczego nie wyjaśniła. Jej spokój był lodowaty. Miał wrażenie, że spojrzenie szarych oczu wwierca mu się w mózg.

– Alois Richter był ważnym człowiekiem – odezwała się Waltraud. – Był człowiekiem doktora Trögera. Wyjaśnieniem sprawy zainteresowany jest sam SS-Hauptsturmführer Reinchenbach, bo ten Richter był podwładnym SS-Sturmbannführera Friedricha Claasa. Mam nadzieję, że wiesz, co to znaczy. – Nacisnęła klamkę, drzwi na korytarz otworzyły się z cichym skrzypnięciem. – A ty, Franz – jeszcze raz odwróciła się w jego stronę – ty, Franz, jesteś emerytowanym komisarzem policji w Danzig. Wzorowym komisarzem, więc mam nadzieję, że to nie ty zamordowałeś tego człowieka. – Nie żegnając się, Waltraud Thiedtke wyszła z pokoju widzeń, pozostawiając Franza tylko w towarzystwie wachmana, który zaraz zabrał go z powrotem do celi.

Alois Richter, doktor Tröger, Waltraud, Reinchenbach, Claas, Franz Thiedtke... Cóż znaczyły te wszystkie imiona i nazwiska? Tylko wirowały mu w głowie, w której znowu narastał ból. Miał wrażenie, że świst, który coraz bardziej rozsadzał mu czaszkę, przebija zaraz bębunki w uszach, choć w celi panowała zupełna cisza. Nawet zza zakratowanego okienka pod sufitem nie dochodził skrzek mew.

Zwinał się na twardej pryczy, niemal wciskając w oczodoły zaciśnięte pięści. Miał ochotę wykrzyknąć swój strach, strach przed własną

przeszłością, lęk przed niepamięcią, przerażenie sobą samym i tym, co być może zrobił, ale czego w żaden sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć. Brak wspomnień oznaczał brak tożsamości, brak pamięci był nie tylko brakiem możliwości obrony przed postawionym zarzutem morderstwa, oznaczał też brak umiejętności poruszania się w otaczającym świecie, w którym nic nie było znane, nic nie było pewne, przyjaciele mogli okazać się wrogami, a prawda fałszem.

Ból głowy stawał się nie do zniesienia. Huk, który słyszał, był tak bolesny, że w końcu zakrył uszy dłońmi, choć na nic się to nie zdało.

– Nie! Nie! Nie!

Zerwał się z pryczy, ale już przy pierwszym kroku stracił równowagę. Upadł z powrotem na łóżko, które pod naporem jego ciała załamało się z trzaskiem. Skulił się, wciskając głowę w ramiona. Wrzask przeszedł w cichy jęk graniczący z płaczem.

Wizjer w drzwiach szcęknął, w korytarzu rozległy się krzyki i tupot kroków. Zachrobotał klucz w zamku, trzasnęła odsuwana zasuwka i ukazał się wachman, a za nim dwaj młodzi soldaci. Franz Thiedtke leżał na podłodze, ściskając głowę rękami. Z zamkniętymi oczami mamrotał ledwie słyszalnym głosem:

– Nie, nie, to nie ja, to niemożliwe! Nie wytrzymam tego! Zróbcie coś! Nie wytrzymam!

Wachman skinieniem głowy wskazał na niego, gdy strażnicy wbiegli do celi.

– Nie wytrzymam! Nie wytrzymam tego! – powtarzał aresztant.

Po twarzy spływały mu krople potu, mokre włosy na czole przykleiły się do skóry. Strażnicy chcieli podnieść go z podłogi, ale kiedy próbowali ująć go pod ręce, by posadzić na połamanej pryczy, mężczyzna otworzył nagle oczy i zerwał się z podłogi. Rzucił się przed siebie na oślep,



wymachując pięściami, jakby zaciśnięte dłonie miały odpędzić niewidocznego napastnika. Wtedy do Franza Thiedtkego doskoczył wachman i uderzył go pięścią prosto w twarz. Komisarz zachwiał się i bełkocząc niezrozumiale, przewrócił na resztki pryczy. Drewno trzasnęło i rozsypało się na kawałki. Cienka struga krwi spłynęła po brudnym policzku.

## ROZDZIAŁ

# 5

Joseph Krupke siedział za swoim biurkiem w gabinecie odziedziczonym po nieznanym właścicielu pióra Kawuska. Jego twarz była blada, policzki zapadły się bardziej niż zwykle. Przyglądał się stojącemu przed nim wachmanowi, mrużąc oczy za okularami w drucianych oprawkach. Szkła zaszyły mu ledwie zauważalną mgłą.

– Mów, co się tam stało – zażądał.

– Melduję, że więzień Thiedtke dostał szau. – Wachman wpatrywał się w punkt na ścianie ponad głową komisarza.

– Co to znaczy: dostał szau? Mów, Wicke! – Krupke miał wrażenie, że zaraz sam dostanie ataku furii, choć rzadko ulegał emocjom.

– Usłyszałem przez drzwi jego krzyki. Zajrzałem do środka, a on leżał na podłodze i wrzeszczał. Cella była zdemolowana, to znaczy pryczę połamiał.

– I co? Co było dalej, Wicke?

– Zawołałem pomoc i weszliśmy do środka. Więzień wydawał się niegroźny. Leżał na podłodze i trzymał się za głowę. Ale kiedy chłopcy chcieli go podnieść, rzucił się na nich. No, a potem była szarpanina i więzień się przewrócił, uderzył głową o pryczę i stracił przytomność.

– I sam się pobił, co, Wicke?

– Mówiłem, że była szarpanina, panie komisarzu.

– A jak to się stało, że zamiast mnie zawiadomił pan gestapo? No, Wicke! – Krupke podniósł się zza biurka i stanąwszy obok rosnącego wachmana, uniósł się lekko na palcach, by mimo cherlawej postury wrzasnąć mu wprost do ucha: – Jak pan to wytłumaczy, Wicke?!

Wachman odsunął się lekko, nie spuszczać wzroku z wyimaginowanego punktu na gładkiej ścianie.

– Panie komisarzu, to był przypadek. Ja właśnie szedłem na górę, żeby pana zawiadomić o tym, co się stało, kiedy na schodach do aresztu spotkałem Obersturmbannführera Auerbacha. Kazał się zaprowadzić do celi komisarza, to znaczy więźnia. Wtedy powiedziałem mu, co się stało. On zszedł ze mną na dół, obejrzał więźnia i kazał wezwać lekarza. Był wściekły, więc szybko wezwałem pomoc ze szpitala przy Litzmannplatz. To obok, karetka była w ciągu kilku minut. Ten lekarz zrobił więźniowi zastrzyk i zabrali go do szpitala.

– Gdzie jest teraz Obersturmbannführer Auerbach? – Krupke krążył po pokoju.

– U Sturmbannführera Helmutha Müllera. – Wachman jeszcze bardziej się wyprostował, jakby słowom, które z siebie wyrzucał, należał się specjalny salut.

Joseph Krupke opadł na krzesło i odesłał wachmana zniecierpliwionym gestem dłoni. Gdy za Wickem zamknęły się drzwi, zdjął okulary i złożony je starannie, położył przed sobą na blacie biurka. Zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę, opierając ją o ścianę za sobą.

A zatem do jego sprawy wmieszało się gestapo. Właściwie powinien się tego spodziewać. Zamordowany został dawny zaufany człowiek doktora Trögera. Doktor poległ na francuskiej ziemi w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego, ale w Gotenhafen nadal działali jego podopieczni.

Morderstwo mogło mieć charakter polityczny, choć komisarz Krupke nie wykluczał też powodów osobistych. Nie wiedział, co łączyło Franza Thiedtkego z Aloisem Richterem, nie wiedział, dlaczego spotkali się w hotelu w Adlershorst. Właściwie nic jeszcze nie wiedział, bo komisarz Thiedtke zasłaniał się amnezją. On nie wierzył w ten zanik pamięci dawnego przełożonego, miał jednak nadzieję, że komisarz powie mu w końcu, co naprawdę wydarzyło się w pokoju hotelowym, i będzie to na tyle prawdopodobna opowieść, że on, komisarz Prezydium Policji kryminalnej w Gotenhafen, będzie mógł udowodnić niewinność emerytowanego komisarza policji w Danzig. Bo Joseph Krupke bardzo chciał wierzyć w niewinność człowieka, który mimo swoich wątpliwości pomógł mu w odnalezieniu się w nowej roli, gdy jeszcze razem pracowali przy Karenwall. Zawsze uważał, że Franz Thiedtke był znakomitym policjantem, może trochę staroświeckim, może brakowało mu tego spektakularnego rozmachu, jaki potrafili pokazać młodszy, ale jego metody zwykle okazywały się skuteczne i w efekcie komisarz dochodził do prawdy częściej niż jego z pozoru bardziej błyskotliwi koledzy. Być może nadal pracowałby w policji kryminalnej, ale chętnie wykorzystano moment, w którym można było odesłać go na emeryturę, bo Franz Thiedtke był zbyt mało zaangażowany ideowo, a to w czasach, gdy przekonania polityczne były równie ważne, co posiadane umiejętności, skutecznie uniemożliwiało wykorzystywanie go do zadań, przed którymi stanęła gdańska policja na początku września trzydziestego dziewiątego. Komisarz Thiedtke nie był wystarczająco zaufanym człowiekiem, więc nie można było go wykorzystać do celów, które postawiono przed funkcjonariuszami z Karenwall. Bo we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie ścigali już morderców i gwałcicieli z Ohry i Siedlitz, a polskich bandytów, których należało wyłapać i wysłać do Stutthoff. Franz Thiedtke

ze swoją ledwie skrywaną za maską obojętności, abnegacji i defetyzmu niechęcią zupełnie się do tego nie nadawał. Krupke zdawał sobie z tego sprawę, jednak z pewną nostalgią myślał o czasach, gdy komisarz jeszcze pracował.

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się głowa Marthy Müller, jego sekretarki.

– Przepraszam. Jest tu pani Hartmuth.

– Niech wejdzie. – Joseph Krupke wyprostował się, włożył okulary i szybko otworzył notes. Złota stalówka pióra zawisała nad papierem.

Do pokoju weszła drobna niewysoka kobieta o siwych gładko zaczesanych włosach.

– Pani Hartmuth, proszę usiąść. – Komisarz zamknął energicznie notes i poderwał się zza biurka, by podstawić kobiecie krzesło. – Czy napije się pani czegoś? – Kobieta pokręciła przecząco głową. – To może pani zapali? – Wyjął papierośnicę i podsunął jej, wyjmując równocześnie z kieszeni zapalniczkę. Kobieta ponownie odmówiła.

Krupke usiadł na swoim krześle, wyjął papierosa i zapalił go. Papierośnicę schował z powrotem do szuflady.

– I co, pani Hartmuth? – zapytał, wydechając kłąb dymu. – Czy udało się pani coś ustalić?

Pani Hartmuth splotła na kolanach kościste poznaczone siatką żył ręce.

– Myślę, że on nie kłamie – odpowiedziała z przekonaniem. – Naprawdę nic nie pamięta.

– Skąd to przekonanie? – Krupke przypatrywał się kobiecie uważnie mimo kłębow dymu papierosowego, które unosiły się wokół niego.

– Musiałby być naprawdę znakomitym aktorem, panie komisarzu. – Pani Hartmuth wydawała się całkowicie pewna swoich słów. – A znam

komisarza Thiedtkego i wiem, że to nie jest człowiek, który mógłby tak udawać. Wie pan o tym równie dobrze jak ja, komisarzu Krupke.

– Co mu pani powiedziała?

– Zachowałam się dokładnie tak, jak ustaliliśmy. Udawałam jego żonę i próbowałam nakłonić go do tego, żeby się przyznał. Ale on powiedział, że nic nie pamięta. Jestem przekonana, że nie kłamie. Obserwowałam go uważnie, gdy mnie zobaczył po raz pierwszy. Wziął mnie za Waltraud. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Musiałby jakoś zdradzić swoje zaskoczenie moim widokiem. A on powtarzał tylko, że nic nie pamięta. Mnie nie pamięta, tego, co się wydarzyło w Adlershorst, nie pamięta, w ogóle nie wie, kim jest. Był bardzo przekonywający.

Joseph Krupke zamyślił się. Dopiero kiedy popiół z dopalającego się papierosa sparzył mu opuszki palców, zdusił jego resztkę w popielnicy stojącej na biurku i wstał.

– Dziękuję, pani Hartmuth. Była pani bardzo pomocna.

– Panie komisarzu, zawsze jestem gotowa na służbę dla Rzeszy i Führera – odpowiedziała kobieta. Wstała, w milczeniu uściśnęła dłoń komisarza i wyszła.

Joseph Krupke ponownie wyjął z biurka papierośnicę i zapalił kolejnego papierosa. Podeszedł do okna i zamyślił się. Tak, wiedział, że pani Hartmuth była osobą, na którą zawsze będzie mógł liczyć, zwłaszcza w tak delikatnych sprawach, jak konfrontacja z komisarzem Thiedtkem. Wdowa po komisarzu gdańskiej policji, weteranie, który we wrześniu tysiąc dziewięćset czternastego odebrał Krzyż Żelazny z rąk samego generała von Hindenburga, gdy ten urodzony w Posen syn pruskiego oficera wizytował Danzig, by spotkać się z żołnierzami regimentu piechoty z Neufahrwasser, pod Tannenbergiem wsławionego zdobyciem dziesięciu rosyjskich armat

w pierwszym dniu bitewnych zmagani, była fanatyczną wyznawczynią narodowego socjalizmu.

Urodzona w Glogau córka pruskiego urzędnika, który przystąpił do Deutscher Ostmarkenverein, gdy ten tylko powstał, wychowała się w cieniu makatki wyhaftowanej przez matkę dla uczczenia tego faktu. Starannie wykonany haftem krzyżkowym napis głosił: „Stoicie naprzeciw najgroźniejszego, najbardziej fanatycznego wroga niemieckiej egzystencji, niemieckiego honoru oraz niemieckiej reputacji na całym świecie – naprzeciw Polaków”, co było oficjalnym mottem Hakaty. Makatkę zawieszono w kuchni koło kredensu i każdego dnia, gdy rodzina zbierała się na posiłek, wszyscy jej członkowie patrzyli na ów napis wykonany granatowym kordonkiem, podnosząc do ust kolejne łyżki zupy. Gdy w Paryżu nowoczesny świat z ufnością patrzył w nowy wiek, bawiąc się zgodnie z ideą barona de Coubertina, a wyznawcy Mojżesza w Berlinie byli bardziej bezpieczni od współbraci w Odessie i Kiszyniowie, przyszła pani Hartmuth opuściła rodzinne Glogau, by udać się do Danzig i poślubić młodego oficera z tamtejszego regimentu piechoty, którego poznała w czasie ślubu kuzynki, też żony gdańskiego żołnierza.

W mieście, którego rytm wydzwaniały carillony na wieżach ratusza i St. Katharinenkirche, młoda pani Hartmuth zajęła się szerzeniem idei przejętych od pozostałego w Glogau ojca. Jako nauczycielka historii w szkole powszechnej w Neufahrwasser zwalczała wszelkie przejawy polskości. Dwudziesty czwarty września, gdy jej mąż, Oberleutnant Willi Hartmuth, odbierał Krzyż Żelazny z rąk samego generała von Hindenburga, był dla niej dniem największej dumy. Cztery lata później, gdy umiłowany przez nią cesarz Wilhelm dziesiątego listopada uciekł do Holandii, przeżyła dzień największego upokorzenia. Była przeciwniczką postanowień traktatu wersalskiego, utworzenia Wolnego Miasta i całej tej, jak mówiła,

zdegenerowanej Republiki Weimarskiej. Stała się zaś zagorzałą wyznawczynią volkizmu, a potem nazizmu, i kiedy narodowi socjaliści wygrali wybory do Volkstagu, a po rezygnacji Hugona Althoffa i zmianie poglądów przez senatora Wiercińskiego-Keisera NSDAP objęła całkowicie gdański Senat, znowu odczuwała dawną dumę z powodu bycia Niemką.

Kiedy Niemcy zajęli Gdingen, pani Hartmuth udała się do prezydium przy Karenwall i już jako wdowa po komisarzu policji, weteranie Wielkiej Wojny, zażądała możliwości przeniesienia się do miasta przemianowanego na Gotenhafen, by tam krzewić niemieckie ideały wśród miejscowych volksdeutschów i bałtyckich Niemców, którzy osiedlali się w miejsce Polaków wywiezionych w głąb Generalnej Guberni. Partia zapewniła jej mieszkanie na drugim piętrze kamienicy przy Adolf Hitler Platz, jasne i przestronne, z balkonem od frontu, z którego widać było promenadę wybiegającą daleko w morze. Pani Hartmuth chwaliła sobie lokal, należący wcześniej do polskiego lekarza, choć początkowo narzekała, że czuje drażniący ją, bo zbyt intensywny zapach ziół marki Erbe, które znalazła poutykane w szafach wśród obrusów i prześcieradeł.

Jako emerytowanej nauczycielce, wdowie po bohaterze spod Tanenbergu i oddanej działaczce partii powierzono jej w szkole powszechnej przy Horst Wessel Strasse nadzór nad wcielaniem w życie polityki, jaką przyjęła Rzesza dla szkolnictwa na terenach, na których pozostali jeszcze Polacy – co oznaczało głównie ścisłą kontrolę, by polskie dzieci stłoczone w etnicznych klasach używały wyłącznie języka niemieckiego, a ich edukacja, ograniczająca się do czterech klas, nie przynosiła wiele więcej poza przekonaniem o wyższości narodu niemieckiego, któremu w przyszłości miały służyć.

Pani Hartmuth lubiła swoją pracę, polegającą na obserwowaniu działalności młodszych od niej nauczycieli, i spędzała w szkole każdego



dnia długie godziny, choć nie była już młoda. Joseph Krupke poprosił ją, by porzuciła swoje szkolne obowiązki na jedno popołudnie, by odegrać rolę Waltraud Thiedtke, bo wiedział, że pani Hartmuth znała komisarza. Jej mąż do trzydziestego szóstego roku, gdy łowiąc ryby w Motlau, pewnego niedzielnego poranka umarł nieoczekiwanie na serce, a więc przez prawie dwie dekady, pracował przecież w Prezydium Policji przy Karenwall. Krupke miał nadzieję, że Franz Thiedtke, mając przed sobą osobę, która podszywa się pod jego żonę, zdradzi się gestem, grymasem twarzy, zaprotestuje, w każdym razie zrobi coś, co pozwoli mu przekonać się, że amnezja emerytowanego komisarza to tylko nieudolny wybieg, sposób, by odwlec złożenie zeznań, próba stworzenia sobie alibi. Bo nie wierzył, by jego dawny przełożony, człowiek, który poświęcił życie tropieniu morderców, sam w końcu został jednym z nich. Choć, to Krupke wiedział już z własnego doświadczenia, ludzie zwykle sami nie wiedzieli do końca, co czaiło się w ciemnych zakamarkach ich dusz, sprawiając, że żyjący według ustalonego rytuału drobnomieszczenie zamieniali się nagle w bezwzględnych nożowników, a spokojni na co dzień sklepikarze i robotnicy portowi w grupie tracili umiar, atakując nie tylko odgórnie wskazany im wrogi element, który pozostał jeszcze w tkance miasta, ale i zwykłych mieszkańców, którzy przypadkiem znaleźli się na ich drodze. Krupke wiedział, że czasy, w których przyszło mu żyć, wymagały niekiedy zmiany systemu wartości i dostosowania go do zadań, jakie przed każdym Niemcem stawiała Rzesza, ale Franz Thiedtke, był o tym przekonany, nie należał do ludzi, którzy zmienialiby swoje poglądy i zachowanie, nie wspominając o wartościach i ideałach. Dlatego po przejściu na emeryturę odsunął się od dawnych znajomych z pracy i wyprowadził z żoną Waltraud do Langfuhr – po pierwszym wrześniu w Prezydium Policji przy Karenwall nikt już o nim nie słyszał.

Krupke był przekonany, że Franz Thiedtke nie był winien morderstwa Aloisa Richtera, chciał więc udowodnić jego niewinność, jednak z rozdrażnieniem myślał o tym, że emerytowany komisarz nadal go nie doceniał i zamiast ułatwić mu rozwiązanie sprawy, udawał amnezję. Jednak z kolei relacja pani Hartmuth, której mógł bez obaw zaufać, świadczyła, że Thiedtke naprawdę nic nie pamiętał. To zdecydowanie utrudniało dojście do prawdy, choć nie przekreślało jednoznacznie możliwości rozwiązania sprawy. Jednak wmieszanie się do niej gestapo właściwie to uniemożliwiało.

– Panie komisarzu! – W drzwiach ponownie ukazała się głowa Marthy Müller.

Krupke drgnął. Popiół z papierosa, którego trzymał między palcami, opadł na podłogę.

– Panie komisarzu, szef pana wzywa – powiedziała sekretarka.

Zdusił reszkę papierosa w popielnicy, poprawił marynarkę i przygładził rzadkie włosy, po czym poszedł do gabinetu Sturmbannführera Helmutha Müllera.

– Pan mnie wzywał – powiedział, gdy sekretarka szefa gdyńskiej policji wprowadziła go do gabinetu na pierwszym piętrze.

Müller skinieniem ręki odesłał sekretarkę i wskazał Josephowi Krupkemu wolne krzesło po drugiej stronie biurka, przy którym siedział.

– Zapewne wie pan, dlaczego chciałem pana widzieć, komisarzu – powiedział.

– Domyślam się, że chodzi o sprawę morderstwa w Adlershorst. – Krupke poprawił się na twardym krześle.

– O sprawę zabójstwa Obersturmführera Aloisa Richtera, dokonanego prawdopodobnie przez emerytowanego komisarza policji kryminalnej

Franza Thiedtkego – słowa Helmutha Müllera zabrzmiały głucho, ale dobitnie.

Müller był krępy męczyzną o szerokim karku i krótko ogolonej głowie. Dobiegał pięćdziesiątki, ale trzymał się prosto i wyglądał na sprawnego fizycznie. Krupke czuł przed nim respekt, jednak podszyty niechęcią, uważał bowiem, że Sturmbannführer zupełnie nie orientował się w sytuacji, w której po zajęciu Gotenhafen znaleźli się przesiedleni tu obywatele Wolnego Miasta, w obcym sobie miejscu wprowadzający nowy, niemiecki ład.

Führer chciał, by zmiana nazwy świadczyła o germańskim charakterze tego miejsca, jednak ani Joseph Krupke, ani miejscowi volksdeutsche, ani delegowani z Kilonii do pracy w tutejszej stoczni niemieccy robotnicy i inżynierowie nie traktowali tego z dostateczną powagą. Być może mieszkały tu kiedyś starogermańskie plemiona, ale Krupke doskonale pamiętał, jak pod boki Danzig zaczęło wyrastać budowane przez Polaków miasto, i nie był w stanie wymazać z pamięci artykułów, które ukazywały się w „Danziger Vorposten” i „Danziger Neuste Nachrichten”. Redaktorzy pisali w nich o groźnym konkurencie dla portu w Danzig i złych warunkach, w jakich mieli mieszkać obywatele polskiej Gdingen. Teraz nie było już Gdingen, ale osiedleni w mieście Niemcy całkiem chwalili sobie otoczenie, w jakim znaleźli się po przyjeździe, bo miasto nie było ani ciasne, ani brudne, a im dostały się nie tylko kamienice w nowoczesnym centrum, ale też to wszystko, czego nie mogli zabrać ze sobą ci, o których pamięć w mieście pozostała już tylko w opuszczonych filizankach z trudnego do wymówienia dla przybyszów Ćmielowa, zamkniętych w fornirowanych czeczotką kredensach, w platerowanych dzbankach i kryształowych cukiernicach z warszawskiej Hefry. Zepchnięci na obrzeża miasta albo wywiezieni pod Lublin i Kielce, do Chojnic

i Kościerzyny, nie byli obecni w świadomości tych, którzy przejęli ich sklepy i warsztaty, mieszkania i samochody, lnianą pościel i wykrochmalone obrusy, tych, którzy zawłaszczyli ich świat materialny, ale nie będąc w stanie zniszczyć ich pamięci, odesłali tam, gdzie pamięć przeszłości była wypierana przez walkę o codzienność.

Nowi słuszni obywatele niemieckiego Gotenhafen zamiast niepotrzebnie oglądać się wstecz, woleli patrzeć w przyszłość, a ta leżała w basenach portowych, gdzie urządzano bazę Kriegsmarine, największą na całym Ostsee. To tutaj stacjonował Tirpitz, zanim stał się postrachem konwojów alianckich do Murmańska, tutaj zacumowały Prinz Eugen, Gneisenau i Schleswig-Holstein, który po ostrzale Westerplatte i udziale w walkach o polskie wybrzeże we wrześniu trzydziestego dziewiątego zamieniono w statek mieszkalny. To tutaj opłakiwano pancernik Bismarck, którego Gotenhafen wyprawilo w ostatni rejs, gdy „dumą Rzeszy”, jak mawiał o nim sam Führer, admirał Tovey ze swoją Home Fleet zatopił w drodze do portu w St. Lazare, strzelając do największego pirata Atlantyku niczym do pozbawionej możliwości ucieczki kaczkę. To tutaj inżynier Edgar Matzkeit stanął na czele filii kilońskiej stoczni, która przejęła budowę i naprawę mniejszych jednostek nawodnych i u-bootów, mogących wypływać na Bałtyk po odblokowaniu wejścia do portu, gdy z basenów portowych usunięto wraki greckiego statku Joannis Carras i polskiego Torunia, zatopionych szóstego września trzydziestego dziewiątego przez Polaków. To właśnie port i stocznia miały zapewnić Gotenhafen rację bytu, by miasto mogło stanowić zdrową teraz, bo niemiecką, konkurencję dla starego Danzig.

– Sturmbannführer, nie mamy jeszcze jednoznacznych dowodów, że mordercą Obersturmführera Aloisa Richtera jest komisarz Franz Thiedtke –

powiedział Krupke, przypatrując się uważnie nieruchomej twarzy Helmutha Müllera.

– Komisarzu, Franz Thiedtke był pana przełożonym w Danzig – odparł Müller. – Obawiam się, że może być pan nieobiektywny.

– Sturmbannführer, jestem doświadczonym policjantem. Moja znajomość z komisarzem Thiedtkem miała charakter wyłącznie służbowy i nie ma żadnego wpływu na przebieg tej sprawy. – Krupke uniósł się z krzesła.

– Dobrze, dobrze, komisarzu. Niech się pan tak nie denerwuje – uspokoił go przełożony, wskazując dłonią, by usiadł. – Wiem, że jest pan dobrym funkcjonariuszem, któremu można w pełni zaufać. Gdyby tak nie było, nie zostałby pan wysłany z bezpiecznego Danzig tutaj, do Gotenhafen. Jednak zdaje pan sobie sprawę z faktu, że nie możemy wykluczać innych motywów tego zabójstwa niż względy osobiste. – Müller zrobił pauzę, upewniając się, że jego słowa zostały należycie zrozumiane. – Obersturmführer Richter był członkiem specjalnej grupy, którą kierował od trzydziestego dziewiątego roku dyrektor rządowy, SS-Sturmbannführer doktor Rudolf Tröger.

– Tak, doktor Tröger był kierownikiem policji kryminalnej w Danzig – uzupełnił Krupke, dając do zrozumienia, że nie ma potrzeby, by tłumaczono mu to, o czym sam dobrze wiedział.

– Tak, oczywiście. Pan był komisarzem w Danzig. – Müller lekko się uśmiechnął. – Obersturmführer Richter został członkiem oddziału, który działał u nas, w Gotenhafen, pod dowództwem Sturmbannführera Friedricha Claasa. Wiele osób, komisarzu, chciałoby być całkowicie przekonanych, że to morderstwo nie miało podłoża politycznego, co w przypadku kogoś takiego jak Obersturmführer Richter jest wysoce prawdopodobne. Wiele osób, komisarzu – powtórzył z naciskiem. –

Dlatego postanowiłem, że to nie my będziemy prowadzić śledztwo, a nasi przyjaciele ze Steinbergu.

Joseph Krupke przygryzł wargi.

– To rozkaz, rozumie pan?

– Tak jest, Sturmbannführer. – Joseph Krupke podniósł się z krzesła. –

Czy to wszystko?

– Tak, może pan odejść, komisarzu.

## ROZDZIAŁ

# 6

– Doktor Schwarz podał pacjentowi dożylnie jedną dawkę hexobarbitalu.

– Dawno?

– Mniej więcej godzinę temu.

– Nie, siostrze. To wygląda na zastrzyk podany przed kilkoma godzinami. Jest wyraźne zasinienie spowodowane iniekcją, wylew podskórny. Opuchlizna może świadczyć o zapaleniu żyły. Niemożliwe, żeby zastrzyk sprzed godziny spowodował tak szybką reakcję.

– Pani doktor, bo to nie ta ręka. Doktor Schwarz podał hexobarbital z drugiej strony.

– Z drugiej strony? Jest pani pewna?

– Tak, pani doktor. Tak jest napisane w karcie pacjenta.

– W takim razie, co mu podali w lewą rękę?

– Nie mam na ten temat żadnej informacji.

– Doktor Schwarz nic pani nie mówił?

– Nie, pani doktor. Doktora Schwarza wezwano do aresztu w Prezydium Policji godzinę temu. Wcześniej nie widział pacjenta.

– Dobrze. Jak nazywa się pacjent, siostrze?

– To Franz Thiedtke, pani doktor.

– Panie Thiedtke! Panie Thiedtke, słyszy mnie pan?

Franz poczuł delikatne klepięcie w policzek. Kobięcy głos, który od kilku chwil dochodził do niego stłumiony i cichy, stał się wyraźniejszy i bliższy.

– Co z nim zrobią, jak się obudzi?

– Mamy od razu zawiadomić gestapo.

– Gestapo? Przecież to Niemiec.

– Nie wiem, pani doktor. Tak powiedział doktor Schwarz.

– Tak, siostró, oczywiście. To nie nasza sprawa.

Franz próbował się poruszyć. Szpitalne łóżko było równie twarde jak więzienna prycza, jednak zapach środków odkażających, których używano do dezynfekcji szpitalnej pościeli, był daleko znośniejszy od smrodu brudnego koca w areszcie. Uniósł powieki, biel ścian i fartuchów pochylających się nad nim kobiet zlała się w oślepiająco jasną plamę, więc zacisnął je szybko z powrotem.

– Panie Thiedtke! Panie Thiedtke! Niech się pan obudzi! – Głos był miły, nienapastliwy, raczej uprzejmy. Sprawił, że Franz wysilił mięśnie twarzy i unosząc ponownie powieki, zapytał bełkotliwie:

– Gdzie ja jestem? Co się stało? Która godzina?

– Jest pan w szpitalu przy Litzmannplatz w Gotenhafen. Pamięta pan, jak się nazywa?

– Co się stało?

– Przywieziono tu pana z Prezydium Policji. Dostał pan środek usypiający, ale teraz już czas się obudzić. Proszę powiedzieć, jak się pan nazywa.

– Franz Thiedtke. Franz Thiedtke.



– Tak, bardzo dobrze, panie Thiedtke. Ja się nazywam doktor Kamieńska. Bardzo mi miło. A pamięta pan, jaki to dzisiaj mamy dzień?

– Nie... ja... nie wiem, pani doktor. Ja nic nie pamiętam.

– O, tym niech się pan nie przejmuje. Poczuj się pan lepiej i wszystko pan sobie przypomni. A dziś mamy piątek. Początek października, a ciepło jak w lato. – Lekarka rozchyliła delikatnie powieki Franza Thiedtkego, przyglądając się uważnie jego źrenicom. Jej ręce były chłodne i suche.

– Nie, pani doktor... – Głos komisarza ciągle był bełkotliwy i trudno zrozumiały. – Ja nie pamiętałem wcześniej... Nic... Oni mnie oskarżają o morderstwo, ale ja nie pamiętam... Nie wiem, czy to ja... Nie wiem, co się stało. Nie pamiętam żony. Nic... – Usiłował unieść się na szpitalnym łóżku, ale lekarka powstrzymała go, łagodnie popychając z powrotem na poduszkę.

– Niech się pan uspokoi, panie Thiedtke. Na razie musi pan dojść do siebie po zastrzyku, który pan otrzymał. Proszę się położyć. – Pokazała coś pielęgniarce i chwilę później Franz otrzymał kolejny zastrzyk. – Zrobiłam panu zastrzyk na uspokojenie, panie Thiedtke. Nie straci pan już przytomności, niech się pan nie obawia. Jak pan dojdzie trochę do siebie, zajmiemy się pańską pamięcią, dobrze?

– Znowu ten ból głowy... – Franz zacisnął powieki, bo razem z napływającą falą bólu jego świat ponownie zaczął tracić właściwe proporcje. Miał wrażenie, że kobieta w białym fartuchu, która przedstawiła się jako doktor Kamieńska, oddała się nieoczekiwanie, a sufit opada, by za chwilę zmiażdżyć i ją, i jego, leżącego na szpitalnym łóżku.

– Czy dostał pan wcześniej jakiś zastrzyk? Pamięta pan?

– Nie, nie.

– Nikt nic panu nie podawał w ciągu ostatniej doby? Niech pan sobie spróbuje przypomnieć.

– Nie, na pewno nie. Tylko to pamiętam. Ostatnią dobę.

– Dobrze, panie Thiedtke. Będę niedaleko, gdyby coś się działo, dobrze?

Doktor Kamińska nie usłyszała już odpowiedzi. Jej słowa rozplynęły się w ciszy, która wraz z ustąpieniem bólu zapanowała w głowie komisarza.

– Proszę tu zostać i informować mnie, gdyby coś się działo – przykazała pielęgniarce i wyszła na korytarz. – Pacjent śpi – powiedziała do siedzącego przed drzwiami młodego Rottenführera, który na jej widok wstał. – Zawiadomię pana, kiedy będzie w odpowiednim stanie, żeby go stąd zabrać – dodała z naciskiem.

SS-man bez słowa opadł na krzesło, a doktor Kamińska poszła do swojego gabinetu. Dzieliła go z Ottonem von Grotem, ale teraz była sama. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do okna, otworzyła je szeroko i z kieszeni fartucha wyjęła w połowie pustą paczkę papierosów. Wyjęła jednego, zapaliła i wciągnęła głęboko dym, który zatańczył w popołudniowym słońcu, gdy wypuściła go wolno z płuc. Wyrzuciła niedopałek za okno, zamknęła je i usiadła za biurkiem. Usiłowała ułożyć teczki z kartami pacjentów, ale zsuwały się ciągle, zajmując cały blat. Spojrzała z zazdrością na biurko Ottona von Grota i pomyślała, że niemiecki porządek doprowadza ją do obłędu.

Otto von Grot we wrześniu trzydziestego dziewiątego został wcielony do Wehrmachtu i w stopniu Oberleutnanta wysłany do Gotenhafen, by czuwał nad zdrowiem chłopców ściągających do powstałej tu bazy Kriegsmarine. On sam zdecydowanie wolał Danzig z jego manierystycznymi kamienicami, pruskim murem i wąskimi zaułkami, bo przypominał mu rodzinną Bremę, ale wiedział, że służba w wojsku to podporządkowanie rozkazom, poza tym mógł trafić gorzej – mogli go przecież wysłać do Generalnej Guberni. Otto von Grot nie miał

w Gotenhafen żadnych znajomych, więc większość czasu spędzał w szpitalu przy Litzmannplatz. Doktor Kamińska pomyślała, że powinien być o tej porze w szpitalu. Nie zawiadamiał nikogo, że się spóźni. Ale wcale nie była zawiedziona, że jest w gabinecie sama. Niespecjalnie lubiła doktora von Grotta.

Doktor Kamińska była Polką, choć miała w sobie też krew węgierską. Jej ojciec, również lekarz, pochodził z Budapesztu, lecz spędził w nim tylko dzieciństwo. Od czasu, gdy wyjechał na studia do Wiednia, do domu już nie wrócił, po zakończeniu nauki obejmując praktykę w galicyjskim Lwowie, gdy ten należał jeszcze do C.K. Monarchii. Tam poznał swą przyszłą żonę i matkę swoich dwóch córek i tam pewnie spędziłby resztę szczęśliwego życia, gdyby nie Gawriło Princip, który w leżącym na drugim końcu cesarstwa Sarajewie zastrzelił austriackiego następcę tronu i jego żonę, wprowadzając tym samym cywilizację europejską w wiek dwudziesty, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, gdy po zamachu rozgryzł kapsułkę z cyjankiem, by nie trafić przed oblicze cesarsko-królewskiego sądu. Trucizna nie zadziałała, więc miał jeszcze okazję, by przyglądać się skutkom swojego czynu, bo w chwili zamachu był zbyt młody, by pójść na stryczek, skutkiem czego tkwił kolejne lata w wilgotnej celi, nim w końcu zmarł w więziennym szpitalu. Gdy ojciec doktor Kamińskiej czytał w gazecie o Gawriło Principie i jego browningu kaliber 7,65, nie zdawał sobie sprawy, że niebawem będzie musiał opuścić swój Lwów – mieszkał tu już dwie dekady i dawno miasto rodzinne małżonki uznał także za swoje – a więc, że niebawem przyjdzie mu pożegnać to miasto i pozostawić tu swoją przeszłość. Do Lwowa zbliżał się wróg, a on postanowił skorzystać z pomocy pewnego młodego Rittmeistra, swego krajana z Budapesztu. Dzięki tej pomocy rodzina lwowskiego doktora wyjechała do Krakowa, nim na ulicach miasta pojawili się Rosjanie.

Ów Rittmeister był odważnym żołnierzem – zasłużył się w bitwie pod Gorlicami, za co awansowany został do stopnia majora. A kiedy trzeciego listopada sztab imperialny w całym swym cesarsko-królewskim majestacie podpisał kapitulację, jeszcze w mundurze pokonanej armii stawił się w domu doktora, by prosić o rękę jego starszej córki. Wkrótce były major stanął z pasową z przejęcia Hanią przed ołtarzem kościoła Przemienienia Pańskiego, który za białą fasadą krył rozbuchane późnobarokowe wnętrze, po czym zabrał swą młodą żonę do Weimaru, gdzie otrzymał posadę nauczyciela kompozycji, bo w cywilu był muzykiem. To dzięki niemu doktor Kamińska nie znalazła się w bydłącym wagonie, który dwie dekady później wywoził do Generalnej Guberni budowniczych polskiej Gdyni z peronu numer pięć przy Albert Forster Strasse. Choć porzucił on bowiem sztukę wojenną na rzecz sztuki muzycznej, to jednak tak bardzo nie podobał mu się liberalizm republiki, której narodziny obserwował w Weimarze, że zapisał się do NSDAP, by wzmocnić partię, która utraciła właśnie miejsce w Reichstagu. Kiedy cztery lata później minister Joseph Goebbels powołał Izbę Kultury Rzeszy, prezes wchodzącej w jej struktury Izby Muzycznej, autor poematu *Tako rzecze Zaratustra* i entuzjasta Wagnera – Ryszard Strauss, swą germańską muzyką chroniący żydowską synową, zaprosił go do współpracy. Dawny cesarsko-królewski oficer razem ze swą polsko-węgierską żoną przeprowadził się do Berlina i choć nie zrobił tu wielkiej kariery, miał jednak wystarczające znajomości, by uchronić doktor Kamińską przed losem innych mieszkańców Gdyni. Bowiem gdyby nie interwencja szwagra w Berlinie, Kamińska, żona aresztowanego we wrześniu trzydziestego dziewiątego pracownika Instytutu Bałtyckiego, z Gotenhafen przepędzonego do więzienia w Victoriaschule przy Holzgasse w Danzig, a potem wysłanego do obozu kierowanego przez gdańskiego volksdeutscha Pauly'ego, którego historia

zaczęła się w rodzinie Pawłowskich, a skończyła w powołanym uchwałą Senatu Wolnego Miasta oddziale Wachsturbann „Eimann”, gdyby więc nie interwencja w samym Berlinie, doktor Kamieńska podzieliłaby los swego męża.

Państwo Kamieńscy spotkali się w Krakowie, do którego Stefan Kamieński, weteran wojny polsko-bolszewickiej i uczestnik buntu Żeligowskiego, wysoki i szczupły mężczyzna o pociągłej, pełnej szlachetności, choć znaczony blizną po szrapnelu twarzy, po demobilizacji zjechał, by podjąć studia na tamtejszym uniwersytecie. Kiedy w Toruniu rozpoczął działalność Instytut Bałtycki, świeżo poślubieni państwo Kamieńscy przenieśli się do średniowiecznego miasta, a kilka lat później osiedli w modernistycznej Gdyni, która w błyskawicznym tempie powstawała na nadbałtyckich piaskach dzięki działalności urodzonego w Krakowie, wykształconego w Monachium i zatrudnionego w Chorzowie Eugeniusza Kwiatkowskiego. To tutaj mąż doktor Kamieńskiej organizował oddział toruńskiego instytutu, a następnie jego główną siedzibę, gdy zdecydowano, że placówka badająca wszelkie przejawy polskości na Pomorzu powinna działać w mieście, które dorównując wizji Żeromskiego, stało się symbolem Drugiej Rzeczypospolitej.

W tym czasie doktor Kamieńska, choć zajęta urzędzaniem przestronnego mieszkania na pierwszym piętrze reprezentacyjnej kamienicy przy ulicy Świętojańskiej, rozpoczęła pracę w szpitalu św. Wincentego przy placu Kaszubskim, który prowadziły siostry ze Zgromadzenia Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Kiedy w Danzig wybuchła wojna i żołnierze Wehrmachtu, z radosnym śmiechem pozując do zdjęć, niszczyli szlabany graniczne w Kolibkach, doktor Kamieńska opatrywała polskich żołnierzy walczących w Redłowie i Kacku, przypadkowo rannych cywilów i pracujących przy umocnieniach ochotników, którzy zgłaszali się do

I Gdynńskiego Batalionu Ochotniczego, formowanego przez majora Hochfelda po sąsiedzku z mieszkaniem państwa Kamieńskich, przy ulicy Świętojańskiej.

Czternastego września było jednak po wszystkim. Przez okno szpitala widziała gdańskie oddziały Wehrmachtu wjeżdżające na plac Kaszubski. Obserwowała tych pierwszych w mieście niemieckich okupantów w zupełnej ciszy, która zapadła w jednej chwili wśród personelu i tych spośród pacjentów, którzy byli w stanie podejść do okien. Obserwowała i myślała o tym, że to przecież Niemcy, że nie mogą być tacy źli, że Bach, Beethoven, Goethe, że wielowiekowa tradycja kultury jest gwarancją tego, że nie będą zachowywać się jak najeźdźcy łupiący barbarzyńsko podbitych, że gorzej byłoby, gdyby pojawili się tu bolszewicy, bo strach przed nimi wyniosła z domu. Ojciec, związany uczuciowo z cesarsko-królewską monarchią, zawsze wywyższał niemieckojęzyczną kulturę Austrii, pokpiwając co prawda z Prusaków, jednak nie czuł przed nimi takiej obawy, jak przed Rosjanami. Doktor Kamieńska nieraz odwiedzała siostrę w Weimarze, a potem w Berlinie i choć nie przepadała za duszną atmosferą opanowującego wszystko faszyzmu, który rozwijał się w Rzeszy z hałaśliwą aprobatą ulicznego tłumu, zawsze była przekonana, że ludzie, którzy słuchali kantat Bacha i symfonii Haydna, nie mogli ukrywać w sobie bestii, bo tej nie sposób zamaskować obyciem przy stole. Dlatego kiedy dowiedziała się, że jej mąż jeszcze tego samego dnia został zatrzymany jako zakładnik, była przekonana, że uda jej się to wyjaśnić, a najdalej następnego dnia wrócą razem do domu.

Młodzi żołnierze Wehrmachtu, którzy pierwsi wjechali na plac Kaszubski, ustawili szybko dwa karabiny, kryjąc się za kilkoma workami z piaskiem. Po chwili przed szpitalem zatrzymał się czarny mercedes

i wysiedli z niego trzech niemieccy oficerowie. Godzinę później Kamieńska siedziała naprzeciwko nich w gabinecie dyrektora.

– Nazwisko – powiedział ostro jeden z nich. Nie znała się na niemieckich dystynkcjach. Nie wiedziała, czy wojskowi ją przesłuchujący mają wysoką, czy raczej niską rangę.

– Kamieńska. Helena Kamieńska – odpowiedziała.

– Zawód.

– Jestem lekarką.

– Narodowość.

– Jestem Polką.

– Miejsce urodzenia.

– Lwów.

– A kiedy przyjechała pani do Gdingen? – to pytanie zadał mężczyzna siedzący w środku, młody, koło trzydziestki, przystojny, choć Kamieńska poczuła zimny dreszcz, gdy spojrzał na nią niebieskimi szklistymi oczami, uśmiechając się przy tym nieco zbyt uprzejmie.

– Do Gdyni przyjechałam w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku – odpowiedziała, podkreślając wypowiedzianą po polsku nazwę miasta.

– Dlaczego?

– Mój mąż pracuje w Instytucie Bałtyckim. Dostał tu pracę.

– I pani mu towarzyszyła?

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego, prawda?

– Proszę pani, ja tu zadaję pytania. – Z twarzy młodego Niemca nie zniknął uśmiech, choć oczy stały się jeszcze bardziej lodowate, a głos twardy.

– Tak, przepraszam. – Doktor Kamińska czuła irytację. Miała ochotę wyjść, bo nie zdawała sobie jeszcze sprawy, co znaczą okupacja, brak wolności i niemożność dowolnego rozporządzania własną osobą.

– Pani się chyba nigdzie nie śpieszy? – Kpina w jego głosie była upokarzająca.

– Nie, oczywiście, że nie.

– To jak się pani nazywa? – Znowu był przesadnie uprzejmy.

– Helena Kamińska.

– I przyjechała pani do Gdingen z tak daleka?

– Nie, przyjechałam z Torunia.

– O, to bardzo ciekawe. Proszę nam opowiedzieć więcej.

– Urodziłam się we Lwowie, potem mieszkałam w Krakowie, po wyjściu za mąż przeprowadziłam się do Torunia, a w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku razem z mężem przyjechałam do Gdyni. To wszystko.

– Widzę, że z pani podróżniczka. – Niemiec wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu. Nie odpowiedziała. – Czy ma pani w rodzinie krewnych Niemców? – po chwili padło kolejne pytanie.

– Nie – odpowiedziała krótko.

– A jak nazywa się pani mąż?

– Stefan Kamiński.

Otworzył nieduży zeszyt, który leżał przed nim, i zaczął szukać nazwiska, błędząc palcem po kolejnych stronach. Po chwili z głośnym trzaskiem zamknął go i z szerokim uśmiechem zwrócił się ponownie do przesłuchiwanej.

– Przykro mi, pani doktor, ale dziś nie będzie wspólnej kolacji.



– Nie rozumiem. O co chodzi? – Poczwała zimną kroplę potu spływającą po skroni, potem po policzku i wreszcie po gładkiej skórze szyi, by zniknąć za kołnierzem białego fartucha. – Mój mąż nic nie zrobił. Zatrzymaliście go? Gdzie on jest? Jestem pewna, że wszystko można wyjaśnić.

– Pani doktor, tyle pytań. – Niemiec znowu szeroko się uśmiechnął. – A mówiłem, że to ja jestem tutaj od ich zadawania. – Skinął głową i trzeci z mężczyzn, dotąd milczący, wstał i podszedł do doktor Kamieńskiej. Ujął ją boleśnie pod ramię i pociągnął w stronę drzwi.

– Co z nim zrobiliście? Gdzie on jest? – Kobieta usiłowała wyswobodzić się z uścisku, ale mężczyzna był silny.

– Za dużo pytań, pani doktor. Za dużo pytań – jeszcze raz odezwał się prowadzący przesłuchanie Niemiec i nie czekając na wyprowadzenie lekarki, otworzył zeszyt i coś w nim zapisał.

Tamtą noc doktor Kamieńska spędziła na kozetce w swoim gabinecie, niemal bezsennie, bo gdy tylko udało się jej usnąć, wzywano ją do chorych i rannych, nie pozwalając, by w jej głowie legły się nocne koszmary, wypełzające w jej wyobraźni, jeszcze zanim zasnęła.

Rano, jak inni, dostała kawałek ciemnego chleba i lurowatą kawę w szpitalnym kubku. Zjadła w towarzystwie sióstr, które pełniły dyżur, gdy zjawili się żołnierze. Z niepokojem zastanawiały się, co będzie dalej, bo Niemcy pilnowali wyjścia ze szpitala, wydając kategoryczny zakaz opuszczania terenu. Szpital był przepelniony, zewsząd dochodziły jęki rannych, ale prowadzące go szarytki wiedziały, że warunki, które mieli tutejsi lekarze, były i tak daleko lepsze od tych w Babich Dołach, gdzie musiano przeprowadzać operacje przy świetle świec, których zapas kurczył się z każdą godziną walk na Obłuzu i Oksywiu.

Z daleka dochodziły stłumione odgłosy wybuchów na Kępie Oksywskiej, gdzie bronił się jeszcze pułkownik Dąbek, a one, odizolowane

od zewnętrznego świata, nie wiedziały, że pełniący w Gdyni obowiązki komisarza rządu Lucjan Skupień, którego brata, lekarza, doktor Kamińska dobrze znała, przekazał już miasto generał majorowi Eberhardtowi, że z budynku Komisariatu Rządu w alei Piłsudskiego zrzucano polskiego orła, że do basenu portowego wpłynęły pierwsze okręty ze swastykami powiewającymi na bałtyckim wietrze, a gdański gauleiter Albert Forster został szefem zarządu cywilnego miasta. Gdynia w ciągu kilku godzin przestała należeć do swoich budowniczych, tych, którzy pozostawiając w głębi ładu rodziny i przeszłe życie, zawierzyli inżynierowi Wendzie, z całą mocą twierdzącemu, że właśnie tu, w tej piaszczystej kaszubskiej wsi, w której stało tylko kilka krytych słomą chałup, jest najlepsze miejsce do tego, by odrodzona Polska zbratała się z morzem.

O tym, że miasto przestało być polskie, Kamińska przekonała się, gdy koło południa wezwali ją do siebie przesłuchujący Polaków niemieccy oficerowie. Ten, który rozmawiał z nią dzień wcześniej z szyderczym uśmiechem, tym razem był poważny.

– Dlaczego powiedziała pani wczoraj, że nie ma w rodzinie żadnego Niemca? – zapytał bez wstępów.

– Bo nie mam – odpowiedziała zdecydowanie.

– I nie dość, że skłamała pani wczoraj, to kłamie pani znowu?

Nie odpowiedziała.

– Najwyraźniej pan Imre Horvath pamięta o pani bardziej, niż pani o nim – powiedział Niemiec po krótkiej chwili.

Doktor Kamińska nie chciała myśleć o tym, że w momencie wybuchu wojny jej siostra Hanka znalazła się po drugiej stronie frontu. Nie chciała myśleć źle o swoim szwagrze, który w klapę szarej marynarki wpiął z dumą odznakę NSDAP. Nie chciała słuchać wyjaśnień siostry, że inaczej nie

można, że to dla ich wspólnego dobra. Nie chciała też korzystać z pomocy, którą mogłaby otrzymać w samym Berlinie.

– Jest pani wolna. Może pani iść do domu. – Oficer głową wskazał drzwi.

– Co z moim mężem? Też go wypuścicie? – Kamieńska nie ruszyła się z miejsca.

– Żegnam.

Nie wstała.

– Czy chce pani tu zostać na dłużej?

Podniosła się z krzesła i wyszła bez słowa. Teraz myślała tylko o tym, by jak najszybciej wrócić do domu, upewnić się, że Stefan także jest bezpieczny, że nic im już nie grozi.

– Tylko proszę nie zapomnieć przyjść jutro do pracy, pani doktor – rzucił za nią oficer.

Wybiegła ze szpitala i omijając włóczących się grupkami hitlerowskich żołnierzy, którzy wykrzykiwali do niej po niemiecku, pobiegła Świętojańską w stronę domu. Minęła wyludniony skwer Kościuszki, kościół Najświętszej Marii Panny, do którego chodziła w każdą niedzielę, i kino Gwiazda, przed którym kręciło się kilku żołnierzy palących polskie papierosy. W końcu wpadła w bramę kamienicy, w której razem z mężem zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze. Wbiegła po schodach i trzęsącymi się dłońmi próbowała włożyć klucz w zamek. Nie mogła jednak trafić w otwór. Klucz upadł na podłogę, a hałaśliwe uderzenie o wyłożoną kamienną mozaiką posadzkę zwielokrotniło echo pustego korytarza. Kiedy w końcu udało jej się wsunąć klucz, zamek się zablokował i przez chwilę szarpała bez efektu za klamkę. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, w jednej chwili poczuła się zupełnie bezsilna i osamotniona. Zamek ustąpił i dębowe drzwi do mieszkania w końcu się otworzyły.

W środku było cicho. I pusto. Przez duże okna wychodzące na południe wlewało się oślepiające światło wrześniejszego słońca. Doktor Kamińska wbiegła do gabinetu męża. Jego okulary do czytania leżały jak zwykle obok mosiężnej lampy, stojącej na mahoniowym biurku zwróconym w stronę wejścia. W salonie i jadalni nie było widać żadnych oznak zamieszania czy pośpiechu. Kilka płatków herbacianych róż, które stały na przykrytym haftowanym obrusem stole, opadło. W sypialni biedermeierowskie łóżko było pościelone tak, jak zostawiła je, wychodząc z domu rano poprzedniego dnia. Machinalnie poprawiła róg jedwabnej zielonej kapy. Podniosła słuchawkę telefonu, ale był głuchy. Usiadła ciężko na krawędzi łóżka. Powinna coś zrobić, poszukać męża, ustalić jakiś plan działania. Ale w głowie miała jedynie pustkę, a ciało stało się tak ociężałe, że niemal nie była w stanie się poruszyć. Ukryła twarz w dłoniach, nie miała jednak siły, by płakać. Nie wiedziała, co robić. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, jej gdyński wszechświat zawisł w niemym oczekiwaniu, by za chwilę skierować się na zupełnie nieznaną ścieżkę.

Nagle ciszę przerwało nieśmiałe pukanie.

– Pani doktor! Pani Kamińska! – Usłyszała kobiecy głos dochodzący z korytarza.

Poderwała się z łóżka, pociągając za sobą jedwabną kapę, która bezszelestnie zsunęła się na dębowy parkiet.

– Pani Kamińska, jest tu pani? – W drzwiach wejściowych stała niewysoka kobieta o zmęczonej twarzy z zapadniętymi oczami.

– Pani Krasztel! – Doktor Kamińska chwyciła jej rękę, choć kobieta była tylko dość słabo znaną z widzenia sąsiadką. – Niech pani wejdzie. – Otworzyła szerzej drzwi.

– Słyszałam, jak pani otwierała – usprawiedliwiła się pani Krasztel. – Myślałam, że panią zatrzymali. Słyszałam, że cały szpital zamknęli

i przetrzymują wszystkich w środku.

– Tak, spędziłam tam noc. Wypuścili mnie dzisiaj. Wie pani, co stało się z moim mężem?

Kamieńska zamknęła drzwi, sprawdzając wcześniej, czy klatka schodowa jest pusta.

– Pani Kamieńska, oni go przetrzymują w kawiarni Fangrata przy skwerze Kościuszki – powiedziała pani Krasztel. – Kazali się zgłosić wszystkim pracownikom Instytutu Bałtyckiego. Zamknęli sędziów, pracowników Urzędu Morskiego, Komisariatu Rządu, kolei. Pozamykali ich gdzie się dało, w kinie Polonia i w kinie Gwiazda, w kawiarni Fangrata, na kortach tenisowych. Wywiesili ogłoszenia, żeby się zgłaszać. Mój mąż nie chciał iść, ale pani mąż powiedział, że jak nie pójdzie, to sami po niego przyjdą i mogą z tego być nieprzyjemności. No i poszli wczoraj.

– Była tam pani? Można się z nimi zobaczyć?

– Byłam wczoraj. Widziałam się z moim mężem przez okno. Mówił, że są internowani.

– A mój mąż? Był tam?

– Tak, pani doktor. Był. Sama go widziałam.

Kamieńska objęła panią Krasztel. Trwały w tym niemym uścisku kilka chwil, po czym sąsiadka wycofała się bez słowa. Gdy zamknęły się za nią drzwi, lekarka rozejrzała się wokół. Wróciła do sypialni. W lustrze umieszczonym na zewnętrznej stronie drzwi czteroskrzydłowej szafy, którą państwo Kamieńscy przywieźli do Gdyni ze swego mieszkania w Toruniu, zobaczyła własne odbicie. Skóra na twarzy, zawsze gładka i delikatna, zszarzała i pokryła się bruzdami, dodając jej przez minioną noc co najmniej kilka lat. Poprawiła włosy, które w nieładzie rozsypały się spod nasuniętego na jedną stronę filcowego kapelusza. Ze zdumieniem dostrzegła, że jej prawa brew niemal w całości posiwiiała. Przyjrzała się chwilę swemu

odbiciu, bez emocji, nie szukając w lustrze śladów urody, którą się szczyliła, raczej zastanawiając się, co czeka tę osobę, którą widziała przed sobą, po czym otworzyła drzwi szafy i poszukała kraciatedego pledu z wielbłądziej wełny. Pomyślała, że noce we wrzeźniu nawet przy ładnej pogodzie są chłodne, więc na pewno się przyda. Dodała do niego trzy pary skarpet i poszła do kuchni, gdzie z kredensu wyjęła szary papier. Zawinęła w niego pled, skarpetki, dołożyła jeszcze bochenek chleba i pęto suchej kiełbasy, którą znalazła w spiżarce. W mieszkaniu wszystko było na swoim miejscu, w ładzie i porządku, tak jak je pozostawiła. Jakby to wszystko, co stało się w ciągu ostatnich dni, było tylko koszmarem, z którego już się obudziła.

Obwiązała wszystko sznurkiem, zastanawiając się, czy wzięła to, czego najbardziej potrzebuje jej mąż, zamknięty w najelegantszej gdyńskiej kawiarni, gdzie jeszcze niedawno prym wodziła admirałowa Unrużyna, żona szefa Obrony Wybrzeża, broniącego się ciągle na Helu, a urodzonego w Brandenburgu pod Berlinem jako Joseph von Unruh. Nie dowiedziała się tego nigdy, bo chociaż udało jej się przekazać paczkę mężowi (niemieccy żołnierze pilnujący przed kawiarnią Fangrata internowanych Polaków łatwo dawali się przekupić kilkoma paczkami papierosów), od tamtej pory nie widziała swego męża Stefana. Choć tego dnia, gdy do Gdyni przyjechał z Danzig niemiecki Führer, by świętować zajęcie znieawidzonego miasta, co uhonorowano zmianą jego nazwy na Gotenhafen, choć tego dnia, gdy jechał opustoszałymi ulicami miasta, by w towarzystwie swego marszałka obejrzeć pola bitewne na Kępie Oksywskiej, tego dnia, gdy pułkownik Dąbek strzałem w głowę odebrał sobie życie, wraz z tym strzałem zabierając ostatnią nadzieję przetrwania, tego dnia uwolniono wielu przetrzymywanych mieszkańców miasta, ale Stefan Kamieński ani wtedy, ani później do domu już nie wrócił.

Oberleutnant von Plotzke, którego wkrótce dokwaterowano do mieszkania doktor Kamińskiej, dowiedział się, że jej męża zabrano do więzienia przy Schiesstange w Danzig, a stamtąd przewieziono do obozu, który zbudowano nieopodal, by zamykać w nim gdańskich Polaków i tych, którym nie podobało się, że Danzig wrócił do Rzeszy. Od tamtego czasu Helena czekała na powrót swego Stefana. Gdy dostała nakaz opuszczenia mieszkania przy Świętojańskiej, którą nadburmistrz Gotenhafen, pochodzący z Zoppott SS-Brigadeführer Horst Schlichting, zdążył już nazwać Adolf Hitler Strasse, bo przecież w każdym niemieckim mieście najbardziej reprezentacyjna ulica nosiła tę nazwę, a więc kiedy dostała nakaz, by zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy, opuścić mieszkanie, w którym żyli z mężem po przeprowadzce z Torunia, wcisnęła Oberleutnantowi von Plotzkemu karteczkę z adresem na Witominie, gdzie ją przesiedlano, by w razie powrotu Stefana mógł go od razu skierować na miejsce. Jednak mąż nie wrócił, nie miała też o nim żadnych wieści. Korzystając zatem z protekcji berlińskiego szwagra, pracowała nadal w szpitalu, który z końcem września opuściły siostry szarytki, zastąpione przez niemiecki personel, i czekała na powrót męża, każdego dnia modląc się żarliwie o jego szczęśliwy los.

## ROZDZIAŁ

# 7

– Jak się pan czuje? – Franz pomyślał, że lekarka, która się nim zajmowała, miała tak ciepły kojący głos, że już sama rozmowa z nią mogła pacjentom nieść pomoc w chorobie. Uniósł powoli ciężkie powieki i spróbował się uśmiechnąć, bo kobieta była też ładna, choć miała zmęczoną twarz. – Jak się pan czuje? – doktor Kamińska powtórzyła pytanie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział.

– Pamięta pan, jak się nazywa? – Rozchyliła delikatnie jego powieki, przyglądając się źrenicom.

– Franz Thiedtke.

– A wie pan, gdzie jesteśmy? – Wsunęła mu na ramię sztywny rękaw ciśnieniomierza.

– W szpitalu, w Gotenhafen. – Franz czuł coraz większy ucisk, gdy kobieta pompowała powietrze do rękawa. – Mówiłem już, że pamiętam wszystko, co wydarzyło się od Adlershorst... – Lekarka przyłożyła palec do ust, by zamilkł, i trzymając stetoskop przy zgięciu jego ręki, patrzyła na słupek rtęci opadający powoli na skali.

– Nie jest źle, panie Thiedtke – powiedziała po chwili, zdejmując z ramienia Franza rękaw, z którego opadło już całe powietrze. – Czy nadal



boli pana głowa?

– Tak, ale już nie tak bardzo.

– A czy dalej ma pan zaniki pamięci? Czy pamięta pan, co wydarzyło się, zanim przywieziono pana do szpitala?

– Byłem w areszcie...

– Tak... Spróbuj pan wstać? – Doktor Kamińska pomogła Franzowi podnieść się i opuścić nogi na zimną podłogę. Gdy dotknął jej zeszywniałymi stopami, poczuł nieprzyjemny dreszcz. – Proszę obserwować to pióro. – Lekarka wyjęła z kieszeni fartucha małe damskie pióro w zielonej oprawce i przesunęła je w powietrzu na wysokości oczu komisarza. – Dobrze. – Schowała je z powrotem do kieszeni. – A teraz proszę zamknąć oczy i dotknąć palcem prawej ręki czubka swojego nosa.

Franz roześmiał się nerwowo, bo trafił w policzek.

– Proszę powtórzyć, tylko lewą ręką.

Tym razem palec wylądował na powiece.

Otworzył oczy. Doktor Kamińska wyjęła lekarski młotek i uderzyła nim kolejno w oba kolana komisarza. Jego nogi uniosły się odruchowo.

– A teraz proszę się położyć. – Pomogła mu opaść na poduszkę i trzonkiem młotka przejechała mocno po każdej z jego pięt. – Dobrze. To teraz niech mi pan opowie, co pan pamięta, a z czym ma pan kłopoty. – Postawiła krzesło blisko łóżka i usiadła.

– Nie pamiętam nic, co wydarzyło się przed wypadkiem. To znaczy przed morderstwem, o które jestem oskarżony – zaczął komisarz. – Pani wie, że jestem oskarżony o morderstwo? Kiedy się obudziłem, to znaczy kiedy odzyskałem przytomność, ten człowiek już tam leżał. Ale nie wiem, czy to ja jestem mordercą, czy ktoś inny...

– Proszę się uspokoić, panie Thiedtke. Mnie interesuje to, jak się pan czuje.

– Nie pamiętam swojego życia, jeśli o to pani pyta. Nie poznałem swojej żony, nie wiem, czy mam dzieci i gdzie mieszkam.

– A nazwisko? Wie pan, jak się nazywa. Ktoś panu powiedział?

– Nie, nazwisko pamiętałem, tak... mechanicznie.

– Rozumiem. – Doktor Kamińska zawahała się. – Czy pan przyjmuje jakieś leki? Zastrzyki? Może pan powiedzieć?

– Nie, nie wiem.

– Może opisać pan moment, w którym zorientował się pan, że nic nie pamięta? Co się wtedy stało?

– Obudziłem się w hotelu, na podłodze, z bólem głowy... bardzo silnym bólem głowy. A obok leżał denat... – Franz przymknął oczy, by lepiej przypomnieć sobie tamtą chwilę. – To znaczy ten mężczyzna, martwy... Ja byłem zakrwawiony... A on nie żył.

– I nie pamięta pan, co działo się wcześniej? Jak znalazł się pan w pokoju? Czy znał pan tego człowieka?

– Nie... nic nie pamiętam.

– No dobrze. Niech pan odpoczywa. – Doktor Kamińska wstała i odsunęła krzesło, na którym siedziała. – Przeżył pan silny wstrząs i dlatego stracił pan pamięć.

– Czy to znaczy, że w końcu coś sobie przypomnę?

– Tak, oczywiście. To znaczy jestem przekonana, że tak. Niech pan teraz odpoczywa, panie Thiedtke. – Lekarka wstała i uśmiechnąwszy się, wyszła z sali, w której leżał komisarz.

Młody strażnik, który pilnował wyjścia, wstał na jej widok. Minęła go bez słowa i poszła do swego gabinetu. W przeciwieństwie do mieszkania, które musiała opuścić, pozostawiając Oberleutnantowi von Plotzkemu czeczotkowy komplet mebli w gabinecie męża, biedermeierowskie łóżko i jedwabną kapę w sypialni, ćmielowskie filiżanki ustawione równo za

szybą dębowej serwantki i rycinę Gdańska kupioną w czasie wycieczki do Wolnego Miasta w polskim antykwariacie w Sopocie, gabinet w szpitalu przy Litzmannplatz, dawniej placu Kaszubskim, zajmowała ciągle ten sam. Choć teraz dzieliła go z von Grotem.

– Doktor Kamiński?

Zdziwiła się, bo zza jej biurka wstał chudy SS-man z krzywym nosem. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to skutek dawnego złamania, którym nie zajął się żaden fachowiec.

– SS-Oberscharführer Nieman – przedstawił się mężczyzna. – Mam rozkaz doprowadzenia pani do siedziby gestapo.

– O co chodzi? Mam dyżur i nie mogę opuszczać szpitala.

– Proszę się ubrać. To rozkaz. – Głos Oberscharführera był znudzony, jakby SS-man miał dosyć tłumaczenia, że z rozkazami jego przełożonych nikt nie ma prawa polemizować.

– Czy to ma związek z moim mężem? – zaniepokoiła się Kamińska. Ciągle miała nadzieję, że Stefan wróci, choć od ich ostatniego spotkania minęły już cztery lata.

– Nie mogę nic więcej powiedzieć. Proszę ze mną. – Oberscharführer wskazał drzwi. Zdjęła fartuch, włożyła wiszący w szafce żakiet i wyszła za SS-manem z gabinetu.

Siedziba gdyńskiego gestapo mieściła się na Kamiennej Górze, teraz oficjalnie nazywanej Steinberg, w budynku, który przed wojną postawiła firma Polskarob. Jej właściciele stawiali pierwsze w Gdyni portowe żurawie, a z Niemiec przywieźli nawet pierwszą w Europie wywrotnicę, która w sposób wywołujący powszechny zachwyty i zdumienie unosiła cały wagon, od razu wysypując jego zawartość do ładowni statków zacumowanych przy Nabrzeżu Szwedzkim, Belgijskim czy Holenderskim. Modernistyczny budynek, który okrągłą szklaną nadbudówką na płaskim

dachu miał przywoływać na myśl stacjonujące w gdyńskim porcie wojennym okręty podwodne, zwrócił uwagę gdańskiego gestapo, którego funkcjonariusze zajęli go, gdy tylko komisarz rządu Lucjan Skupień przekazał miasto generał majorowi Eberhardtowi w czwartek czternastego września trzydziestego dziewiątego.

Kiedy mercedes, którym Oberscharführer Nieman przywiózł doktor Kamieńską na Prinz Eugenstrasse, zatrzymał się przed prostym geometrycznym budynkiem, z którego okien zwisały unoszące się lekko na wietrze flagi z czarnymi swastykami, kobieta poczuła strach czający się w koniuszkach palców, lęk paraliżujący oddech, jakby głębsze westchnienie mogło ściągnąć na nią złowrogie spojrzenie SS-manów pilnujących wejścia.

W mieście mówiono, że kto wszedł do środka, już do Gdyni nie wracał. Siedziba dyrektora kryminalnego SS-Sturmbannführera Friedricha Classa, tyleż znienawidzonego, co wywołującego powszechny strach, następnie komisarza SS-Hauptsturmführera Hansa Leyera, który na służbę w gestapo zamienił spokojny żywot maklera okrętowego, a w końcu SS-Hauptsturmführera Reinchenbacha, który dopiero organizował swoją pracę przy Prinz Eugenstrasse, była ostatnim miejscem, do którego chcieliby trafić nieliczni pozostali w mieście Polacy, stłoczeni w piwnicach i na strychach Witomina i Grabówka.

Doktor Kamieńska weszła do środka z uniesioną do góry głową, choć sparaliżowana strachem myślała tylko o tym, by opanować mocno drżące dłonie. Wiedziała już, że ani Bach, ani Beethoven, ani Goethe nie mają żadnego znaczenia.

Oficer, który na nią czekał, przedstawił się jako Obersturmbannführer Heinrich Auerbach z Danzig. Poczęstował ją papierosem, a gdy odmówiła, zaproponował kieliszek francuskiego koniaku.

– Dziękuję. Ale muszę jeszcze wrócić do moich pacjentów – powiedziała twardo, ściskając z całych sił splecione na kolanach dłonie.

– Tak, słyszałem, że znakomicie pani leczy naszych chłopców z Kriegsmarine. – Oficer uśmiechnął się i wypił łyk koniaku z pękatego kieliszka. Przez ułamek sekundy rozkoszował się smakiem alkoholu w ustach, a potem pozwolił mu spłynąć ciepłą falą do gardła. – Leczy pani też niejakiego Franza Thiedtkego – powiedział, odstawiając kieliszek.

– Tak, przewieziono go do nas z Prezydium Policji, gdzie dostał ataku szału – potwierdziła Kamieńska.

– Jest pani lekarzem. Co może pani powiedzieć na temat jego stanu zdrowia? – dopytywał Auerbach.

– Myślę, że jest w stanie szoku pourazowego. Zareagował standardowo na podany mu przez doktora Schwarza hexobarbital. To środek usypiający, działa krótko, ale szybko – wyjaśniła.

– Więcej, więcej, droga pani! – ponaglił ją Obersturmbannführer.

– Po wybudzeniu miał rozszerzone źrenice i skarżył się na ból głowy. Powiedział także, że cierpi na zanik pamięci.

– Czy to możliwe?

– Tak. To amnezja.

– Jaśniej, proszę.

– Amnezja to zanik pamięci. Może być całkowity albo częściowy. W przypadku Franza Thiedtkego dotyczy wszystkiego, co wydarzyło się przed traumatycznym wydarzeniem, jakiego świadkiem lub uczestnikiem musiał być w Orło... to znaczy w Adlershorst. Powiedział mi, że jest oskarżony o morderstwo. – Kamieńska słyszała drzenie własnego głosu.

– A pani sądzi, że on naprawdę nic nie pamięta? Czy może tylko udaje?

– Nie, nie sądzę, żeby udawał. Wykazuje elementy szoku pourazowego, który mógł zostać wywołany wydarzeniami z Adlershorst. Amnezja to

wynik szoku, reakcja na traumę.

– To znaczy postanowił, że nie będzie pamiętać?

– Raczej jego mózg tak postanowił. Jego mózg zdecydował, że wymaże z pamięci wszystko, co było wcześniej.

– Czy odzyska pamięć?

– Tak, sądzę, że w końcu amnezja ustąpi.

– Kiedy?

– Tego nie jestem w stanie przewidzieć. Czasem amnezja trwa kilka minut, czasem kilka dni, a czasem może trwać miesiącami albo latami. Trzeba czekać.

– Czy do tego, żeby wróciła mu pamięć, jest coś potrzebne? Znajome miejsce, osoba, nie wiem, jakieś słowo?

– Bardzo mało wiemy o ludzkim mózgu. Dlatego nie możemy przewidzieć, jak może zareagować. Osoba, która cierpi na amnezję, może odzyskać pamięć, znajdując się w znajomym miejscu, patrząc na twarz bliskiej osoby. Albo po prostu zaczyna przypominać sobie wydarzenia, które na dłuższy lub krótszy czas wyparła ze swojej świadomości. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, i nie potrafimy przewidzieć, czy i kiedy osoba z amnezją odzyska pamięć.

– Czyli wiemy, że nic nie wiemy, i nie możemy nic zrobić, żeby coś się zmieniło?

– Mniej więcej tak.

– A jakie jest pani zalecenie lekarskie dla Franza Thiedtkego?

– Musimy poczekać, aż unormują się wszystkie reakcje neurologiczne, ustąpi działanie hexobarbitalu, a potem można tylko czekać na powrót pamięci. Amnezja może ustąpić, kiedy pacjent przestanie narzekać na ból głowy.

– Rozumiem. Dziękuję, to wszystko. – Obersturmbannführer Auerbach sięgnął po słuchawkę telefonu. Kiedy w drzwiach pojawił się Oberscharführer Nieman, powiedział, nie patrząc na niego: – Odwieźcie panią Kamiński do szpitala. I weźcie ze sobą kogoś. Chcę mieć tu Franza Thiedtkego! Za pół godziny, rozumiano?

– Ale on powinien pozostać w szpitalu – zaproponowała lekarka.

– Nie wezwałem tu pani, by pytać o zdanie – odparł ostro oficer, po czym wstał i zanurzając dłonie w kieszeniach spodni, odwrócił się w stronę okna.

## ROZDZIAŁ

# 8

Franz Thiedtke wiedział, że jest w poważnych opałach od razu, gdy przerośnięty dryblas w mundurze SS wtargnął do szpitalnej sali, w której leżał, i nie zważając na prośby pielęgniarki, rozkazał, by pacjent natychmiast się ubrał.

– Ale nie wolno! – zaproponowała pielęgniarka. – Doktor Kamińska powiedziała, że pacjent musi jeszcze leżeć!

– Taki mam rozkaz – odpowiedział twardo SS-man.

– Gdzie mnie pan zabiera? – Franz próbował podnieść się o własnych siłach, był jednak zbyt słaby, by samodzielnie wstać ze szpitalnego łóżka. Pomogła mu pielęgniarka, zdenerwowana, bo SS-man przyglądał się wrogo, gdy komisarz stawał niepewnie na nogach, wciąż oszołomiony podanymi lekami.

– Widzi pan, że pacjent jest zbyt słaby – próbowała tłumaczyć.

Franz mimo starań zachwiał się i opadł z powrotem na łóżko.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach pojawiła się doktor Kamińska, która nie zdążyła jeszcze włożyć lekarskiego kitla i miała na sobie tylko szarą garsonkę. – Powiedziałam, że pacjent powinien zostać jeszcze w szpitalu. – Podeszła do Franza i pomogła mu unieść nogi na łóżko. – Niech się pan



kładzie, nigdzie pan nie pójdzie. – Okryła go kołdrą i zwróciła się do SS-mana: – Dopóki pacjent jest pod moją opieką, ja decyduję, co ma robić.

– Ten pacjent nie jest już pod pani opieką, a moją. – SS-man popatrzył na nią chłodno. – I proszę mnie nie zmuszać, żebym stał się nieprzyjemny, pani doktor.

Franz czuł się jeszcze oszołomiony, gdy dryblas w mundurze wpychał go do czarnego mercedesa stojącego przed wejściem do szpitala. Komisarz uderzył głową w szybę i ciężko opadł na tylne siedzenie. SS-man usiadł obok niego. Rzucił krótką komendę kierowcy i ruszyli natychmiast z piskiem opon, trąbiąc na żołnierzy uciekających biegiem spod kół.

Droga, którą przebyli tą samą Adolf Hitler Strasse, jadąc z Adlershorst, teraz przewijała się komisarzowi jak na zwolnionym zamglonym filmie; poznał ją dopiero, gdy minęli budynek NSDAP, na którym jak poprzednio powiewały flagi. Jednak tym razem samochód skręcił wcześniej, wspinając się pod górę, na której otoczone ogrodami stały okazałe wille. Przed jedną z nich, dwupiętrową, ze szklaną zaokrągloną nadbudówką na płaskim dachu, kierowca zatrzymał auto, a SS-man wyciągnął go na zewnątrz.

Weszli do budynku. Długi korytarz prowadził do ciemnego pokoju, w którym stały drewniane biurko, krzesło i stołek. Na jednej ze ścian wisały rzemienie, baty i pejczy. Wszystkie czyste i dobrze utrzymane.

Po kilku minutach, gdy komisarz ledwie przytomny próbował utrzymać się na pozbawionym oparcia stołku, do pokoju wszedł SS-man o ospowatej twarzy. Utykał na jedną nogę, nie używał jednak laski. Zanim zadał pierwsze pytanie, przyjrzał się Franzowi bez słowa, po czym sięgnął po jeden z wiszących na ścianie pejczy, usiadł za biurkiem i położył go przed sobą. Po długiej chwili zapytał:

– Czy odzyskał pan już pamięć, komisarzu?

– Nie, nic nie pamiętam. – Franz miał wrażenie, że mężczyzna rozplywa mu się przed oczami i z jednej postaci zamienia się w dwie.

– Co pan robił w Adlershorst? – SS-man poprawił pejcz, tak jak urzędnik poprawia niekiedy przybory do pisania.

– Nie wiem.

– Skąd znał pan Obersturmführera Aloisa Richtera? – Mężczyzna wydawał się lekko znużony.

– Nie wiem. – Franz ledwie trzymał się na stołku.

SS-man wyjął z kieszeni munduru paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił.

– Jak znalazł się pan z nim w jednym pokoju w hotelu Adler?

– Nie pamiętam.

– Jak się pan nazywa?

– Franz Thiedtke.

– Gdzie pan mieszka?

– Nie pamiętam.

– Co robił pan w Adlershorst?

– Nie wiem.

– Skąd znał pan Obersturmführera Aloisa Richtera?

– Nie wiem.

– Jak znalazł się pan z nim w jednym pokoju w hotelu Adler?

– Nie pamiętam. – Franz wziął głęboki oddech. – To nie ma sensu! Ja naprawdę nic nie pamiętam, więc nie jestem w stanie nic panu powiedzieć. Możecie mnie tutaj torturować, a ja nie powiem nic więcej, bo nie pamiętam.

– Jak się pan nazywa? – powtórzył SS-man, tym razem wolniej, jakby miało to pomóc komisarzowi w zrozumieniu pytania.

– Franz Thiedtke. Powiedziałem, że to nie ma sensu...

– Skąd znał pan Obersturmführera Aloisa Richtera? – Mężczyzna nie reagował na słowa przesłuchiwanego. Wpatrywał się w niego wzrokiem bez wyrazu, palił papierosa i poprawiał leżący przed nim pejcz.

Franz miał wrażenie, że pytania powtarzały się bez końca. SS-man pytał ciągle o to samo, zmieniając tylko kolejność, jakby w nadziei, że uda mu się wyprowadzić go z równowagi, że w końcu popełni błąd i odpowiedź na to samo pytanie będzie różnić się od tego, co powiedział wcześniej. Ale Franz powtarzał tylko, że nic nie pamięta, że przesłuchanie nie ma sensu, bo zadawane pytania nie przywrócą mu pamięci i gdyby tylko coś sobie przypomniał, natychmiast by opowiedział, bo jemu także zależy na tym, by poznać prawdę.

– Podobno byłem komisarzem policji, więc chyba zależałoby mi na jej odkryciu, nie sądzi pan?

Czas przestał mieć znaczenie. Za zakratowanym oknem zapadł zmrok; pokój, w którym odbywało się przesłuchanie, oświetlała słaba żarówka zawieszona pod sufitem. Pozbawiony oparcia taboret stał się elementem tortury, tym bardziej nieznośnym, im bardziej Franz opadał z sił.

– Słuchaj... – SS-man wstał zza biurka, okrążył je i podszedł do komisarza. Końcem skórzanego pejcza podniósł jego głowę i przytrzymał, by Franz patrzył mu prosto w oczy. – I tak wiem, że to ty jesteś mordercą. Wydaje ci się, że możesz nas okpić? Wykiwać gestapo? Myślisz, że skoro byłeś policjantem, to nas oszukasz? Uważasz, że jesteś od nas mądrzejszy?

Nikłe światło żarówki rozpląnęło się wokół jego sylwetki, ospowata twarz zniknęła w pochłaniającej rzeczywistość mgle. Franz osunął się z taboretu na podłogę, zapadając w ciszę, do której tamten nie miał już wstępu. Pozbawiony świadomości komisarz nie poczuł, jak jego bezwładne ciało uderzyło o posadzkę.

– Pokazałbym ci, jak my tutaj postępujemy z takimi jak ty... – SS-man pochylił się nad nieprzytomnym. Potrząsnął nim, ale Franz nie reagował. – Nazywasz siebie niemieckim policjantem? – Wyprostował się i przeszedł nad ciałem. Odłożył pejcz i wyszedł.

– Panie komisarzu! Panie komisarzu! – Z daleka dobiegł męski głos. Zanim Franz otworzył oczy, poczuł mocny zapach wody kolońskiej, która przebijała się przez unoszący się w powietrzu duszący odór potu. – Dzień dobry, panie komisarzu! – Uniósł powieki i zobaczył twarz pochylonego nad nim mężczyzny, młodą, nienagannie ogoloną. – Bardzo pana przepraszam za zachowanie mojego kolegi – powiedział mężczyzna, pomagając mu podnieść się z podłogi. – Proszę usiąść, panie komisarzu. – Wskazał taboret, z którego Franz wcześniej spadł. Patrząc, jak próbuje się na nim usadowić, zapalił papierosa. – Przepraszam, może pan zapali? – Wyciągnął w jego stronę srebrną papierośnicę.

Franz pokręcił przecząco głową. Był obolały, czuł, że jego twarz spuchła, jakby poprzedni przesłuchujący obił go pejczem. Pomyślał jednak, że to musiałyby przywrócić mu przytomność.

– Nie, nie palę – powiedział, nie patrząc w stronę nowego dręczyciela. Otarł rękawem krew, która pociekła mu z nosa.

– Tak. – Oficer schował papierośnicę, wstał, obszedł dookoła taboret, na którym siedział Franz, i podał mu bawełnianą chusteczkę, którą wyjął z kieszeni spodni.

Komisarz otarł twarz. Krew zabarwiła na ciemno bładoniebieski materiał.

– Zaraz każę przynieść panu śniadanie – powiedział oficer.

– Jeśli liczy pan na to, że za śniadanie powiem panu, co stało się w tamtym hotelu, to pana zawiodę – odezwał się cicho Franz.

Oficer roześmiał się.

– Tak, czytałem zeznanie tej polskiej lekarki, która zajmowała się panem w szpitalu – powiedział, przyglądając się komisarzowi lodowatym wzrokiem. – Twierdzi, że to amnezja, że stracił pan pamięć na skutek traumatycznego przeżycia, że trzeba poczekać, aż zacznie pan sobie przypominać... To ciekawy przypadek, swoją drogą. – Usiadł za biurkiem. – Przed wojną byłem komisarzem policji kryminalnej, zupełnie tak jak pan. W Hanowerze. Zajmowałem się wieloma sprawami o morderstwo, ale nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego, jak z panem. Amnezja. Ktoś powiedziałby, że to wykręt, że pan, jako emerytowany komisarz, który całe życie spędził na łapaniu morderców i bandytów, postanowił zapewnić sobie alibi albo przynajmniej czas na jego znalezienie. Ale ja panu wierzę. – Mężczyzna znowu się uśmiechnął i nachyliwszy się nad blatem biurka, ściszył głos i zapytał: – Chociaż gdyby to jednak był wykręt, to mnie może pan powiedzieć... Naprawdę nic pan nie pamięta?

– Panie... – Franz Thiedtke patrzył na dystynkcje oficera, ale nie potrafił określić jego rangi. – Panie komisarzu – powiedział w końcu. – Jak pan zauważył, jestem emerytowanym policjantem i niemal całe życie poświęciłem, żeby łapać morderców. Czy sądzi pan, że znalazłbym sobie takie alibi, gdybym rzeczywiście coś pamiętał? Poza tym czy jako policjant mógłbym być jednocześnie mordercą?

Oficer zeszywniał, wyprostował się, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

– No cóż. W takim razie pojedziemy do Danzig. Tam porozmawia z panem Obersturmbannführer Auerbach. On w przeciwieństwie do mnie nie wierzy w pana zanik pamięci – powiedział chłodno.

Auerbach? Franz nie wiedział, kim był Obersturmbannführer Auerbach, jednak nazwisko wydało mu się znajome. Próbował wyteńczyć pamięć, jednak w głowie ciągle miał pustkę pochłaniającą to, co wydarzyło się, zanim obudził się w pokoju hotelowym w Adlershorst. Nazwiska plątały

mu się bez związku, nie potrafił dopasować do nich twarzy, więc stawały się tylko pustymi słowami, które dźwięczały niczym zlepek nic nieznaczących głosek, nie wywołując żadnych emocji.

Oficer wyszedł. Chwilę później komisarz dostał kawałek gliniastego ciemnego pieczywa i łyżkę marmolady z brukwi. Do tego lurowatą kawę zbożową w cynowym kubku. Nim zdążył zjeść, do pokoju wszedł dryblas, który przywiózł go wcześniej ze szpitala, i nie pozwoliwszy, by dokończył, zabrał go do stojącego przed wejściem samochodu. W środku, obok kierowcy siedział już oficer, który go przesłuchiwał.

Kiedy Franz znalazł się na tylnym siedzeniu, samochód ruszył. Ulica prowadziła łagodnym łukiem w dół, między parkanami oddzielającymi od szosy zatopione w ogrodach wille. Pomyślał, że okolica, w której siedzibę znaleźli sobie miejscowi śledczy, jest sielska, zbyt sielska na to, co robili w murach budynku ze szklaną nadbudówką. A potem przyszło mu do głowy, że wcale nie podoba mu się ta beztroska okolica.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Komisarz rozpoznał drogę, którą przywieziono go ze szpitala, tym razem jednak kierowca skręcił w przeciwnym kierunku, pozostawiając Gotenhafen za ich plecami. Szosa prowadziła wśród łagodnych zalesionych wzgórz. Kilkadziesiąt metrów dalej ciągnęły się tory kolejowe. Najwyraźniej wyjechali z miasta, bo zabudowania, niskie i nieliczne, pojawiały się coraz rzadziej.

Zaniepokoił się, choć ból głowy, który znowu powracał, i sztywność, którą czuł w całym ciele, obezwładniały i otepiały. Patrząc na przesuwane się za oknem samochodu drzewa, myślał o tym, że ludzie, w których rękach się znalazł, nie wierzyli w jego zapewnienia, najwyraźniej za nic brali jego policyjną karierę, choć trudno mu było nawet się temu dziwić, skoro on sam jej nie pamiętał. Był przekonany, że wyrok już zapadł, on może tylko przyznać się do czynu, nie oczekując za to złagodzenia kary. I zastanawiał

się, czy czując potrzebę znalezienia jednoznacznych odpowiedzi, stara się rzeczywiście dojść do prawdy, czy tylko odwlec to, co nieuniknione.

W samochodzie panowała cisza, zakłócana od czasu do czasu głośnym zgrzytaniem zmienianych biegów. Dryblas siedzący obok komisarza cały czas przyglądał mu się uważnie, oficer, którego wysoko wygolony kark miał przed sobą, siedział bez ruchu. Franz czuł, jak uwięzione w kajdankach ręce drętwieją, skóra jego dłoni zabarwiała się powoli na krwistobrunatny kolor. Właściwie nie miał już ochoty na analizowanie sytuacji, w której się znalazł. Czuł zmęczenie. Nabrał też pewności, że jego los został jasno określony i tę utratę wiary w możliwość dojścia do prawdy, przypomnienia sobie tego, co rzeczywiście wydarzyło się w Adlershorst, przyjął właściwie z ulgą. Teraz pozostawało tylko czekać i biernie uczestniczyć w tym, co przygotowali dla niego inni. Zastanawiał się nad własną winą, nad tym, czy popełnił to morderstwo, czy nie. Może właśnie nadszedł moment, by zapłacić za zbrodnię, której dopuścił się w pozbawionym pamięci życiu, może to los postanowił odebrać, co swoje, więc by odkupić tę winę nie powinien już mu się sprzeciwiać... Był już stary, a to, że nie pamiętał nic ze swej przeszłości, nie zmieniało faktu, iż przeżył już życie, pozostawiając ślad w pamięci innych. Zresztą człowiek pozbawiony pamięci i tak jest już martwy, więc nie było czego żałować.

Powoli zapadał w letarg.

Droga skręciła łagodnym łukiem, minęli budynek szkoły i wjechali w niskie zabudowania. Komisarz nie zdążył dostrzec tabliczki z napisem Adlershorst.

– Uważaj, idioto! – ciszę przeszył ostry krzyk siedzącego z przodu oficera. Samochód podskoczył, szarpnął. Kierowca gwałtownie skręcił kierownicę, wciskając jednocześnie pedał hamulca.

Ostre hamowanie i pisk opon na granitowej kostce drogi wyrwały Franza z zamroczenia. Huk uderzenia i trzask zgniatanej blachy nastąpiły równocześnie. Oficer i kierowca wypadli przez przednią szybę, głowami rozpryskując szkło, które jak w kalejdoskopie opadło tysiącem migoczących w świetle kawałków. Ciało kierowcy uderzyło w drzewo, na którym zatrzymał się samochód, oficer przeleciał nad pogiętą blachą i upadł na trawę kilka metrów dalej. SS-man siedzący obok komisarza runął głową do przodu i uderzył o deskę rozdzielczą, opadając na zasypaną już szkłem podłogę. A Franz poczuł, jak niewidzialna siła wyrzuca go do przodu, jednak fotel przed nim boleśnie go powstrzymał i komisarz spadł, zakleszczając się między jego tylną częścią a kanapą pasażerów. Trzask łamanej blachy i krzyk wyrzucanych z wnętrza samochodu ludzi zmieszały się ze świergotem ptaków siedzących na drzewie, w które uderzył mercedes. Potem ptaki odleciały i zaległa przenikliwa cisza.

Po chwili zaczęły docierać do niego pojękiwania i ciche rżenie, które jednak szybko przerodziły się w głośnie krzyki.

Gdy otworzyły się tylne drzwi samochodu, a głowa Franza poleciała do tyłu, komisarz odzyskał przytomność. Ktoś wyciągnął go z fotela i ułożył na trawie. Ktoś mocno wbił mu palec w tętnicę szyjną, aż dusząc się, zakaszłał.

– Żyje! – oznajmił męski głos.

Komisarz otworzył oczy. Przed nim kilka osób próbowało wyciągnąć zakleszczonego pod kierownicą SS-mana, ktoś pochylał się nad leżącym kilka metrów dalej oficerem. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy uniósł się i obserwując całą niezrozumiałą jeszcze scenę, która rozgrywała się przed nim, powoli usiadł. Minęło kilka długich chwil, nim po drugiej stronie rozbitego mercedesa, którego blachy złożyły się jak kartki papieru,



dostrzegł pogiętą ramę roweru z urwanym kołem. Obok leżał nieruchomo nieznamy mężczyzna. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, co zaszło.

Rozejrzył się wokół. Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy zajęci byli SS-manami, którzy wybijając przednią szybę, wylecieli przez nią na zewnątrz samochodu. Nikt nie zainteresował się nim nawet wówczas, gdy zaczął powoli podnosić się z ziemi. Oparł się o drzewo rosnące przy drodze, bo gdy w końcu stanął, zakręciło mu się w głowie. Zrobił krok i drugi, i kolejny. Nikt na niego nie patrzył, wszyscy zajęci byli ratowaniem ważniejszych, bo ubranych przecież w mundury, ofiar wypadku. Przy rowerzyście też nikogo nie było.

Chwiejnym krokiem ruszył w boczną ulicę. Próbując pod marynarką ukryć skute kajdankami ręce, szedł coraz szybciej, biegł już właściwie, gdy minął budynek, na którym widniała tabliczka „NSDAP Ortsgruppe Adlershorst”. Wiedział, że musi dojść do torów, by posuwać się wzdłuż nich, bo linia kolejowa pozwoli mu trafić z powrotem do Gotenhafen.

Nie miał żadnego planu, nie wiedział, co dalej, co zrobić z odzyskaną nieoczekiwanie wolnością i jak sprawić, by wróciła pamięć, dzięki której wszystko stałoby się jasne i proste, biegł więc przed siebie, aż dotarł do torów. Przeszedł przez nie przez nikogo niezatrzymywany i trzymając się coraz pewniej na nogach, ruszył ulicą biegnącą w stronę lasu, bo zdecydował, że na razie powinien się ukryć. Był pewien, że gdy tylko zauważą jego zniknięcie, natychmiast zaczną go szukać.

Okolica była spokojna i cicha. Idąc Graudenz Weg – tak głosiły tabliczki zawieszane na fasadach jednopiętrowych domów – nie spotkał żadnego przechodnia, jednak zdawał sobie sprawę, że zza robionych szydełkiem firanek, upiętych starannie zasłonek i pluszowych lambrekinów mogą go śledzić czujne spojrzenia, starał się zatem iść spokojnie, by przynajmniej w pierwszym momencie nie zwrócić na siebie uwagi. Z ulgą

dotarł do granicy lasu i rozglądając się na boki, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, wbiegł między drzewa. Dopiero kiedy wspiał się nieco pod górę i niepozobawione jeszcze liści krzaki osłoniły go przed wzrokiem potencjalnych przechodniów, upadł na wilgotną ziemię i oparł o pień drzewa.

Teraz poczuł, że jest zupełnie mokry; wilgotna koszula przywarła do pleców, włosy przykleiły się do twarzy. Lekki wiatr, przeciskający się między drzewami, zmroził go niczym styczniowa wichura. Postawił kołnierz marynarki, bo zaczął drzeć na całym ciele. Pomyślał, że musi iść dalej, bo ciągle jest zbyt blisko miejsca wypadku. Kiedy świadkowie zorientują się, że brak jednej ofiary, zaalarmują policję, a ta natychmiast zacznie go szukać. Szybko dowiedzą się, że człowiek, którego brakuje, to podejrzany o morderstwo emerytowany policjant udający amnezję, zapewne niebezpieczny dla otoczenia. Tak, musi odejść jak najdalej. Wstał, bo zdawał sobie sprawę, że ważna jest każda chwila. Być może już zorientowali się, że zniknął. Być może już go szukają.

Dygotał z zimna.

Podniósł się, otrzepał spodnie z wilgotnej ziemi i zbutwiałych liści i ruszył, obserwując oddaloną o kilkadziesiąt metrów pustą ulicę. Jednak las szybko się skończył i Franz stanął na skraju łąki. Na drugim jej krańcu znajdowały się niskie zabudowania. Zatrzymał się. Nie mógł ryzykować wyjścia z lasu, by nikt go nie dostrzegł. Cofnął się więc w głąb zarośli i skręcił. Las ciągnął się w stronę wzgórz. Wiedział, że droga do Gotenhafen wiodła na północ, wzdłuż torów kolejowych biegnących nasypem, który przecinał łąkę i ginał między zabudowaniami. Należało ominąć łąkę i budynki po jej drugiej stronie, a potem trzymać się torów. Aby pozostać w lesie, musiał nadłożyć kilka kilometrów. Nie zatrzymywał

się jednak, aż doszedł do miejsca, w którym mógł przeciąć drogę wiodącą od strony zabudowań.

Musiało już minąć południe, gdy przyczał się w zaroślach kilka metrów od szosy, by stąd ją obserwować. Po kilku minutach minął go rozklekotany opel blitz, który nadjechał od strony Gotenhafen. Chwilę później pojawiła się furmanka zmierzająca w stronę miasta. Począł, aż zniknie między zabudowaniami, rozejrzał się jeszcze raz i gdy już był pewny, że nikt nie zbliża się w jego kierunku, kuląc się, przebiegł szosę.

Kiedy znalazł się po drugiej stronie, wpadł między drzewa i ukrył się za krzakami. Czuł, jak serce wali mu w piersiach. Brakowało mu tchu, choć przebiegł zaledwie kilka metrów. Za to ból głowy zupełnie ustąpił. Wyjrzał, by sprawdzić, czy szosa nadal jest pusta.

Wokół panowała cisza. Słońce lekko przygrzewało. Ruszył dalej. Gdy serce się uspokoiło, a oddech wyrównał, poczuł się już zupełnie dobrze; mięśnie nóg były jeszcze trochę słabe, ale miał wrażenie, że odzyskał dawną formę. Właściwie to nie wiedział, jaką formę miał dawniej, bo ciągle nie pamiętał tego, co było przed porankiem, gdy obudził się w pokoju hotelowym w Adlershorst. Jednak z pewnością czuł się dużo lepiej niż kilka godzin wcześniej.

Zatrzymał się dopiero nad strumieniem przecinającym las. Zanurzył w chłodnej wodzie chusteczkę, którą w czasie przesłuchania podał mu oficer; zaschnięta na bawełnie krew powoli napęczniała i zabarwiła nurt strumienia na ciemniejszy kolor. Kiedy chusteczka była już czysta, wytarł nią twarz. Długo tarł ręce, sine i opuchnięte, aż skóra na dłoniach stała się nieco czystsza. Obejrzał uważnie kajdanki. Należało się ich pozbyć. Spróbował wyswobodzić ręce z metalowych obręczy, ale nadgarstki były zbyt masywne, by się z nich wysunąć. Zaczął je szarpać, jednak metal wbił mu się boleśnie w skórę. Obejrzał dokładnie zamek. Zajrzał do jego

wnętrza. Pomyślał, że może wystarczyłby kawałek drutu, cienki metalowy pręcik, dzięki któremu udałoby się podnieść zapadkę. Skoro był policjantem, powinien poradzić sobie z otwarciem kajdanek. Musi tylko znaleźć coś, co mu w tym pomoże. Zdjął buty, podwinął nogawki spodni i przeszedł przez strumień.

Chłodna woda była przyjemna. Włożył buty na mokre stopy i ruszył dalej. Zza drzew znowu dostrzegł zabudowania, cofnął się więc w głąb lasu. Buty powoli przesiąkały wodą – czuł, że stają się ciężkie i nieprzyjemnie zimne. Miał wrażenie, że temperatura powietrza obniżyła się o kilka stopni; poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Był już zmęczony marszem, ale postanowił iść dalej. Wkrótce zobaczył nasyp kolejowy, wzdłuż którego ciągnęła się pusta ubita droga. Strumień toczył się leniwie skrajem lasu. Starając się zachować bezpieczną odległość, poszedł wzdłuż nasypu. Niebawem drzewa przeredziły się i las przeszedł w łąkę, którą przecinała biegnąca dalej droga. Tory kolejowe łagodnie zakręcały po przeciwległej stronie łąki, wzdłuż rozciągającego się za nasypem lasu.

Ponownie wycofał się między drzewa i podążył dalej, rękami rozsuwając napierające na niego gałęzie. Pożółkłe liście pod jego dotykiem opadały bezgłośnie na ziemię, cienkie gałęzie łamały się z trzaskiem. Gdy w oddali dostrzegł pojedyncze zabudowania, zatrzymał się i rozejrzał uważnie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że linia kolejowa zawraca i biegnie w stronę, z której przyszedł. Oparł się o drzewo, by chwilę odpocząć. Musiał zastanowić się, co dalej.

Wypadek, nieoczekiwana możliwość ucieczki i wewnętrzny przymus, by iść przed siebie, jak najdalej i jak najszybciej, wszystkie te wydarzenia nie pozostawiły czasu, by zastanowić się nad przyszłością. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest wolny, ale ta wolność jest tylko ułudą, bo

pozbawiony pamięci nie wie, dokąd uciekać i gdzie się ukryć przed tymi, którzy już go na pewno szukają. Nie mając pamięci o własnym życiu ani wiedzy o świecie, w którym obudził się w tamten poranek w Adlershorst, błąkał się po otaczającej go rzeczywistości bez określonego kierunku. Szybko zorientował się, kogo się obawiać, ale ciągle nie wiedział, komu zaufać. Miał w pamięci plażę w Adlershorst (ciągle czuł w ustach słony smak nadmorskiego powietrza), kamienice ciągnące się wzdłuż Adolf Hitler Strasse, którą wożono go w tę i z powrotem, jakby była jedyną ulicą przebiegającą przez miasto, i twarz doktor Kamieńskiej, tak spokojną i jasną, jakby należała do zupełnie innego świata niż ten, z którego pochodzili mężczyźni w mundurach bez określonej rangi, bo on, emerytowany komisarz policji, nie potrafił jej ani określić, ani nazwać. Teraz znalazł się w lesie, którego nie znał, w pobliżu miasta, które nie wywoływało żadnych emocji, w kajdankach, które naznaczą go stygmatem przestępcy, gdy tylko opuści las i wróci między ludzi, bez dokumentów potwierdzających tożsamość i bez samej tożsamości, którą zabrała mu amnezja.

Oparł się o pień drzewa i zdzierając z suchym chrzęstem korę, osunął się po nim na ziemię. Uniósł głowę i chwilę przyglądał się koronom drzew. Suche liście z każdym podmuchem wiatru urywały się z gałęzi i opadały powoli. Nagle ciszę przerwało coś niepokojącego, daleki i stłumiony odgłos, który z każdą chwilą stawał się głośniejszy i bliższy.

Franz doczołgał się do skraju lasu. Zobaczył, że drogą wzdłuż torów kolejowych jedzie motocykl. Kierował nim żołnierz w połowym mundurze; drugi siedział obok w nisko osadzonym koszu. Motocykl posuwał się dość wolno, wzbijając za sobą nieduży tuman kurzu, który opadał szybko na ubitą szosę.

Komisarz poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić, a całe ciało oblewa gorący pot, całymi strugami spływający po karku i plecach. Bał się poruszyć w obawie, by żołnierze nie usłyszeli podejrzanego szmeru, który mógłby go zdradzić. Motocyklista, dojeżdżając do zabudowań, zwolnił i skrzył w podwórko. Żołnierze zniknęli za budynkami, w chwilę później ucichł hałas silnika.

Franz, nie podnosząc się z ziemi, wycofał się w głąb lasu, po czym zerwał się na równe nogi i nie strzepnąwszy nawet liści i piachu, które przyłgnęły do spodni i marynarki, pobiegł przed siebie. Biegł i biegł, nie czując zmęczenia i bólu, aż zatrzymał się w miejscu, które wydało mu się znajome. Szosa biegnąca skrajem lasu, strumień i nasyp kolejowy. Kilkanaście metrów dalej dostrzegł mały kamienny wiadukt pod nasypem. Pomyślał, że linia kolejowa musi łączyć się gdzieś z torami, które biegły równoległe do drogi wiodącej z Gotenhafen. Zagubiony w nieznanym lesie musiał trafić na drugą linię, która prowadziła w stronę zalesionych wzgórz, przecinając je, a nie biegnąc doliną wzdłuż drogi.

Zatrzymał się w końcu, dysząc ciężko. Otarł pot z czoła i rozejrzał się. Było pusto. Postanowił, że przedostanie się na drugą stronę nasypu i poszuka linii kolejowej, która doprowadzi go z powrotem do Gotenhafen. Potem poszuka narzędzia, które pomoże mu pozbyć się kajdanek, bo tylko bez nich mógł wrócić między ludzkie zabudowania, nie wzbudzając zainteresowania przechodniów. Nie wiedział jednak, co znajduje się po drugiej stronie nasypu, postanowił więc poczekać, aż się ściemni i dopiero wówczas wyjść z lasu i przejść pod wiaduktem. Tymczasem usiadł pod drzewem, osłonięty rosnącymi wokół niskimi krzakami, podniósł kołnierz marynarki i nie spostrzegłszy się nawet, zapadł w sen.

## ROZDZIAŁ

# 9

Pastor von Korff każdego wieczoru, gdy jego żona Ilse usypiała ich trzyletnią córkę Mathilde, udawał się do parafialnego kościółka, który objął, gdy zamieniono go ze świątyni katolickiej na zbór luterkański. Modlił się najpierw krótko, a potem zamykał drzwi na klucz i wracał do żony, którą zwykle zastawał w ich małym salonie, pochyloną nad wyszywaniem kościelnych obrusów. Ilse podnosiła swoje zielone oczy znad robótki i uśmiechała się do niego łagodnie, bo cała jej osoba była uosobieniem łagodności i gdyby pastor von Korff miał określić ją tylko jednym słowem, byłaby to właśnie łagodność. Nie przypominał sobie, by Ilse kiedykolwiek narzekała lub miała o cokolwiek pretensje. Przyjmowała wszystko z pokorą, starając się, by jej rodzina jak najlepiej odnalazła się w sytuacji, którą stawiali przed nią Pan i opatrność. Tak jak tamtego październikowego popołudnia, gdy pastor von Korff wrócił do ich drewnianego domku z werandą, który zajmowali w Jürmali, gdzie przeprowadzili się zaraz po ślubie. Gdy powiedział, że mają opuścić Rigastrand, bo tak między sobą nazywali Jürmalę, mają porzucić Kurlandię, Windau i Rygę, rozstać się z krewnymi i przyjaciółmi, porzucić swoich parafian, którzy także podążą w nieznaną, bo gdzieś ktoś tak postanowił, składając podpisy pod aktem, o którego istnieniu ani pastor von Korff, ani

żadna z jego parafialnych owieczek nie wiedziała, gdy przyniósł Ilse wiadomość, że mają porzucić całe swoje życie, by wyjechać w miejsce, o którym wcześniej nawet nie słyszeli, ona podniosła tylko swoje zielone oczy, spojrzała za okno werandy, z którego rozciągał się widok na pustą o tej porze roku plażę, i powiedziała:

– Dobrze, że to miasto leży nad morzem. Bez morza nie wyobrażam sobie życia, Mattheus.

A potem zaczęła pakować rzeczy, choć była w zaawansowanej ciąży. Pastor von Korff uważał, że jego żona jest bardzo dzielną osobą i pod łagodnością ukrywa hart ducha godny prawdziwej Niemki.

Ilse pochodziła z Windau i była córką drobnego kupca. Dlatego nie spodobała się ojcu pastora, który pochodził z kurlandzkiej szlachty i kazał tytułować się baronem. Ojciec pastora, Otto von Korff, wywodził rodzinny rodowód z rycerstwa, które przybyło do Inflant z braćmi niemieckiego zakonu kawalerów mieczowych, choć nie miał na to żadnych dowodów. Wszyscy natomiast wiedzieli, że był spokrewniony z von Korffami, z których pochodziła Maria, wydana za mąż za carskiego ministra sprawiedliwości, dumnego przedstawiciela rodu Nabokowów, przez co dalekim wujem pastora był przedrewolucyjny liberał Władimir, który w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym wsiadł z rodziną na ostatni statek odpływający z ogarniętego rewolucyjnym zamętem Sewastopola i wyjechał najpierw do Anglii, a potem do Berlina. Tam trzy lata później zginął, zasłaniając własnym ciałem przyjaciela, gdy zamachowiec, monarchista i ogarnięty antysemityzmem wyznawca *Protokołów mędrców Syjonu*, wyjął spod marynarki rewolwer i wystrzelił. Władimir Nabokow ocalał życie przyjaciela, pozostawił jednak żonę i pięcioro dzieci, dalekich kuzynów pastora, który stracił z nimi kontakt, wiedział jednak, że najstarszy z nich pisuje pod pseudonimem. Pastor von Korff uważał, że to wielce



interesujące, zwłaszcza że siebie postrzegał także jako sługę słowa, choć nie zatrzymanego na papierze, a bardziej ulotnego, bo trafiającego wprost do uszu parafian, i ubolewał, że nie posługuje się biegle rosyjskim, bo kuzyn mimo studiów w angielskim Cambridge pisał w swym ojczystym języku. Ojczystym językiem pastora, tak jak jego małżonki Ilse, był niemiecki, choć całkiem dobrze radził sobie także z łotewskim. Chciał nawet walczyć w łotewskiej wojnie niepodległościowej przeciwko bolszewikom, ale w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym nawet dodawanie sobie wzrostu i niedawno skończona mutacja głosu nie pomogły mu zaciągnąć się do wojska.

Otto von Korff także nie wziął udziału w walkach, bo choć obawiał się bolszewików, dręczyła go już zaćma, która w końcu doprowadziła do całkowitej ślepoty. Zamknął się wówczas w swoim posępnym mieszkaniu w jednej z tych secesyjnych kamienic, które w Rydze wybudował Eisenstein – architekt wizjoner, wywodzący się z niemieckich Żydów prawosławny konwertyta, opłacany przez łotewskich *bourgeoisie* ojciec twórcy filmowej wizji sowieckiej rewolucji. W mieszkaniu, po śmierci matki pastora von Korffa coraz bardziej zapuszczonym i dusznym, baron Otto von Korff znał każdy sprzęt, każdą porcelanową figurkę stojącą na serwantce w salonie, każdą sztukę rosyjskich sreber przywiezionych z Moskwy przez matkę, bo babka pastora von Korffa była rosyjską arystokratką, rozpoznawał opuszkami palców grzbiet każdej z książek stojących na półkach w bibliotece, znał każdą wypukłość parkietu i zagięcie dywanów z Samarkandy i Buchary, którymi wyłożone były podłogi. Tu czuł się bezpiecznie i kiedy ostatecznie stracił wzrok, nie przestąpił już progu mieszkania.

Pastor von Korff i jego żona Ilse przyjechali do Gotenhafen w pierwszej grupie sprowadzonych tu Baltendeutschów. Był późny październik i kiedy

pociąg wtoczył się na peron dworca przy Bahnhofplatz, za oknem siąpił deszcz, wzmagany podmuchami wiatru znad zatoki. Pociąg z Rygi zatrzymał się na peronie położonym najbliżej przysadzistego budynku dworca. Po drugiej stronie torowiska pastor zobaczył ludzi z walizkami i zarzuconymi na plecy tobołkami, stłoczonych na niewielkim kawałku trawnika oddzielającego tory kolejowe od ulicy. Ludzie siedzieli na swoich bagażach, stali, postawionymi kołnierzami chroniąc się przed podmuchami wiatru, i rozmawiali skupieni w kilkusobowych grupach. Wokół kręcili się żołnierze. Byli uzbrojeni, ale karabiny zarzucili na plecy, paląc papierosy i rozmawiając między sobą.

– My wracamy do siebie, oni do siebie – odezwał się gruby towarzysz podróży pastora i jego żony, który przybył razem z nimi z Rygi. I wzruszając ramionami, uśmiechnął się szeroko.

Na ostatni peron wtoczył się z łoskotem pociąg towarowy i pastor ze zdumieniem stwierdził, że do wagonów zaczęto zaganiać oczekujących ludzi. Spokojni dotąd żołnierze pokrzykiwali teraz, kolbami karabinów poganiając tych, którzy ich zdaniem nie nadążali. Pojawili się strażnicy z psami, które – podenerwowane panującym wokół chaosem – ujadły, wyrywając się w stronę ładujących się do wagonów ludzi. Zapanował chaos. Słysząc było płacz dzieci prowadzonych przez rodziców, którzy trzymali je mocno za drobne rączki, by nie zgubić się w poganianym tłumie. Samotna kobieta w etoli z lisów potknęła się i upadła pod koła pociągu, wywołując tym salwę śmiechu kilku stojących obok młodych żołnierzy; gdy usiłowała wydostać się spod wagonu, wykonywali obsceniczne gesty. W małych zakratowanych okienkach drewnianych wagonów zaczęły pojawiać się twarze ludzi, którzy jeszcze przed chwilą tłoczyli się na peronie.

Pastor widział przerażone oczy, z obawą spoglądające w jego stronę. Poczuł się nieswojo w swoim wygodnym ciepłym przedziale, w którym, choć też stłoczeni i objuczeni pakunkami z tym, co udało się zabrać z poprzedniego życia, pasażerowie siedzieli na miękkich, wyściełanych lekko przetartym materiałem ławkach i czekali na moment, gdy będą mogli postawić pierwsze kroki na nowej ziemi. Dopiero później pastor dowiedział się, że był świadkiem tego, co w Gotenhafen nazywano akcją przesiedleńczą.

Kilka godzin później znalazł się w miejscu, które wcześniej opuścili ludzie z peronu kolejowego. Adlershorst, bo tam zawieziono Baltendeutschów z Rygi, było opustoszałe i złowrogo przygnębiające. Pastor ze zdziwieniem stwierdził, że mieszkanie, do którego skierował go oficer kwaterujący przybyszy, było otwarte, a w drzwiach tkwił klucz. W środku znać było ślady pośpiechu, w jakim opuszczali je poprzedni lokatorzy. Otwarte szuflady kredensu w jadalni były puste. Pastor domyślił się, że ludzie, którzy tu wcześniej mieszkali, zabrali ze sobą cenne sztuce, zupełnie tak samo, jak uczynili to pastor i jego żona Ilse – oni też wzięli rosyjskie srebra po babce von Korff. W kredensie nie brakowało za to starannie ułożonych za szkłem porcelanowych filiżanek i talerzyków, śnieżnobiałych, pozbawionych wzorów, z wyjątkiem namalowanych złotą farbą obwódek, lekko już wytartych, choć nie ujmowało im to wdzięku i lekkości. Niżej stały dwie duże wazy i kilka delikatnych sosjerek, a także srebrne pudełko na cygara, identyczne niemal z tym, które leżało na biurku w bibliotece barona von Korff. Na blacie okrągłego stołu ciągle stał szklany wazon, w którym tkwiły przywiędłe lekko hortensje. Ślady kurzu wskazywały miejsce, które przykryte było wcześniej obrusem. W sypialni pierzyna i poduszki pozbawione były powłoczek, jednak Ilse znalazła we wnętrzu dużej szafy kilka kompletów pościeli, których właściciele nie

zabrali. Nie było ubrań ani rzeczy osobistych, ale pod szafą pastor dojrzał damski trzewik, gustowny, choć z lekka już przechodzony i zakurzony. Szukał innych śladów poprzednich lokatorów, którzy opuścili to miejsce, pozbawiając wszystkie te sprzęty nie tylko właściciela, ale także swojej historii, bo tylko oni mogli ją zapamiętać i przekazać dalej. Razem z ludźmi zniknęła więc pamięć tego miejsca i pastor von Korff, który w Rydze lubił swoje osadzenie w historii budynków, ulic i zamieszkujących ich ludzi, tutaj czuł się jak intruz, który nieproszony wkroczył na nie swoje terytorium.

Gdy myślał o sytuacji, w której się z Ilse znaleźli, przypominał sobie ludzi wywożonych z dworca Gotenhafen wagonami towarowymi i przychodziło mu wtedy na myśl, że kiedyś, kiedy wojna się skończy, a świat na powrót zwróci się do wartości, o których on mówił w czasie swoich niedzielnych kazań, wtedy tamci ludzie powrócą i takimi samymi wagonami odprawią jego, Ilse, małą Mathilde i wszystkich, którzy zajęli ich miejsce wyłącznie prawem silniejszego. Co więcej, pastor von Korff uważał, że będą mieli do tego całkowite prawo, choć on i inni przesiedleni z Rygi nie będą już mieli dokąd wracać, bo miasto zajęli bolszewicy i w sierpniu czterdziestego roku zamienili Łotwę w socjalistyczną republikę, likwidując świat jego młodości. Kiedy w lipcu czterdziestego pierwszego na Łotwę wrócili Niemcy, odetchnął z ulgą, choć zdawał sobie sprawę, że w tych niepewnych czasach najmniej stałe były granice państw. Bo von Korff w duchu nie podzielał entuzjazmu sąsiada, który przyjechał do Gotenhafen w jednym wagonie z nim i Ilse, a potem dostał mieszkanie w tym samym budynku w Adlershorst, do którego na początku skierowano pastora i jego żonę. Masarz Schulz z Windau twierdził, że znał ojca Ilse, który prowadził w mieście mały sklep kolonialny, i czasem zaglądał do jego masarni. Schulz sprzedawał tam würost własnej roboty, jak mówił, najlepszy

w całym Windau. Był bezdzietnym wdowcem, zostawił więc windawską masarnię bez specjalnego żalu i z jowialnym optymizmem, który nigdy go nie opuszczał, wyjechał do Gotenhafen – najpierw dostał nowe mieszkanie w Adlershorst, a potem okazały apartament przy Schlageterstrasse u podnóża Steinbergu i sklep masarski przy Adolf Hitler Strasse, gdzie zaopatrywały się służące najważniejszych funkcjonariuszy w mieście i kantyny Kriegsmarine. On sam zaś opływał w dostatek, którego nadejścia nie podejrzewał nawet, gdy wraz z pastorem i jego żoną oczekiwali na wyjście z pociągu, który przywiózł ich w październiku trzydziestego dziewiątego do Gotenhafen.

W Adlershorst pastor i Ilse mieszkali kilka miesięcy; tu na świat przysła też Mathilde. Powoli zaczęli więc budować własną historię tego miejsca, choć pastor nigdy nie zapomniał ogłoszeń, które w pierwszych dniach po zasiedleniu wisiały na słupach i płotach Adlershorst. „Zabrać wolno tylko bagaż ręczny (ubrania, bieliznę, sztućce i osobiste przedmioty wartościowe). Meble i wszystkie do mieszkania należące urządzenia pozostawić należy w pomieszczeniach mieszkalnych... Mieszkania należy zostawić otwarte. Klucze muszą pozostać w zamkach drzwi domowych, mieszkań i pokoi. Ponowne wejście do mieszkań po godzinie 9.00 uważa się za sabotaż... Zniszczenia mieszkań i ich urządzeń uważa się za sabotaż... Kto dopuści się aktów sabotażu i kto wbrew zakazowi posiada jeszcze broń, zostanie rozstrzelany...” A wszystko podpisał w świetle prawa prezydent policji SS-Brigadeführer Christoph Diehm.

Pastor poprosił o parafię Wittomin. Kilka ulic, szkoła, kościół, posterunek policji, baraki, gdzie tymczasowo mieszkali Polacy przesiedlani do Generalnej Guberni. Miał nadzieję, że niosąc im słowo Pana, uciszy swoje sumienie, a może nawet zmieni ich rzeczywistość, w której zamiast tułaczki i rozstania zobaczą nadzieję i poddadzą się zmianom z pełną wiary

pokorą, tak jak uczyniła to jego Ilse. Ale Polacy nie chcieli przychodzić do luterańskiego pastora, który uznał w końcu, że najwyraźniej tak właśnie chce Pan, skoro pozwala na wszystko, co dzieje się wokół.

– Ty wiesz lepiej – mówił każdego wieczora, kończąc samotną modlitwę, zanim zamknął swój kościółek na noc. Zawsze odpowiadało mu echo własnych słów, odbijające się od drewnianych ścian i ustawionych rzędem ławek. Ale tamtego dnia pastor usłyszał dziwny szmer i poczuł, że nie jest sam. Było to dziwne, nieznanne mu dotąd uczucie, którego przestraszył się najpierw, bo przez głowę przemknęła mu myśl, że oto nadeszła chwila, by zapłacić za własny konformizm. Jednak w ciemności coś się poruszyło i wtedy pastor pomyślał, że to całkiem realna obecność.

– Kto tu jest? – zapytał.

Próbował dojrzeć coś w ciemności, ale szmer ucichł i nie padła żadna odpowiedź. Podeszedł szybko do prezbiterium, zapalił jedną ze stojących na ołtarzu świec i podniósł ją razem z mosiężnym lichtarzem, w który była wstawiona. Postąpił kilka kroków w stronę wąskich kręconych schodów na ambonę, która górowała nad niewielką przestrzenią kościoła, i w świetle płomienia zobaczył cień wycofującego się poza nie człowieka.

– Stój! – krzyknął. – Nie bój się! Jestem proboszczem tego zboru. Nic ci nie zrobię. – Uniósł wolną rękę na znak, że nie ma broni ani złych zamiarów.

Z ciemności wyłonił się powoli blady mężczyzna z kilkudniowym zarostem na twarzy. Miał na sobie brudne poszarpane ubranie, na którym widać było ślady zaschniętej krwi. Pastor od razu zauważył, że człowiek ten ma ręce skute kajdankami.

– Jesteś Polakiem? – zapytał, czując lekki niepokój, ale pomyślał, że żaden przestępca nie podniesie ręki na duchownego w kościele.

Mężczyzna milczał, patrząc nieufnie.

– Polak? – powtórzył pastor po polsku.

– Nie. Muszę rozkuć kajdanki – odpowiedział tamten po niemiecku.

– Jestem pastor von Korff. – Pastor odetchnął z ulgą. Zrobił krok w stronę nieznanego, ale ten cofnął się nerwowo, kryjąc w półcieniu pod drewnianą amboną.

– Muszę rozkuć kajdanki – powtórzył.

– Klucz... Do tego potrzebny jest klucz. – Pastor pomyślał, że nie ma pojęcia o otwieraniu kajdanek.

– Wystarczy kawałek drutu – odpowiedział mężczyzna. – Niech mi pastor da kawałek drutu.

– Drut? Ale ja nie mam żadnego drutu. – Pastor zastanawiał się, czy ma przed sobą przestępcę, o którego pojawieniu się powinien natychmiast poinformować posterunek policji, czy człowieka, któremu potrzebna jest pomoc.

– Mały kawałek drutu. Bardzo proszę. – Głos nieznanego złagodniał.

– Proszę mi dać kawałek drutu i już mnie pastor więcej nie zobaczy.

– To może w zakrystii... – Pastor wskazał drzwi prowadzące na tyły kościoła. – Proszę iść za mną.

W małej ciasnej zakrystii, do której prowadziły drzwi umieszczone po prawej stronie prezbiterium, czuć było ten sam zapach zbutwiałego drewna, wilgoci i kadzidlanoego dymu, który unosił się w całym kościele. Pastor przekręcił włącznik światła i pomieszczenie rozjaśnił nikły blask zawieszony pod sufitem żarówki. Później zasłonił dokładnie okno grubą ciemną kotarą.

– Zaciemnienie, rozumie pan – powiedział usprawiedliwiająco w stronę nieznanego, który zatrzymał się w drzwiach, jakby w obawie przed światłem żarówki. – W zeszłym roku mieliśmy nalot bombowy. Niewiele zniszczyli, bo my tu mamy swoje sposoby – roześmiał się nerwowo – ale

ostrożności nigdy za wiele, prawda? – Rozejrzył się po zakrystii, zastanawiając się, czy znajdzie coś, co nieznajomy uzna za zadowalające narzędzie do otwarcia kajdanek. Cały czas zastanawiał się też, czy ma przed sobą bandytę, czy ofiarę, której powinien pomóc. – A pan jest stąd czy przyjezdny? – Wypowiadając to pytanie, pomyślał, że to najgłupsze słowa, które mogły przyjść mu do głowy. – Bo ja jestem przyjezdny – dodał szybko. – Z Rygi. Wie pan, Baltendeutsch.

Nieznajomy milczał, nie przekraczając progu zakrystii. Przyglądał się zmęczonym wzrokiem pastorowi, który kręcił się chaotycznie między sprzętami, zaglądał do szafek i szuflad, grzebał w liturgicznych szatach ułożonych równo na wywoskowanych półkach.

– Niestety, nie mam nic, co by panu odpowiadało. – Pastor zaprzestał w końcu poszukiwań i rozłożył bezradnie ręce. – Jeśli pan tu poczeka, to znajdę coś w domu. Żona ma szydełka. Wie pan, do koronek... One na pewno będą dobre. – Postąpił w stronę wyjścia, ale mężczyzna zagroził mu drogę.

– Nie – powiedział. – Pójdzie pastor dopiero, jak zdejmę kajdanki i odejdę.

– Ale ja naprawdę pójdę do domu po szydełko mojej żony i zaraz wrócę. Jeśli boi się pan, że zawiadomię policję...

– Nie mam żadnego powodu, żeby pastorowi wierzyć.

– Ja też nie mam żadnego powodu, żeby wierzyć, że odejdzie pan, kiedy pozbędzie się tych kajdanek – odparł ostro pastor i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Wiał przejmujący wiatr, od którego pastor zaczął dygotać na całym ciele. Kiedy zamknął za sobą drzwi domu, nie poczuł się lepiej. Ilse, zgodnie z jego przewidywaniami, siedziała w fotelu pod zapaloną lampą i szydełkiem dziergała serwetkę. Pastor nie



odpowiedział na jej uśmiech. W spiżarni zawinął w lnianą serwetkę pół bochenka chleba i duże pęto kiełbasy, które poza przydziałem kartkowym dostał od masarza Schulza, i z pakunkiem pod pachą wrócił do saloniku.

– Ilse, kochanie – zwrócił się do żony – potrzebuję twojego szydełka.

– Szydełka? – zdziwiła się kobieta. – Do czego ci ono...?

– Nie pytaj mnie. Po prostu daj mi szydełko. – Pastor wyciągnął rękę w stronę żony.

– Nie, nie to. – Kobieta pokręciła głową. Odłożyła kordonek, którego używała do robienia serwetki, i otworzyła masywną szufladę dużej dębowej komody, którą przywieźli tu z mieszkania w Adlershorst. Z jej wnętrza wyjęła komplet szydełek i podała mężowi.

Pastor bez słowa schował je do kieszeni, postawił kołnierz tweedowej marynarki i wyszedł. Opuszczając kościół, nie zamknął go na klucz, by nieznajomy mężczyzna w kajdankach nie nabrał podejrzeń, że chce wydać go policji. Teraz pomyślał jednak, że nie ma pewności, iż będzie tam na niego czekał. Nie wiedział, kim był zbieg, jak trafił do zagubionego w lasach Wittomina i dlaczego wybrał na schronienie jego skromny zbór. Przemknęło mu nawet przez myśl, że to jakaś prowokacja, pokręcił jednak głową, odpędzając to przypuszczenie. Był przecież zwykłym proboszczem małej parafii, nigdy nie potępiał tego, co działo się wokół, a posterunkowy Bachmann bywał u niego na popołudniowych herbatkach, w czasie których Ilse częstowała go świeżym ciastem. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że on i jego żona są praworządnyimi Niemcami, z wdzięcznością przyjmującymi to, co ofiarowała im Trzecia Rzesza. A zatem mężczyzna był przestępcą, może mordercą, a może zrobił coś, co nie spotkało się ze zrozumieniem w siedzibie gestapo na Steinbergu. Gestapo rzadko zaglądało do Wittomina, nawet mieszkającym tu Polakom dali spokój, ale i w tej zagubionej wśród lasów osadzie, niemal sielskiej w ogarniętym wojną świecie, połączonej

z Gotenhafen tylko dwiema prowadzącymi przez las szosami, willa na Steinbergu wzbudzała strach i niepokój.

Pastor wszedł do kościoła. W środku było cicho i pusto. Świeca, którą postawił na podłodze przed drzwiami do zakrystii, nadal rzucała blask na ściany świątyni.

– Halo, to ja, pastor von Korff. – Rozglądając się, szedł powoli między rzędami ławek dla wiernych.

Odpowiedziała mu cisza. Wszedł do zakrystii, zapalił światło i położył pakunek na stole, który zwykle służył mu do przygotowań przed mszą. Wyjął z kieszeni szydełko. Druty brzęknęły, gdy kładł je obok chleba i kiełbasy. Pastor odwrócił się. W drzwiach stał nieznajomy.

– Proszę, przyniosłem szydełko. – Pastor von Korff wskazał komplet do dziergania. – I pomyślałem, że może jest pan głodny. – Dostrzegł pytający wzrok mężczyzny.

Nieznajomy bez słowa rzucił się w stronę stołu, złapał szydełko i włożywszy je w zamek kajdanek, zaczął nim nerwowo manipulować, starając się pozostać w kręgu światła z żarówki pod sufitem. Pastor odsunął się, obserwując jego działania. Po kilku chwilach zapadka w zamku głucho brzęknęła i kajdanki z łoskotem opadły na deski podłogi. Mężczyzna podniósł je i schował za pasek spodni, po czym odłamał kawałek chleba i zjadł łapczywie.

– Niech pan usiądzie. – Pastor podstawił mu krzesło, a kiedy mężczyzna opadł na nie ciężko, przeżuwając w milczeniu kawałek kiełbasy, Mattheus von Korff usiadł obok. – To kiełbasa od mojego znajomego – powiedział. –

Sam ją wyrabia. Miał masarnię w Windau, a teraz robi kiełbasy w Gotenhafen. Też Baltendeutsch.

Mężczyzna milczał.

– A pan jest stąd? Bo ja i moja żona jesteśmy z Rygi. – Pastor próbował rozpocząć rozmowę, zamiast dialogu ciągle jednak monologował niepewnie. – Nie chcę być niedyskretny... – To słowo wydało mu się niedorzeczne wobec mężczyzny, który właśnie pozbył się kajdanek. – Nie chcę być niedyskretny – powtórzył mimo to – ale wydaje mi się, że pan mówi z innym akcentem niż my. Przyjechał pan z Niemiec?

– Podobno jestem z Danzig – odezwał się nieznajomy.

Pastor zamilkł na chwilę, zdziwiony tym, że mężczyzna nieoczekiwanie odpowiedział na jego słowa. Tamten, nie patrząc na niego, dojadał resztki kiełbasy.

– Dobrze, prawda? – powiedział w końcu pastor, wskazując na jedzenie. – Najlepsze w całym Gotenhafen. A pan... jak to podobno z Danzig?

Mężczyzna jadł w milczeniu. Dopiero kiedy skończył, otarł usta lnianą serwetką, w której von Korff przyniósł chleb i kiełbasę, i powiedział, przyglądając się pastrowi uważnie:

– Bo ja nie pamiętam. Wie pastor, co to amnezja? – zapytał i od razu sam sobie odpowiedział: – Zanik pamięci.

Mattheus von Korff skwapliwie przytaknął, zadowolony, że w końcu udało mu się nawiązać kontakt z nieznajomym.

– Pan ma amnezję? A dlaczego miał pan kajdanki? – Wstał i wyjął z szafki dwie szklanki i butelkę z winem mszalnym. Nalał i postawił jedną przed mężczyzną, z drugiej sam upił łyk.

Nieznajomy westchnął głęboko, po czym wypił całe wino i odstawił szklankę, wskazując na starannie zaciągniętą kotarę.

– O czym pan... to znaczy o czym pastor mówił z tym zaciemnieniem?

– No wie pan. Alianci bombardują nasze miasta na zachodzie – Wilhelmshaven, Kiel, Bremen... Wszędzie bombardowali stocznie. A my

tu mamy stoczną, port, u-booty... To, co prawda, daleko, ale wie pan... lepiej się zabezpieczyć.

Mężczyzna milczał.

– Pan wie, o czym ja mówię? – zapytał pastor von Korff.

Gość pokręcił przecząco głową.

– Wojna. Wojsko. Bitwy. – Pastor patrzył na nieznanego z coraz większym zaskoczeniem.

Ze zdziwieniem pojął nagle, że ma przed sobą człowieka, który nie zna zupełnie otaczającego go świata, co wobec tego, co działo się wokół, wydawało mu się zupełnie niemożliwe. Przez głowę ponownie przebiegła mu myśl o prowokacji, ale mężczyzna odezwał się powoli:

– Podobno byłem komisarzem policji w Danzig. A teraz jestem oskarżony o morderstwo. Ale ja nic sobie nie przypominam. Pamiętam, jak obudziłem się w jednym pokoju z martwym mężczyzną. Nie wiem, co było wcześniej. Nie rozpoznałem swojej żony. Nie pamiętam ani jej, ani naszego życia. Powiedzieli mi, że byłem policjantem, ale równie dobrze mogłem być kimkolwiek innym. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, ile mam lat i co się wokół mnie dzieje. Ale to wszystko jest nieważne. Chcę tylko dowiedzieć się, czy to rzeczywiście ja zabiłem tego człowieka.

Mattheus von Korff przyglądał mu się zszokowany i myślał, że słowa mężczyzny brzmią niedorzecznie, choć on sam wydawał mu się całkiem wiarygodny.

## ROZDZIAŁ

# 10

Od czasu gdy Mattheus von Korff zamieszkał z Ilse w Wittominie, rzadko udawał się do centrum Gotenhafen. Tego dnia jednak mimo chmur które zapowiadały deszcz, wyjął z komórki rower i powiedział żonie, że będzie z powrotem dopiero w porze obiadu. Jak zawsze otworzył kościół, pozostawił jednak zamkniętą zakrystię, nakazując kościelnemu, który każdego ranka sprzątał świątynię, by tego dnia do zakrystii nie zaglądał. A potem wsiadł na rower marki Grom, który odziedziczył razem z parafią po polskim proboszczu, i skierował się Katzer Strasse w stronę Gotenhafen. Kiedy mijał Sonnenstrasse, gdzie mieścił się posterunek Orpo, zobaczył posterunkowego Bachmanna, który na powitanie pomachał mu ręką. Pastor, nie zatrzymując się, odwzajemnił się tym samym i pojechał dalej. Katzer Strasse przecinała Wittomin i mijając niedużą łąkę, biegła dalej przez las, który dochodził niemal do centrum miasta. Po kilkunastu minutach jazdy wśród drzew pastor wyjechał na Gartenstrasse, przejechał pod wiaduktem kolejowym, który łączył Zoppot i Gotenhafen, i skręcił w Horst Wessel Strasse.

Pastor von Korff nie przepadał za miastem, do którego przyszło mu się przenieść. Uważał, że Gotenhafen wyglądało tak, jakby architekci, którzy je tworzyli, porzucili budowę w połowie jej realizacji, skutkiem czego obok

okazałych kilkupiętrowych kamienic w mieście rozciągały się wiejskie łąki i nadmorskie piaski. Nie lubił też modernistycznych budynków, którymi zastawiono śródmieście, z ich zaokrąglonymi nadbudówkami, które miały nawiązywać do stojących w porcie statków. Bo pastor, choć nie mówił tego głośno, bardzo tęsknił do Rygi i jej secesyjnych kamienic, które kolorowymi fasadami rozjaśniały północne niebo.

Dojechawszy do Herman Göring Strasse, zatrzymał się, bo choć w mieście ruch był mały ze względu na duże ograniczenia w dostawach paliwa dla cywilów, wolał upewnić się, że z żadnej strony szerokiej ulicy, która łączyła nadmorską promenadę z miejskim dworcem kolejowym, nie nadjedzie jakiś samochód. Od Litzmannplatz dzieliła go już tylko jedna przecznica, którą pokonał na swoim rowerze z polskiej fabryki w Łodzi w ciągu kilku kolejnych minut. Okrążył plac, na którego środku znajdował się przeszklony parterowy budynek poczekalni pętli autobusowej z dużym kwadratowym zegarem na dachu, i zatrzymał się przed wejściem do szpitala. Odstawił rower i wszedł do środka. Pielęgniarka, którą spotkał na korytarzu, skierowała go do gabinetu doktor Kamieńskiej. Kiedy zapukał do drzwi i wszedł do środka, jasnowłosa kobieta w białym kitlu podniosła wzrok znad notatek leżących przed nią na biurku.

– Słucham.

– Czy doktor Kamieńska? – upewnił się pastor.

– Tak. Słucham.

– Jestem pastor Mattheus von Korff. – Podeszedł do kobiety i uściśnął jej dłoń. Lekarka wyglądała na zaskoczoną.

– Jestem proboszczem z parafii Wittomin.

– Słucham, pastorze.

– Czy mogę usiąść?

– Tak, oczywiście. – Doktor Kamińska wskazała krzesło, pastor przysunął je do jej biurka i usiadł.

– Jak mówiłem, jestem proboszczem z Wittomina – powiedział. Lekarka milczała wyczekująco. – Pozwoliłem sobie przyjechać do pani, bo chciałem poprosić o poradę medyczną.

– A dlaczego właśnie mnie?

– Polecił mi panią znajomy – zaczął ostrożnie. – Nazywa się Franz Thiedtke.

Miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach strach, a może zaskoczenie. Nie odezwała się.

– Jak pani wie, cierpi on na zanik pamięci.

– W takim razie, jak mnie pamięta? – W głosie doktor Kamińskiej usłyszał zdenerwowanie, choć pytanie zadała z wymuszonym uśmiechem.

– Jest pani jedną z niewielu osób, które pamięta – odparł pastor. – A pani na pewno też go pamięta. Wczoraj zabrało go stąd gestapo i...

– Tak, oczywiście, że pamiętam – lekarka przerwała mu, coraz bardziej podenerwowana. – A czego ma dotyczyć ta moja rada?

– Chodzi właśnie o Franza... – Pastor von Korff pochylił się w stronę kobiety, ale ona poderwała się zza biurka i stając przy oknie, odwróciła się do niego plecami.

– Tego pacjenta zabrało gestapo na Steinberg. Tam powinien pan szukać odpowiedzi na swoje pytania – powiedziała twardo.

– Tak, wiem. Ale kiedy przewozili go do Danzig, wydarzył się wypadek. I Franz... – Pastor westchnął ciężko. – Franzowi nic się nie stało, ale... skorzystał z okazji... to znaczy... uciekł. I teraz jest u mnie – wyrzucił szybko z siebie.

Doktor Kamińska odwróciła się gwałtownie.

– Proszę stąd wyjść – niemal krzyknęła.

– Ale... – Pastor uniósł się z krzesła.

– Proszę stąd wyjść, pastorze! – powtórzyła i dodała, mierząc go chłodno wzrokiem: – Jeśli w ogóle jest pan pastorem.

– Ależ jestem, pani doktor. Pastor Mattheus von Korff z Wittomina. Przyjechałem do Gotenhafen z Rygi... z żoną, Ilse.

– Tak, tak jak wy wszyscy. – Ledwie usłyszał słowa kobiety, która usiadła za biurkiem i wracając do rozłożonych na blacie dokumentów, rzuciła w stronę pastora: – Żegnam pana.

– Pani doktor, on nic nie wie, nic nie pamięta. Nie zna swojego adresu, nie ma dokąd pójść. – Pastor pochylił się nad lekarką i ściszył głos. – Pani jedna może mu pomóc. On chce dowiedzieć się, czy to, o co go oskarżają, to prawda. A gestapo już go skazało. Ja nie wiem, co robić. Pani jest lekarzem, zna się na tej amnezji.

– Pastorze, jak już powiedziałam... – Doktor Kamieńska podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy pastorowi, którego oddech poczuła na swojej twarzy. Nie odsunęła się jednak. – Żegnam.

Pastor wycofał się zawiedziony. Nie wiedział, co począć dalej. Nie spodziewał się tak katerycznej reakcji. Jadąc na spotkanie z doktor Kamieńską, zakładał, że lekarka zainteresuje się losem swojego pacjenta i zgodzi na spotkanie z Franzem Thiedtkem. Tym samym zwolniłaby go z obowiązku dalszej pomocy temu dziwnemu człowiekowi. Odczuwał niepokój na myśl, że ktoś mógłby odnaleźć zbiegłego aresztanta w jego witomińskiej zakrystii. Choć Wittomin leżał na uboczu, to i tam nie można było ignorować porządku, jaki obowiązywał wokoło i karał nieposłusznych obywateli w dotkliwy sposób. Pastor von Korff tylko z nielicznych, enigmatycznych opowiadań słyszał o obozach pracy, które powstawały w Rzeszy i w Generalnej Guberni, by rehabilitować niepokornych, ale



wolał, by ani on, ani jego rodzina nie doświadczyli prewencji ze strony swojego państwa. Bo mimo całkowitej wiary w prymat boskiego porządku, pastor doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że w życiu doczesnym o obowiązujących prawach decydował człowiek, a jego kodeks nie zawsze szedł w parze z dekalogiem z Mojżeszowych tablic.

Wrócił na Wittomin tą samą drogą, przez Horst Wessel Strasse i dalej Gartenstrasse, pod wiaduktem kolejowym, którym przejeżdżał właśnie pociąg wiozący na wschód pozbawionych zapалу niemieckich żołnierzy, po klęskach pod Stalingradem i na Łuku Kurskim na front podążających już nie z pieśnią na ustach, a ze smutkiem w oczach. Tym razem jednak droga ta wydała mu się niepomiaralnie dłuższa niż kilka godzin wcześniej, gdy z lekkim sercem i nadzieją w duszy jechał do szpitala przy Litzmannplatz, by spotkać się z doktor Kamieńską. Przemierzając pustą Katzer Strasse, zastanawiał się, co powie Franzowi Thiedtkemu, czekającemu na niego w zakrystii. Człowiek pozbawiony pamięci jest bezbronny wobec świata niczym zwierzę, myślał pastor, naciskając stopami na pedały roweru marki Grom. Pozostają mu tylko odruchy, których nauczył się w swojej przeszłości, nie ma jednak tego wszystkiego, co przez lata ofiarowały mu rodzina i społeczeństwo. Współczuł mężczyźnie, jednak miłosierdzie duchownego miało swoją granicę, wyznaczoną przez strach o swoich bliskich, i pastor wiedział, że będzie musiał poprosić Franza, by opuścił jego kościół. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego miejsca, w które byłyby komisarz mógłby się skierować, więc odmowa pomocy mogła równać się z wyrokiem śmierci. A co jeśli Franz Thiedtke naprawdę był mordercą? Czy wówczas duchowny, który w swoim działaniu ma odwoływać się do miłosiernego, ale sprawiedliwego przecież Boga, pomagając mu, popełniałby grzech?

Mattheus von Korff nauczał z wysokości swej kościelnej ambony tego, co jest w życiu słuszne, a co nie, jednak kiedy nagle sam stanął przed dylematem moralnym, czuł się zbyt bezradny, by dać sobie jednoznaczną odpowiedź. Do tego dochodził lęk o Ilse i paniczny strach o Mathilde – dopiero teraz pastor zrozumiał, jak bardzo boi się, by nic im się nie stało, tak bardzo, że w ich obronie mógłby złamać zarówno boskie, jak i ludzkie przykazania. Dlatego postanowił, że powie Franzowi, by jak najszybciej odszedł, bo on, pastor von Korff, już więcej pomóc mu nie może.

## ROZDZIAŁ

# 11

Doktor Kamieńska dotarła na Witomino późnym popołudniem. Postanowiła, że odbędzie z Franzem Thiedtkem krótką rozmowę, bo chciała się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi, a potem jak najszybciej znajdzie się z powrotem w przedziale kolejowym pociągu, który zawiezie ją na Oksywie, gdzie od trzech lat mieszkała. Na Witominie po raz ostatni była, zanim przydzielono jej brudną klitkę na pierwszym piętrze przeludnionej kamienicy czynszowej przy głównej ulicy Oksywia, zaraz koło końcowej stacji pociągu, którym każdego dnia dojeżdżała do centrum Gotenhafen, by przesiąść się do autobusu wiozącego ją Hermann Göring Strasse aż do autobusowej zajezdni przy Litzmannplatz. Pobytu na Witominie nie wspominała dobrze. W barakach żyli stłoczeni gdynianie, którzy musieli opuścić swoje mieszkania w centrum, zabierając tylko to, co dało się zamknąć w kilku niedużych walizkach, niepewni przyszłości, pozbawieni możliwości decydowania o sobie, bo to od bezosobowych, jasnowłosych oficerów niemieckich, z których każdy wyglądał tak samo w szarym mundurze SS, zależało, czy znajdą się w bydłym wagonie jadącym do Generalnej Guberni, czy tylko do niedalekiej Kościerzyny lub Wejherowa, czy w końcu okaże się, że jako przedstawiciele poszukiwanych przez niemiecką władzę zawodów wylądują na przedmieściach miasta, które nie

tak dawno jeszcze budowali, by teraz stanowić tanią siłę roboczą Gotenhafen, szybko zmienianego z prężnego ośrodka nadmorskiego handlu w ponurą bazę Kriegsmarine.

W barakach przeważały kobiety i dzieci. Mężczyzn już wcześniej przepędzono do Danzig, gdzie słuch o nich zaginął i tylko z przekazywanych sobie z ust do ust wiadomości było wiadomo, że ten czy ów trafił do obozu w Stutthof. Jesienią trzydziestego dziewiątego zaczęły też krążyć wiadomości o niemieckich działaniach w lesie niedaleko Wejherowa, ale nikt nie odważył się zapytać głośno, czy to prawda.

Doktor Kamieńska odszukała kościół i weszła do środka. Wnętrze było ciemne, a w powietrzu unosił się zatechły zapach zbutwiałego drewna. Budynek był pusty. Gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi, ogarnęła ją cisza, która sprawiła, że po karku przebiegł jej dreszcz niepokoju. Kamieńska odzwyczaiła się od ciszy i samotności, bo ani w szpitalu, gdzie pracowała, ani w czynszówce, w której mieszkała, nigdy nie było ani cicho, ani pusto. Przeżegnała się, bo choć była katoliczką, a kościół zamieniono w świątynię luterańską jeszcze w czasach, gdy mieszkała niedaleko, w przejściowym baraku, uważała, że Bóg jest jeden. Według niej wiara była ostatnim ludzkim uczuciem, które mogło powstrzymać szaleństwo rozlewające się wokół, choć z każdym dniem coraz mniej wierzyła, że to w ogóle możliwe.

Zakrystia była zamknięta na klucz. Kamieńska wyszła na ulicę i rozejrzała się. Zdecydowała się zapukać do drzwi parterowego domu, który znajdował się najbliżej. Otworzyła jej młoda kobieta o bezbarwnej twarzy, która uśmiechnęła się pytająco.

– Szukam pastora von Korffa – powiedziała doktor Kamieńska. – Czy wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

– Jestem jego żoną. O co chodzi?

Wyjaśniła krótko, że pastor odwiedził ją w szpitalu w pewnej sprawie, którą ona zdecydowała się załatwić. Kobieta kiwnęła głową i otworzyła szerzej drzwi. Kamieńska weszła do środka, a żona pastora zaprowadziła ją do małego saloniku, którego okna wychodziły na ulicę. Nieliczne sprzęty, które go wypełniały, były skromne i wysłużone, ale wokół panował ład i porządek. Gospodyni bez słowa zniknęła we wnętrzu domu. Po kilku minutach w drzwiach pojawił się lekko zgarbiony pastor von Korff. Gdy poznał doktor Kamieńską, nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Witam, pastorze. – Lekarka wstała, by się przywitać. – Zapewne zastanawia się pan, dlaczego tu jednak przyjechałam...

– Nie przeczę. – Pastor usiadł naprzeciwko Kamieńskiej. – Napije się pani? Mamy kawę z cykorii.

– Nie, dziękuję, pastorze. – Doktor Kamieńska pokręciła przecząco głową. – Przepraszam, że w szpitalu potraktowałam pastora tak obcesowo...

– Nie szkodzi. Miała pani prawo. – Pastor uśmiechnął się pojednawczo. – W dzisiejszych czasach trudno o zaufanie, zwłaszcza wobec obcych.

– Po prostu bardzo mnie pastor zaskoczył. Ja zupełnie nie wiem, dlaczego pan Thiedtke wskazał właśnie mnie... Widziałam go zaledwie kilka razy, kiedy przewieziono go do naszego szpitala.

– Była pani jego lekarzem...

– Tak, ale on był u nas zaledwie dobę.

– Powiedział mi, że nic nie pamięta, że cierpi na amnezję.

– Tak. Myślę, że to amnezja pourazowa, wywołana silnymi emocjami. Pan Thiedtke jest podejrzany o zabójstwo, z tego, co się orientuję...

– Tak, mówił mi. Myśli pani, że jest mordercą?

– Pastorze, ja jestem tylko lekarką. Mogę postawić diagnozę, ale nie będę wydawać wyroków.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, pani doktor. – Pastor nerwowo poprawił poduszkę na fotelu obok.

– Przepraszam, przyniosłam kawę. – Do saloniku weszła kobieta, która otworzyła doktor Kamieńskiej drzwi na plebanię. Teraz, ubrana w haftowany w drobne różyczki fartuszek, niosła przed sobą tacę z porcelanowym dzbankiem, dwiema filiżankami w malowane kobaltem tulipany i talerzykiem, na którym leżały słodkie rogaliki.

– Dziękuję. – Pastor uniósł się, by pomóc kobiecie ustawić naczynia na niskim stoliku, który dzielił przestrzeń między nim a doktor Kamieńską. – To moja żona, Ilse.

– Ilse von Korff. – Uścisk jej dłoni nie był tak delikatny, jak wskazywałaby łagodna, trochę pozbawiona wyrazu twarz. – Może spróbuje pani rogalika?

– Mamy w ogrodzie cudowną wiśnię. Żona robi z niej wspaniałe konfitury. Dzięki temu mamy takie rarytasy. – Pastor wskazał na talerz.

Choć doktor Kamieńska protestowała, Ilse von Korff postawiła przed nią filiżankę, którą napęniła kawą z dzbanka, po czym podsunęła talerzyk z rogalikami.

– Rzeczywiście znakomite – powiedziała lekarka, jedząc. Pomyślała, że sytuacja stała się absurdalna, i miała ochotę uciec.

Żona pastora uśmiechnęła się mdło i wyszła. Doktor Kamieńska przyglądała się Mattheusowi von Korffowi znad delikatnej filiżanki w kobaltowe tulipany.

– Czego pastor ode mnie oczekuje? – zapytała po chwili.

– O to trzeba by chyba zapytać samego pana Thiedtkego – odparł pastor, odstawiając filiżankę.

– Pastor ukrywa go w domu? – Kamieńska rozejrzała się ze strachem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Pastor zawinął rogaliki w lnianą serwetkę, na której leżały ułożone na białym talerzyku; jej końce dokładnie związał, po czym wstał i wskazał doktor Kamieńskiej wyjście. – Chodźmy, pan Thiedtke na pewno ucieszy się na pani widok.

W kościele nadal było cicho i pusto. Kiedy stanęli przed drzwiami zakrystii, pastor wyjął z kieszeni pojedynczy klucz.

Od razu go poznała. Jej pacjent zerwał się z podłogi, na której leżał kraciasty, wełniany koc. Miał zmęczoną twarz z kilkudniowym zarostem, dodającym mu lat, na koszuli i marynarce widać było ślady starej zaschniętej krwi.

– Pani doktor? – Nie potrafił ukryć zdziwienia. – Myślałem, że nie będzie mi pani chciała pomóc... – Uprzątnął szybko koc.

Doktor Kamieńska zauważyła, że był zdenerwowany. Wyglądał na wyczerpanego i wystraszonego.

– To ja państwa zostawię. – Pastor położył na stole rogaliki zawinięte w serwetkę i cofnął się o krok. – Zamknę drzwi i wrócę za pół godziny. – Drzwi zaskrzypiały przeciągle; kroki pastora szybko umilkły.

– Pewnie była pani zdziwiona, że proszę o pomoc właśnie panią – zaczął Franz niepewnie.

– Tak, bardzo. Nie wiem, dlaczego akurat mnie pan wybrał. I nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. – Kamieńska zastanawiała się, co właściwie robi w tej ciasnej zakrystii, za szczelnie zasłoniętymi kotarami, w kościele, który na jej oczach zamieniono ze świątyni katolickiej w protestancki zbór.

– Jest pani jedyną osobą, która była mi przyjazna. – Franz spuścił wzrok. – Nikogo nie pamiętam, nie wiem, gdzie mieszkam, nie mam się do kogo zwrócić o pomoc. Dlatego pomyślałem o pani. Ale jeśli pani się nie zgodzi, to zrozumiem. – Przez chwilę milczał. – Może jestem mordercą. I zbiegiem. Uciekłem policji.

– Gestapo. Uciekł pan gestapo – sprostowała.  
– W każdym razie teraz na pewno mnie szukają.  
– Z pewnością. Gestapo nie lubi, kiedy mu się ucieka. – Uśmiechnęła się blado.

– Oni już wydali na mnie wyrok. Zdecydowali, że to ja jestem zabójcą. Nie interesowało ich, co wydarzyło się naprawdę. Chcieli mnie skazać i zamknąć tę sprawę. – Franz wstał i krążył nerwowo po małej zakrystii. Wywoskowane deski podłogi uginały się cicho pod jego stopami. – Kiedy wydarzył się ten wypadek, musiałem po prostu wykorzystać okazję. Muszę się dowiedzieć, co wydarzyło się w Adlershorst. A jeśli to rzeczywiście ja zabiłem, natychmiast oddam się w ręce policji. Nie uciekam przed karą. Chcę tylko wiedzieć, czy jestem winny.

– A czego pan ode mnie oczekuje? Jestem lekarką, nie prowadzę śledztw policyjnych.

Franz usiadł obok doktor Kamińskiej i po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie wiem, pani doktor. Ale pomyślałem o pani, bo chyba... chyba tylko pani mogę zaufać.

Cisza, która zapadła w zakrystii, wydawała się nieskończenie długa. I nieznośna. Doktor Kamińska miała wrażenie, że poprzez ciężkie zasunięte kotary, które odgradzały wnętrze od reszty świata, słyszy opadające na bruk ulicy jesienne liście.

– Zaufać? – Tym razem to ona wstała i ograniczona przestrzenią niemal kręciła się wokół własnej osi, drepcząc nerwowo. – Jest wojna. Nie możemy sobie zaufać. Ja jestem pana wrogiem, pan jest moim wrogiem.

– Nie rozumiem. To mnie ścigają, nie panią. Pani nie jest niczym wrogiem.

– Tak, pana podejrzewają o morderstwo.



– No właśnie. Ja jestem podejrzany. Pani nie.

– Ja... ja jestem podejrzana... rasowo. Z powodu pochodzenia. Narodowości.

– Rasowo?

– Tak, przecież jestem Polką.

– Polką? A co to ma za znaczenie?

– Pan naprawdę nic nie pamięta? Przecież jest wojna. Pan jest Niemcem, ja jestem Polką.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi. Ja jestem podejrzany o morderstwo, a pani jest lekarzem. Pani pomaga innym. Ja podobno ich zabijam.

– Panie Thiedtke, gdyby to było takie proste. Ale my nie żyjemy w prostych czasach. Trzecia Rzesza, to znaczy Niemcy, napadły na Polskę, której teraz nie ma. Niemcy i Polacy są wrogami. Pan jest podejrzany o morderstwo Niemcem. Ja jestem Polką. To znacznie gorsze. – Doktor Kamieńska usiadła obok komisarza i teraz to ona wpatrywała się w niego intensywnie. Zastanawiała się, jak ma wytłumaczyć to wszystko, co działo się wokół. Bo człowiek, który przed nią siedział, rzeczywiście nie potrafił tego pojąć.

– Przepraszam, ale ja nic z tego nie rozumiem. – Emerytowany komisarz wyglądał na zagubionego.

– Tak, wiem. To brzmi... bezsensownie. Ale tak właśnie jest.

– Niemcy? Polska? Wojna? A gdzie była ta Polska?

– Tu była.

– Ale przecież tu są sami Niemcy.

– No właśnie. Wszystkich Polaków Niemcy wywieźli albo pozamykali w obozach, albo... nie wiadomo, co się z nimi stało.

– Ale pani tu jest.

– Tak, ja jestem. Ale takich jak ja w Polsce zabijają za zdradę. – Kamieńska zrobiła ruch dłonią, jakby podrzynała sobie gardło. – A kobiety w najlepszym razie golą.

– Golą? Dlaczego?

– Bo zadają się z Niemcami. A ogoloną głowę od razu widać. Taka stygmatyzacja, naznaczenie. Rozumie pan?

– Przepraszam, ale to, co pani mówi, to szaleństwo.

– Tak, ta cała wojna to szaleństwo. Cieszę się, że się zgadzamy. – Zaśmiała się nerwowo i ponownie wstała.

– Czy za to, że mi pani pomoże, jeśli mi pani pomoże, zabiją panią albo ogolą?

– Za to zapewne zabije mnie gestapo. A jeśli dożyję końca wojny... Podpisałam tę waszą volkslistę i kiedy wrócą tu Polacy, wtedy zapewne mnie ogolą, a potem... – Doktor Kamieńska powtórzyła wymowny ruch.

– Volkslistę? – Franz zmarszczył czoło. – A cóż to znowu takiego?

– Boże! Pan naprawdę nic nie wie! – Kobieta wydawała się poirytowana. – Niemiecka lista narodowościowa. Świadczenie kolaboracji. Pracy dla wroga. Dla was.

– To dlaczego pani to zrobiła? Jeśli to wbrew pani poglądom?

– Bo to nie są czasy na własne poglądy, rozumie pan? Czekam na męża. Jeśli nie będę w Gdyni, kiedy go wypuszczą, to już nigdy się nie odnajdziemy. – Kamieńska oparła się o drewniany blat stołu, który zajmował środek zakrystii. Drżała. Minęło kilka chwil, nim się uspokoiła i usiadła.

Dopiero po dłuższym milczeniu Franz zdecydował się zapytać ostrożnie:

– W Gotenhafen?

– Tak, w Gotenhafen. – W spojrzeniu kobiety zobaczył teraz coś wyzywającego. – Nie, właściwie to w Gdyni, a nie w tym waszym Gotenhafen! – wyrzuciła z siebie podniesionym głosem. – Tu jest Gdynia, a mój mąż ją budował. Była naszym domem, naszym życiem, naszymi planami. A wy przyszliście i zabraliście to wszystko... Widzi pan? Jesteśmy wrogami, nasze światy tylko z pozoru są takie same. – Oddychała ciężko. –

I co? Nadal chce pan, żebym panu pomogła? – zapytała po chwili spokojniej.

– To zależy tylko od pani. Ale zrozumieć, jeśli się pani nie zgodzi – odpowiedział Franz.

Cisza w zakrystii trwała długo. Franz miał wrażenie, że słyszy w niej własny oddech. Patrzył na kobietę, która uniosła wzrok na Chrystusa milczącego na krzyżu.

– Właściwie... jeśli jestem kolaborantką, to mogę być też współniczką mordercy. – Roześmiała się w końcu, bardziej do własnych myśli niż do komisarza.

– Myśli pani, że jestem mordercą? – Franz się nie uśmiechnął.

– Nie wiem. Przecież zupełnie pana nie znam.

– Ale mimo to pomoże mi pani?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Poprosił mnie pan.

## ROZDZIAŁ

# 12

Doktor Kamińska nie była zbyt rozmowna. Franz Thiedtke nie pytał o nic, wdzięczny, że zdecydowała się mu pomóc. Powoli zaczynał rozszyfrowywać świat, który go otaczał, choć to, co powiedziała lekarka w zakrystii kościoła w Wittomin, wydawało mu się tak szalone i nedorzeczne, że zastanawiał się, czy kiedykolwiek zrozumie, co wydarzyło się, zanim stracił pamięć. Zadawał sobie pytanie, czy on także, będąc Niemcem, dał się ponieść temu szaleństwu i uważał wojnę za słuszną. Czy wyznawał poglądy, które wiązały się z władzą skupioną pod sztandarami ze swastyką, wiszącymi w całym mieście? Czy sądził, że zabijanie w majestacie prawa wojny jest logiczne i usprawiedliwione? Bo wówczas mógł zabicie jednego człowieka traktować przecież jako nic nieznaczący incydent i zrobić to bez moralnych skrupułów. Wówczas mógłby być mordercą. Ale czy utrata pamięci mogła spowodować, że jego świat, świat, który nosił w sobie i poprzez który postrzegał to, co działo się wokół, tak bardzo się zmienił? Czy amnezja spowodowała też przewartościowanie priorytetów, zmianę moralnych wartości, tak że uczyniła z niego innego człowieka? Rozmyślał o tym długie godziny, wpatrując się w poszarzały sufit małego pokoiku w Oxhöft, w którym

mieszkała doktor Kamińska i w którym ukryła go w oczekiwaniu na fałszywe dokumenty.

Kiedy zastanawiał się nad tym, kiedy dawał się ponieść myślom, które przetaczały się przez jego głowę, doprowadzając momentami do niemal odczuwalnego szaleństwa, coraz częściej wątpił w swoją niewinność, coraz bardziej ulegał przeświadczeniu, iż nie polubiłby człowieka, którym był wcześniej, i odczuwał coraz większy strach, że rzeczywiście mógłby komuś odebrać życie. Leżąc na niewygodnej secesyjnej sofie, obitej wytartym czerwonym pluszem, wsłuchiwał się w otaczające go odgłosy. W niezrozumiałe polskie rozmowy, które lokatorzy czynszówki odbywali między sobą w ciemnym korytarzu, gdzie drewniane schody skrzypiały pod każdym postawionym krokiem, w niemieckie okrzyki na ulicy, w silniki nielicznych samochodów, które przejeżdżały w stronę centrum Oxhöft, gdzie sąsiadowały ze sobą delegatura lokalnej NSDAP i posterunek policji, wreszcie w dalekie posapywania pociągu, który na miejscowej stacji kończył swój bieg.

Czekał.

Trzeciego dnia tego oczekiwania, myśli przebiegających przez głowę, prób przypomnienia sobie nie tylko nocy w Adlershorst, ale całego życia, którego punktem zwrotnym okazało się spotkanie z Aloisem Richterem, zdawkowych rozmów z doktor Kamińską, gdy ta późnym wieczorem wracała ze szpitala przy Litzmannplatz, i przyglądania się ukradkiem zarysowi jej sylwetki, gdy poruszała się po drugiej stronie zawieszzonej prowizorycznie w połowie pokoju zasłony, do drzwi zapukał młody mężczyzna, który z za świeżo wyprasowanej koszuli wyjął dokumenty i położył je na stole.

– Nazywa się pan Hilmar Frode – powiedział. – Jest pan robotnikiem w stoczni, a dokładniej majstrem w Maschinenbauhalle w Neue Werft,

gdzie odbywa się produkcja okrętów podwodnych. Jest pan Niemcem z Rzeszy, lat pięćdziesiąt sześć. Do Gotenhafen przyjechał pan dwa lata temu, żeby budować filię Deutsche Werke Kiel na chwałę Führera i Kriegsmarine – dorzucił z ironią, którą doktor Kamieńska skarciła milcząco ostrym spojrzeniem. Chłopak odchrząknął. – No to życzę powodzenia, panie Frode.

Franz wstał z kanapy. Na wytartym pluszu zdezelowanego mebla pamiętającego przełom wieków pozostał zarys jego sylwetki. Podeszedł do stołu i wziął do ręki dokumenty, które otwierały przed nim możliwość poruszania się po mieście i rozpoczęcia własnego śledztwa. Były fałszywe, ale on nie potrafił odróżnić ich od tych, które pokazała mu doktor Kamieńska, jej własnych, jak najbardziej legalnych, z prawdziwą pieczęcią III Rzeszy.

– Co chce pan w zamian? – zapytał. – Zapewne mam gdzieś pieniądze, którymi będę mógł panu zapłacić. Za jakiś czas...

– Panie Thiedtke, to znaczy panie Frode. Zrobiłem to na prośbę pani Heleny – odpowiedział młodzieniec. – I nie chcę żadnych pieniędzy.

Młodzieniec ów miał na imię Jan i miał nie więcej niż dwadzieścia dwa czy trzy lata. Jego twarz dopiero nabierała męskich rysów, ale praca fizyczna, którą wykonywał, wyrobiła mu silne mięśnie, dobrze zarysowane pod białą koszulą. Franz nie wiedział o nim nic poza tym, co powiedziała mu doktor Kamieńska.

– Jan mieszka na drugim piętrze naszej kamienicy – mówiła, krzątając się za zasłonką, którą zawiesili tego wieczora, gdy Franz przyjechał z nią do Oxhöft, nie zdając sobie jeszcze sprawy, na co naraża tę naprawdę nieznaną mu kobietę. – Poznałam go, kiedy tutaj zamieszkałam. Był ochotnikiem we wrześniu trzydziestego dziewiątego, gdy Niemcy napadli na Polskę. Kiedy Gdynia skapitulowała, zatrzymali go, tak jak mojego

męża i innych, ale widocznie nie był im przydatny, bo go wypuścili. Podpisał volkslistę, więc go nie wywieźli. Teraz pracuje w warsztatach w stoczni. Wiele o nim nie wiem, ale to miły chłopak.

– Skąd będzie miał fałszywe dokumenty? – zapytał Franz, leżąc na niewygodnej sofie, z której zwisały mu stopy w czystych skarpetkach.

– O to lepiej nie pytać. – Doktor Kamieńska używała tego argumentu, ilekroć odpowiedź była dla niej zbyt kłopotliwa. Nie dopytywał więc.

Czwartego dnia rano poprosił doktor Kamieńską, by sprawdziła, czy w szpitalnych dokumentach zapisano adres zamieszkania emerytowanego komisarza Franza Thiedtkego. Nie miał jeszcze planu działania. Odkąd obudził się w pokoju hotelowym w Adlershorst, wydarzenia w jego życiu po prostu się działy, a on, kierując się chwilą, wykorzystywał nieoczekiwanie pojawiającą się szansę na kolejne kroki. Miał wrażenie, że rzeczywistość, w której się znalazł, była chaotyczna i nieprzewidywalna, choć doktor Kamieńska twierdziła, że naród, z którego się wywodził, nie potrafił istnieć bez ściśle określonego planu, wypełnianego skrupulatnie bez względu na losy innych ludzi. Domyślał się już, że chodziło jej o Polaków, bo doktor Kamieńska ciągle podkreślała swoje pochodzenie, o niemieckich przełożonych mówiąc z nieukrywaną pogardą. Leżąc na niewygodnej secesyjnej sofie w jej małym mieszkanku w Oxhöft, w oczekiwaniu na dokumenty od Jana, zastanawiał się, co stało się ze światem, którego nie był w stanie przywołać w swej pamięci, skoro sąsiedzi, zamiast żyć w zgodzie, stali się śmiertelnymi wrogami. O tym właśnie myślał, zamiast zastanawiać się nad własnym planem.

Wiedział, że musi dojść do prawdy, musi przekonać się, czy jest zabójcą, czy świat, którego był częścią, doprowadził go do moralnej aprobaty tego czynu, czy może zrobił to wbrew sobie, przez nieszczęśliwą pomyłkę, niefortunny przypadek, czy może w ogóle nie był winny, bo

zrobił to zupełnie kto inny; i taką możliwość, choć coraz rzadziej, ciągle dopuszczał. Postanowił, że sam odda się w ręce policji, jeśli okaże się, że to on jest mordercą Aloisa Richtera. Nie uciekał przecież przed karą, chciał tylko sprawiedliwości. Ta myśl ukoiliła nieco jego rozedrgane nerwy, bo pozwoliła pomyśleć o sobie nieco lepiej dzięki świadomości, iż we wnętrzu jego pozbawionego tożsamości jestestwa kryje się jeszcze uczciwy człowiek – nie był o tym przekonany, odkąd dowiedział się, jakiego świata wcześniej był częścią.

Słyszając spokojny oddech śpiącej za kotarą doktor Kamieńskiej, zastanawiał się, jakim był wcześniej człowiekiem, jakie miał wartości i co uważał za istotne w życiu. Nieznajomość własnej osoby, konieczność uczenia się swoich reakcji i niepewność własnego ja nie opuszczały go od momentu, gdy doktor Kamieńska przyprowadziła go do swego mieszkania. Dopiero za drzwiami klitki w Oxhöft, choć otaczał go gwar nieznanymi dźwięków, poczuł się bezpieczny. Czujność, którą musiał zachować w czasie ucieczki, i napięcie, które towarzyszyło mu od momentu, gdy w drzwiach hotelowej recepcji zobaczył chudego mężczyznę w okularach w drucianej oprawce, nie opuściły go od razu. Teraz jednak myśli, które kłębiły mu się w głowie, nie dając spokoju, dotyczyły jego samego, życia, które musiało się nieoczekiwanie skończyć w Adlershorst, bo przecież, choć fizycznie ciągle żył, to nie było już tamtego Franza Thiedtkego, nie było człowieka, którego twarz widział w lustrze wiszącym nad odrapanym żeliwnym zlewem w kącie pokoju. Pozbawiony pamięci, musiał od początku budować własną tożsamość, choć czasami zaskakiwał sam siebie mechanicznymi reakcjami, które okazywały się istnieć poza jego świadomością i pamięcią.

Kiedy z dokumentami w kieszeni wyszedł z kamienicy w Oxhöft, rozejrzał się nerwowo, stawiając kołnierz gabardynowego płaszcza Stefana



Kamieńskiego, z którego doktor Kamieńska odpruła przyszytą do podszewki metkę zakładu krawieckiego „Tadeusz Zaremba, Warszawa, Koszykowa 40”. Ulica była pusta. Bez przeszkód dotarł na stację kolei, z której za trzy kwadranse odjechał wagonem drugiej klasy nienękany żadnym podejrzliwym spojrzeniem. Zajął miejsce pod oknem i obserwując spod przymkniętych powiek przedział, sam starał się nie zwracać niczyjej uwagi. Konduktor, sprawdzając bilet, przesunął po nim wzrokiem tyleż pustym, co obojętnym, i po pół godzinie Franz Thiedtke stał samotnie na peronie dworca w Adlershorst. Prawie trzy kwadranse zajęło mu dojście do hotelu. Minął budynek, na którym powiewała czerwona flaga ze swastyką, a z tabliczki zawieszanej przy wejściu można było dowiedzieć się, że tu właśnie znajduje się siedziba NSDAP Ortsgruppe Adlershorst; kilkadziesiąt metrów dalej zauważył drzewo na wysokości mniej więcej metra odarte z kory, to samo, w które kilka dni wcześniej uderzył mercedes jadący z Prinz Eugenstrasse. Szczątki samochodu dokładnie uprzątnięto.

Pogubił się w gąszczu wąskich uliczek po drugiej stronie szosy prowadzącej z Gotenhafen. Parterowe i jednopiętrowe domy ginęły w jesiennych ogrodach, jednak żaden z mijanych przez niego budynków nie przypominał hotelu, w którym spotkał się z Aloisem Richterem. Okolica wydawała się opustoszała i gdy ujrzał pochylonego mężczyznę, który powoli zmiatał z chodnika opadające liście, zdecydował się zapytać go o drogę. Mężczyzna bez słowa wskazał ręką kierunek i dalej metodycznie czyścił chodnik.

Franz słyszał szum fal odbijających się o piaszczysty brzeg, jeszcze zanim znalazł się na ciągnącej się wzdłuż plaży promenadzie. Gdy na nią dotarł, przestrzeń przed nim otworzyła się nagle i rozpostarło się morze, ciemne o tej porze roku, spienione na końcach fal wirujących na powierzchni, niespokojne i kapryśne, przynoszące ze sobą przeszywający

zimnem wiatr, ale i nieoczekiwane uczucie nieograniczonych możliwości. Zatrzymał się na moment i przymykając oczy, wciągnął do płuc powietrze, wciągnął tak głęboko, że przez krótką chwilę poczuł lekki zawrót głowy i zachwiał się – musiał aż oprzeć się o stojącą blisko parkową ławkę.

Hotel znajdował się po drugiej stronie promenady, na zalesionym wzgórzu kończącym się ostrym klifem. Po drewnianym molo, wybiegającym daleko w ciemne morze, spacerowała samotna kobieta z obitym różowym perkalem wózkim dziecięcym. Kilkanaście metrów dalej chłopiec w niebieskim płaszczyku puszczał kolorowy latawiec, który w gwałtownych podmuchach jesiennego wiatru nerwowo zmieniał kierunek lotu. Chłopiec, próbując poradzić sobie z szarpnięciami utrzymującej latawiec linki, krzychał coś do towarzyszącego mu starszego mężczyzny, ale jego słowa rozpływały się w szumie fal odbijających się o drewniane pale mola.

W recepcji hotelu przywitała go młoda dziewczyna o ładnej buzi pozbawionej makijażu.

– Jestem krewnym człowieka, który został tu zamordowany – skłamał.  
– Chciałem porozmawiać...

– Bardzo mi przykro, proszę pana. – Dziewczyna ściągnęła usta, a jej policzki pokrył ledwie dostrzegalny rumieniec.

– Widziała go pani?

– Kogo?

– Zabójcę. Tego mężczyznę, którego stąd zabrali.

– On wyglądał zupełnie normalnie, proszę pana. Widziałam go tylko przelotnie, w wieczór przed morderstwem. Był taki... zwykły. Nikt nie pomyślał, że coś takiego może się stać. Jesteśmy spokojnym przyzwoitym hotelem o bardzo dobrej opinii... Bardzo mi przykro.

– Tak. – Franz spuścił na chwilę wzrok, po czym uśmiechnął się przepaszająco. – Ja nie przyszedłem tu, żeby winą obarczać hotel albo jego pracowników. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają, a najbardziej okrutni mordercy mogą sprawiać zupełnie normalne wrażenie.

Dziewczyna skwapliwie przytaknęła.

– Wie pani, ja chciałbym porozmawiać z kimś, kto widział mojego kuzyna jako ostatni. Chciałbym dowiedzieć się, o czym rozmawiali, i no, rozumie pani, poznać ostatnie minuty jego życia. Cała rodzina chciałaby się tego dowiedzieć.

Dziewczyna przyjrzała mu się współczująco.

– Tak, rozumiem państwa. To musiało być takie zaskakujące – powiedziała cicho. – Bardzo chciałabym panu... i pana rodzinie pomóc, ale to niestety niemożliwe.

– Dlaczego? – Franz usiłował zachować spokój. – Policja państwu zabroniła?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła przecząco głową i pochyliła się nad drewnianym kontuarem recepcji. – Boy, który obsługiwał tych panów, kiedy tu przyszli, Staszek, taki Polak, co tu pracował jeszcze przed wojną, jak tu był polski hotel, nie żyje – wyszeptwała.

Franz także pochylił się w jej stronę.

– Naprawdę? A co mu się stało?

– Zginął w pożarze. W swoim domu w Kielau.

– Co pani powie! – Franz pokręcił z niedowierzaniem głową. – To przykre. Mówi pani, że był młody. Takie nieszczęście. A sam zginął czy z rodziną?

– Nie, sam. Wczoraj pogrzeb był.

– I mówi pani, że był z Kielau?

– Tak. To znaczy wcześniej mieszkał tutaj, w Adlershorst. Ale potem, wie pan, przesiedlili go z rodziną do Kielau. Ale pracował cały czas tutaj. Nogę jedną miał krótszą i utykał, to go do wojska nie wzięli. Poza tym nasz szef chciał, żeby tutaj pracował, bo był z niego zadowolony. No i mu to załatwił.

– A w Kielau to znaczy gdzie?

– No, za Grabau. Dokładnie to nawet nie wiem. On nie był za bardzo rozmowny i nigdy o sobie nie mówił.

– Aha. – Franz odchrząknął. – Dziękuję pani bardzo za rozmowę. Jest pani bardzo miłą kobietą. – Skłonił się z przesadną uprzejmością i wyszedł odprowadzany przez dziewczynę wzrokiem.

## ROZDZIAŁ

# 13

Joseph Krupke zaparkował na rogu Litzmannplatz i Tirpitzstrasse, tak by nie ruszając się z samochodu, obserwować wyjście ze szpitala po drugiej stronie placu. Jego plan był jasny i prosty. Przez chwilę stracił nad nim panowanie, ale teraz czuł, że odzyskuje władzę nad tym, co precyzyjnie obmyślił, stukając w blat swego biurka ulubionym piórem Kawuska. Takie rytmiczne pukanie pomagało mu zebrać myśli. Robił to bezwiednie, jakby ciche uderzenia o drewniany blat porządkowały błędzące po zakamarkach mózgu skrawki pomysłów i przypuszczeń. Nauczył się tego od komisarza Thiedtkego – obserwując i podążając za nim krok w krok, bo komisarz nie był wylewnym rozmówcą i nie przybierał postawy mentora, pragnącego za wszelką cenę przekazać posiadaną wiedzę swemu następcy.

Krupke uważał się za następcę komisarza, uważał się za niego od tamtego deszczowego dnia, w którym po raz pierwszy zobaczył mrukliwego policjanta, klęczącego w błotnistej kałuży obok pozbawionego kończyn korpusu dziesięcioletniej dziewczynki znalezionej nad brzegiem Tote Weichsel przy Breitenbach Brücke. Korpus wyrzucono z tramwaju, który jechał w stronę Heubude. Początkowo głównym podejrzanym był niejaki Otto Friedrich, motorniczy prowadzący tramwaj dojeżdżający do samej plaży. Jednak przez kolejne dwa tygodnie odnajdywano brakujące

szczętki w całym Danzig i to Franz Thiedtke rozwiązał zagadkę, doprowadzając do skazania woźnego Technische Hochschule, ślepego na jedno oko emeryta, pamiętającego jeszcze słoneczny październikowy poranek tysiąc dziewięćset czwartego roku, gdy szkołę otwierał sam Wilhelm II, zdrową ręką wygładzający ukradkiem swoje rażno sterczące wąsy. Woźny, niepozorny i cichy mieszkaniec Langfuhr, okazał się seryjnym mordercą, który z upływem lat wybierał coraz młodsze ofiary, by w końcu trafić w zaułek Nonnenhof, gdzie pod okiem babki siedzącej na progu mieszkania na parterze zaniedbanej kamienicy, przyklejonej do rzędu parterowych komórek, bawiła się dziesięcioletnia Minna, córka pracownika Brotfabrik z Rittergasse, wdowca, który utrzymywał swoje trzy córki, każdego ranka rozwożąc pieczywo z piekarni Simona Ankera. Krupke obserwował pracę Franza Thiedtkego, który krok po kroku dochodził prawdy, nie zważając na naciski ludzi, którzy chcieli szybko ogłosić kolejną rozwiązana zagadkę, by zasłużyć na uścisk dłoni Juliusa Gehla i wzmiankę w „Danziger Neueste Nachrichten”. Choć z czasem świat komisarza stawał się coraz bardziej anachroniczny, bo – Joseph Krupke dobrze o tym wiedział – stary policjant nie porzucił swoich politycznych sympatii i wobec zmieniającej się władzy nie zmienił poglądów, jedynie przestał je głośno wypowiadać, nowy porządek zbywając milczeniem, z czasem ten świat przestał więc odpowiadać otaczającej go rzeczywistości, jednak jego metody do końca pozostały skuteczne i mimo porozumiewawczych uśmiechów, które u młodszych kolegów wywoływał zarówno sam komisarz, jak i sposób, w jaki pracował, to on pozostał najlepszym śledczym w całym prezydium gdańskiej policji. Kiedy zdecydował się na odejście na emeryturę, wielu funkcjonariuszy z Karenwall z trudem ukrywało zadowolenie. Sam Krupke pomyślał wówczas, że w końcu nadszedł czas, by zająć miejsce komisarza, pokazać, na co go naprawdę

stać, łącząc sprawdzone metody z nowoczesną ideologią. Bo Joseph Krupke, w przeciwieństwie do Franza Thiedtkego, poważnie traktował swoje członkostwo w partii i rozumiał, że nowe wyzwania wymagają nowych metod.

Kiedy zobaczył komisarza w służbówce na tyłach recepcji hotelu w Adlershorst, od razu pomyślał, że sytuacja jest niedorzeczna, bo Franz Thiedtke może nie wierzył w nazistowski porządek, ale z pewnością nie mógłby złamać podstawowych przepisów, nie mówiąc o zabójstwie. Komisarz nie sprawiał wrażenia fanatycznego głosiciela norm prawnych, ale Krupke współpracował z nim dostatecznie długo, by wiedzieć, że normy i wartości były tym, co w istocie nadawało bieg jego życiu. Pojawienie się gestapo tylko utwierdziło go w słuszności podjętej decyzji, choć przejęcie sprawy przez funkcjonariuszy z Prinz Eugenstrasse mocno pokrzyżowało jego plany, zmuszając do włączenia w nie tego Polaka Kopytki. Jego śmierć nie była częścią pomysłu, który Krupke obmyślił, spoglądając przez okno swego gabinetu na pogrążoną w ciemności Hafenstrasse. Ale nie czuł wyrzutów sumienia, bo życie Kopytki nie miało dla niego żadnej wartości.

Alfred Kopytko z Ohry był przed wybuchem wojny jednym z informatorów, których on i Franz Thiedtke mieli w różnych punktach Wolnego Miasta. Byli wśród nich drobni przestępcy, pretensjonalni sutenerzy i podstarzałe fordanserki z podrzędnych lokali, Polacy i Niemcy, bo pochodzenie nie miało dla komisarza Thiedtkego znaczenia, gdy chodziło o rozwiązanie sprawy. Kopytko był Polakiem i ku zdumieniu Krupkego, mimo swego relatywizmu w traktowaniu prawa obowiązującego w Wolnym Mieście, gdy polscy żołnierze z Westerplatte znaleźli się już w Möwenschanze, a generał von Brauchitsch zatwierdził wyrok wydany przez przewodniczącego sądu Kurta Bodego w sprawie bojówkarzy z Heveliusplatz, zamiast podpisać volkslistę i zostać spokojnym

obywatelem przywróconego już Rzeszy Danzig, on postanowił zostać polskim bohaterem i trafił najpierw do obozu w Neufahrwasser, a wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego jako robotnik przymusowy do pracy przy rozbudowie stoczni w Gotenhafen. Tym samym jako gdański Polak stał się jednym z trybików doskonałej niemieckiej maszyny, którą stworzono, by w Gotenhafen powstał największy tego typu zakład w całej Europie. Komisarz Krupke spotkał go przypadkiem. Badał wtedy sprawę zamordowanego inżyniera, którego zwłoki znaleziono w maszynowni stojącego w suchym doku okrętu patrolowego. Jak zawsze pojawili się koledzy z Prinz Eugenstrasse, którzy podejrzewali, że inżynier Hilbrau padł ofiarą pracujących przy remoncie okrętu Polaków. Jednak Krupke udowodnił, że inżynier z Kielau został zamordowany przez Holendra, niejakiego Antoona De Cocka, któremu przed wojną uwiódł żonę w czasie nudnych wakacji na wyspie Texel, a polscy robotnicy nie mieli z tym morderstwem żadnego związku. Komisarz powiedział Alfredowi Kopytce, że przysługa, o którą go poprosił, pomoże mu w wydostaniu się z Deutsche Werke Gotenhafen, gdzie pracował jako robotnik przymusowy. Kiedy składał tę obietnicę, nie miał zamiaru jej dotrzymać. Okazało się jednak, że przejazd rowerem wprost pod rozpędzony samochód z Prinz Eugenstrasse rzeczywiście uwolnił byłego policyjnego donosiciela od pracy w stoczniowym doku.

Śmierć Kopytki na skrzyżowaniu Zum Strande i Adolf Hitler Strasse w Adlershorst była właściwie Krupkemu na rękę. Nie musiał się już więcej zastanawiać, czy Polak nie złamie swego złodziejskiego słowa i nie wyjawi gestapo, dlaczego znalazł się właśnie w tym miejscu dokładnie w momencie, gdy od strony Gotenhafen zbliżał się nieoznakowany mercedes, wiozący do Danzig emerytowanego komisarza policji Franza Thiedtkego. Komisarz Krupke mógł skupić się na realizacji swojego planu,



jednak nie przewidział, że Thiedtke, jako jedyny z czterech mężczyzn jadących mercedesem, nie odniesie ran i zamiast trafić z powrotem do szpitala przy Litzmannplatz pod opiekę tej polskiej lekarki, ucieknie z miejsca wypadku i rozplynie się w lasach otaczających Gotenhafen niczym wspomnienie przeszłości. To zresztą wydawało mu się do dawnego przełożonego niepodobne, ucieczka była przecież niesubordynacją niegodną niemieckiego policjanta. Dlatego gotów był uwierzyć w amnezję dawnego przełożonego, nią tłumacząc zachowanie, którego wcześniej z pewnością nie mógłby się dopuścić. Jakże inaczej bowiem można było zrozumieć postępowanie emerytowanego komisarza, który zamiast dochodzić własnej niewinności i bronić honoru niemieckiej policji, zbiegł niczym pierwszy lepszy przestępca, nie różniąc się niczym od tych wszystkich bandytów, których kiedyś sam ścigał. Chyba że sam stał się taki jak oni. Ale w to Joseph Krupke nie mógł uwierzyć, a i wyobrażenie sobie Franza Thiedtkego w roli mordercy Aloisa Richtera przychodziło mu z dużą trudnością.

Dlatego informacja, że doktor Kamieńska, która zajmowała się komisarzem w szpitalu przy Litzmannplatz, próbowała odnaleźć w aktach jego adres, natychmiast zaalarmowała Krupkego – od razu powrócił do swego planu, wprowadzając w nim tylko pewne drobne modyfikacje. To właśnie sprawiło, że znalazł się w swoim samochodzie na rogu Litzmannplatz i Tirpitzstrasse tego październikowego popołudnia, wieczoru właściwie, bo gdy zaparkował, było już niemal zupełnie ciemno i musiał wyteżać wzrok, śledząc każdą kobiecą sylwetkę, która pojawiła się w drzwiach szpitala po przeciwnej stronie placu. Nie wiedział, ile czasu minęło od momentu, gdy zaparkował i wyłączył silnik, bo bojąc się, by nie przeoczyć wyjścia doktor Kamieńskiej, nie patrzył na zegarek. Kilka kobiet pojawiło się w drzwiach szpitala. Jedna z nich wsiadła do odkrytego opla,

którym podjechał oficer Kriegsmarine, inna poszła w kierunku przystanku autobusowego i Krupke już gotów był za nią jechać, zobaczył jednak, że kobieta macha ręką do ubranego po cywilnemu mężczyzny, który na nią czekał. Kolejna lekko utykała – odprowadzając ją wzrokiem, próbował przypomnieć sobie, czy doktor Kamińska nie miała podobnych problemów. Spotkali się raz, przelotnie, ale Krupke zapamiętał ją jako wysoką przystojną kobietę o dumnie podniesionej głowie i regularnych rysach, o może trochę zmęczonej, ale wciąż urodziwej twarzy. Bez skaz fizycznych.

Jednak kiedy pojawiła się przed szpitalem, nie miał wątpliwości. Włączył silnik, samochód mocno szarpnął i Krupke ruszył powoli za doktor Kamińską, która minęła go po drugiej stronie placu i skierowała się w stronę Hermann Göring Strasse. Ulica była szeroka i pusta. Przecinała centrum Gotenhafen, prowadząc od nadmorskiej promenady wcinającej się w zimne wody zatoki aż do torów kolejowych, które przebiegały przez środek miasta, łącząc Gotenhafen, Zoppott i Danzig. Choć nadano jej odpowiednią nazwę i nie należało jej krytykować, Krupke zawsze pomstował, że aleja wytyczona przez miasto była przyczyną panującej w nim wietrznej pogody, która przyprawiała go o ciągły ból głowy.

Na wysokości Café Berlin, znajdującej się na parterze budynku o fasadzie swoim zaokrągleniem przypominającej kadłuby statków wpływających do basenów portowych kilkaset metrów dalej, minął idącą chodnikiem Kamińską. Zatrzymał auto obok szpaleru niewysokich drzewek, które ciągnęły się aż do samego dworca kolejowego, wysiadł i unosząc kołnierz skórzanego płaszcza, podszedł szybkim krokiem do lekarki. Ta najpierw zwolniła, rozglądając się nerwowo na boki, po czym stanęła i podnosząc wysoko głowę, spojrzała na niego hardo.

– Jestem komisarz Joseph Krupke. – Przez chwilę poczuł się zmieszany. Nie wiedział, jak przekonać ją, by wsiadła razem z nim do samochodu. – Spotkaliśmy się przy okazji...

– Tak, wiem, poznaję pana.

– Chciałbym z panią chwilę porozmawiać. – Zrobił gest zapraszający ją do swego auta, ale Kamińska nie zareagowała.

– O co chodzi? – zapytała.

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– Bardzo mi przykro, ale śpieszę się. – Odwróciła się i ruszyła dalej.

– Nalegam.

– Aresztuje mnie pan? – Stała, odwróciła się w jego stronę i spojrzała z sarkazmem raczej niż z obawą.

– Nie, skądże. – Roześmiał się lekko. – Chcę tylko porozmawiać. Zupełnie prywatnie – dodał pojednawczo.

Doktor Kamińska przyglądała mu się w milczeniu. Znowu poczuł zmieszanie.

– Szukała dziś pani adresu zamieszkania komisarza Thiedtkego – powiedział w końcu.

Nadal patrzyła na niego bez słowa. Pomyślał, że dwie bruzdy wokół ust, które zawsze uważał za oznakę upływającego czasu, odciskającego się na twarzy każdego człowieka, jej dodają tylko – szukał w myślach właściwego określenia – wiarygodności.

– No dobrze. Zapraszam panią na kawę, o, tutaj. – Wskazał wejście do Café Berlin.

– Chce się pan pokazywać z Polką? – Tego pytania się nie spodziewał.

– Przecież podpisała pani volkslistę – odpowiedział szybko, bez cienia ironii. Bruzdy na twarzy doktor Kamińskiej stężyły. Miał wrażenie, że

milczenie, które między nimi zapadło, ciągnęło się zbyt długo. – W takim razie aresztuję panią. – Usłyszał w końcu swój głos.

W tym momencie Kamińska zrobiła coś, co zupełnie go zaskoczyło. Roześmiała się. Joseph Krupke poczuł ulgę, choć nie był jeszcze pewien, czy rzeczywiście uda mu się z nią porozmawiać.

– Proszę – powtórzył łagodniej.

– Dobrze, ale mam zaledwie kilka minut.

Zatrzasnął pospiesznie drzwiczki auta i poszedł za lekarką, która stając przed wejściem do Café Berlin, zatrzymała się w oczekiwaniu, że otworzy jej drzwi.

## ROZDZIAŁ

# 14

– Panie Thiedtke, dałam się wplątać w tę pana sprawę zupełnie przypadkowo. Jest pan obcym człowiekiem, jednak zaufałam panu, uwierzyłam, że jest pan niewinny, a moja pomoc pomoże panu tę niewinność udowodnić. Dlaczego? Sama nie wiem, może jestem po prostu naiwna. Ale wokół toczy się wojna. I nie ma znaczenia, czy pan jest tego świadom, czy z powodu amnezji nie. Zresztą nie wiem już sama, czy ten brak pamięci to prawda, czy tylko sposób, żeby wykorzystać innych... –

Doktor Kamińska siedziała sztywno przy stole ustawionym na środku pokoju, który pełnił funkcję jej mieszkania. Ściągnęła brwi, a w nikłym świetle żarówki, wiszącej krzywo pod brudnym sufitem, jej twarz nabrała ziemistej barwy. – Jeśli jednak nie zdaje pan sobie rzeczywiście sprawy z tego, w jakich czasach żyjemy, to uświadomię panu, że za dużo mniejsze przewinienia można trafić na gestapo. Już pan tam był, to wie pan, co to znaczy. Zachował się pan... – szukała chwilę odpowiedniego słowa i przełknawszy ślinę, dokończyła: – nieodpowiedzialnie. – Znowu zrobiła krótką pauzę. – Głupio. Skrajnie niemądrze. Nie pomyślał pan o mnie, o Janku i o tych wszystkich ludziach, którzy stoją za tym, że dostał pan te swoje dokumenty... Wszyscy trafiliby na gestapo. Za pomoc bandycie. To znaczy panu. Nawet niewinni mieszkańcy tej kamienicy, którzy nie wiedzą,

że pan tu jest, trafiliby w łapy pana kolegów. Ale rozumiem, że to nie ma dla pana znaczenia. Wy, Niemcy, jesteście tak bardzo przekonani o własnej wyższości, że innych używacie do swoich celów, a co się dzieje potem... to nie ma żadnego znaczenia. I pan wcale nie jest lepszy. Podpisałam volkslistę, bo wciąż mam nadzieję, że w tych drzwiach w końcu zobaczę mojego męża. Ale moja kolaboracja nie obejmuje narażania życia dla nieodpowiedzialnego człowieka, który być może ma na swoim sumieniu zabójstwo. Nie pomyślałam o tym do tej pory, bo panu zaufałam, ale przecież pan naprawdę może być mordercą. To co? I mnie pan w końcu zabije? Jak już nie będzie pan potrzebował kryjówki... – Umilkła na chwilę. Wzięła głęboki oddech i wstając z krzesła, powiedziała: – Dlatego proszę stąd zniknąć. Proszę zniknąć z mojego życia i nie szukać więcej mojej pomocy.

Wiedziała, że pozbawiony pamięci Franz Thiedtke, oskarżony o zabicie Aloisa Richtera, bez możliwości schronienia w jej podłym mieszkanku w Oxhöft, nie ma szans, by przetrwać i dowieść swej racji. Jednak, choć nie była już tak pewna jego niewinności, nie bardzo mogła też uwierzyć w jego jednoznaczną winę. Spotkanie z komisarzem Krupkem, kościstym mężczyzną o oślizłym spojrzeniu, którym miała wrażenie, mierzył ją lubieżnie od stóp do głów, przekonało ją, że decyzja, by pomóc niedawnemu pacjentowi, nie była słuszna, że na jej skłonność do altruistycznego poświęcania się w imię wyższych wartości nie było w Gotenhafen miejsca, że jej dawne przekonanie, iż ludzi nie dzieli narodowość, a tylko stopień możliwości wzajemnego zrozumienia, daleko przekraczający wyłącznie umiejętność porozumiewania się w różnych językach, jest już tylko idealistycznym przeżytkiem.

Franz Thiedtke słuchał jej w milczeniu, nie zamierzał jednak bez słowa przyjąć tego, co w zdenerwowaniu, obracając w dłoniach porcelitowy

kubek z odłamanym uchem, wyrzucała z siebie drżącym głosem. Nie sądził, że wiadomość o jego wyprawie wywoła w niej taką reakcję, ale dopiero teraz zrozumiał, że sam był zbyt wzburzony tym, czego się dowiedział, by zastanawiać się, jak doktor Kamieńska zareaguje, gdy opowie jej o swoich poszukiwaniach w Adlershorst i o spalonym domu w Kielau, który odnalazł, błędząc ulicami nieznanego miasta, o tym, że coś mówiło mu, iż to nie był przypadek, choć przecież nie miał zupełnie żadnych dowodów na to, że drewniany dom, po którym zostały tylko wciąż wydzielające swąd spalenizny zgliszcza, został podpalony, a nie spalił się wskutek nieszczęśliwego wypadku. I jeszcze to, że chłopak z hotelu, który jako ostatni widział żywego Aloisa Richtera, był jedyną ofiarą tego pożaru, chociaż w spalonym budynku mieszkały trzy rodziny. Chciał jej to wszystko powiedzieć, chciał zapytać, czy ona też uważa, że to nie mógł być przypadek, tymczasem rozmowa urwała się w momencie, gdy weszła do mieszkania, a on powiedział, że wrócił zaledwie trzy kwadransy wcześniej.

Doktor Kamieńska była wzburzona, nie, właściwie to była zwyczajnie wściekła; zanim wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, jej twarz nabrała purpurowej barwy, a na szyi dostrzegł dużą pulsującą żyłę. Potem bez słowa zaparzyła coś, co nazywała herbatą, choć Franz uważał, że brudno zabarwiona woda pozbawiona smaku przypominała raczej to, co pozostawało w miednicy po zmyciu podłogi, nie wdawał się jednak w dyskusje na temat, który uważał za nieistotny, i usiadła przy stole. Wreszcie wyrzuciła z siebie słowa, które wciąż unosiły się ciężko ponad nimi.

– Tak, przepraszam – powiedział w końcu. – To rzeczywiście było nieostrożne.

Nie, wcale tak nie sądził, uważał, że tylko w ten sposób może znaleźć odpowiedź na pytanie, czy był mordercą Aloisa Richtera. Przecież dlatego

potrzebne były mu fałszywe dokumenty. By mógł poruszać się po mieście jako... zaraz, jakie nazwisko teraz nosił? A, tak, Hilmar Frode, majster w Maschinenbauhalle w Neue Werft w Gotenhafen.

– Cieszę się, że pan to rozumie – odpowiedziała, nie patrząc w jego stronę.

– W takim razie pójdę już. – Miał przecież powiedzieć, czego się dowiedział, miał zapytać ją, czy uważa jego podejrzenia za słuszne, miał wyjaśnić, zareagować. Ale wstał tylko z za stołu, włożył marynarkę i powoli zapiął guziki. Jeszcze płaszcz, który mu dała. „Został po mężu, był podobnej postury” – tak powiedziała, wyjmując go ostrożnie z szafy. I kapelusz. Też po Stefanie Kamieńskim.

– Co pan robi, do cholery? – Jej głos dopadł go niemal dokładnie w momencie, gdy kładł dłoń na klamce. – Teraz chce pan wyjść? –

Podeszła do niego zdenerwowana. Nabrzmiała żyła na jej szyi wciąż pulsowała. – Może pan jeszcze pójdzie stąd prosto na posterunek policji? Albo do tego waszego NSDAP? To niedaleko stąd, za kościołem w lewo! Poradzi pan sobie na pewno! – wyrzuciła z siebie z drwiną. Jednak kiedy przekręcił klucz, który obrócił się w zamku z głośnym chrobotem, stanęła pomiędzy nim a drzwiami prowadzącymi na korytarz, tak blisko, że poczuł ciepło jej rozgorączkowanego ciała. – Nie, zabraniam panu! Nie może pan stąd wyjść! Przecież zaraz pana złapią!

Cofnął się o krok.

– Pani Heleno, proszę mi w końcu powiedzieć, co się stało – powiedział, czekając, by się uspokoiła. Odłożył na stół kapelusz Stefana Kamieńskiego. – Proszę. – Wziął ją za rękę, ale cofnęła dłoń, patrząc na niego nieufnie. – Pani Heleno, co się stało? Niechże mi pani wreszcie powie.



Wciągnęła powietrze głęboko w płuca i odwracając wzrok, podeszła do okna. Poprawiła grubą kotarę i opadła ciężko na krzesło. Franz zdjął płaszcz i usiadł obok.

– Śledził mnie dziś ten policjant – powiedziała. – Ten komisarz z Hafenstrasse... ten Joseph Krupke. Jechał za mną swoim autem, kiedy wyszłam ze szpitala. Zaczepił mnie na ulicy. Dowiedział się, że szukałam pana adresu. Nie wiem, skąd o tym wiedział, ale dotarło to do niego szybko, prawda? Zapewne w szpitalu nie brakuje donosicieli, którzy chcą się przypodobać policji. – Zrobiła krótką pauzę. – Myślałam, że chce mnie aresztować. Ale on zaprosił mnie do kawiarni, do Café Bałtyk, to znaczy do Café Berlin... W każdym razie zaprosił mnie do kawiarni i wypytywał o pana. Powiedział, że pracował z panem przed wojną, w Gdańsku, znaczy w Danzig, że pan go wszystkiego nauczył i on nie wierzy w to, że to pan zabił tamtego człowieka. I chce panu pomóc w udowodnieniu tego. Pytał, gdzie pan jest, gdzie pan się ukrywa. I jaki ma pan plan. I czy rzeczywiście nic pan nie pamięta, czy to była tylko taka gra, żeby zyskać na czasie. I jak udało się panu uciec z wypadku, czy jest pan ranny, czy ktoś jeszcze wie o panu...

– I co pani mu powiedziała?

– Że nie wiem, o co mu chodzi. – Nerwowo wzruszyła ramionami i wstała. – Bałam się, że to prowokacja, że mnie aresztuje, że ta konspiracja w kawiarni to tylko teatr, żeby mnie oszukać. Że to, co mówi o pracy z panem, to nieprawda. Że... No, sama już zupełnie nie wiem. – Krążyła nerwowo wokół stołu. – Staralam się być spokojna, udawałam, że nie wiem, o co chodzi, zastanawiałam się, co robię z niemieckim policjantem w kawiarni, ale skoro jestem już volksdeutschką, to chyba nie ma znaczenia... Jednocześnie bałam się, że już z tej kawiarni sama nie wyjdę, że zaraz zabiorą mnie na Hafenstrasse albo i na Prinz Eugenstrasse, i tak to

wszystko się skończy. Patrzyłam na tego komisarza i zastanawiałam się, czy to będzie ostatnia twarz, jaka pozostanie mi w pamięci z całego mojego życia. I nienawidziłam siebie za to, że dałam się w to wszystko wplątać. I pana też nienawidziłam, że właśnie ode mnie chciał pan pomocy.

Nie wiedział, dlaczego tak postąpił, ale doktor Kamieńska wydała mu się nagle tak drobna, tak bezbronna, zagubiona w rzeczywistości jeszcze bardziej od niego, że nie zastanawiając się, podszedł do niej i objął. Przez ułamek sekundy poczuł opór, jednak po tej krótkiej chwili sprzeciwu kobieta ukryła twarz w jego ramieniu, skuliła się, jakby w jego niepewnych objęciach chciała schować się przed tym wszystkim, co przeżyła, co właśnie wykrzyczała mu prosto w twarz. Drżała i Franz usłyszał, domyślił się właściwie, że Helena płacze. Pogładził niezgrabnie jej włosy, które czuł na swoim policzku, i powoli zaczął je całować. Nie uciekała, gdy odnalazł jej suche wargi. Jej skóra była tak gładka i delikatna, że cofnął dłoń, by jego spierzchnięte palce nie pokaleczyły jej twarzy.

Nie planował tego. Całkowicie pochłonięty sprawą Aloisa Richtera i swoim udziałem w jego zabójstwie, nie myślał wcale o fizycznym zbliżeniu z Heleną Kamieńską. Nie miało dla niego znaczenia, czy była piękna, czy też nie – zwracając się do niej o pomoc, wiedział tylko, że była jedyną osobą, która okazała mu zrozumienie. Choć ona sama tak często podkreślała różnicę w ich pochodzeniu, tak niezrozumiale dla niego samego zarzucając mu niemieckość, która dla niego była tylko pustym abstraktem, bo nie był sobie w stanie uświadomić płynących z niej konsekwencji, choć więc ona zarzucała mu, że jest Niemcem, on nie myślał o niej w kategoriach narodowości, całkowicie obojętny na fakt, że była Polką. Wiedział tylko, że może, że musi jej zaufać, by dotrzeć do prawdy. Doktor Kamieńska była więc dla niego pomocą, jedynym ratunkiem, partnerem w rozwikłaniu zagadki, którą postanowił za wszelką cenę, nawet cenę

własnej winy, rozwiązać. Jednak teraz, ku własnemu zaskoczeniu, uświadomił sobie, że ma przed sobą kobietę równie niepewną, jak on sam. Dotąd wydawała mu się silna, teraz dostrzegł jej słabość. Nagle okazała się tak krucha i bezradna, że błędząc ustami po jej twarzy, pomyślał, iż to on powinien chronić ją przed niezrozumiałością świata, a nie wymagać, by mu tę niezrozumiałość tłumaczyła.

Wbite w klatkę piersiową palce, którymi odepchnęła go od siebie, zabolęły.

– Nie rób tego więcej – powiedziała powoli, nie patrząc na niego. Stała pochylona, trzymając dłoń kurczowo zaciśniętą na oparciu krzesła odstawionego od stołu. – Nigdy więcej – dodała z naciskiem. Oddychała ciężko.

Podeszła do lustra zawieszzonego nad zlewem w kącie pokoju i patrząc na swoje odbicie, poprawiła włosy. Franz wciąż czuł ich zapach. Gdy odwróciła się po długiej chwili w jego stronę, jej twarz znowu była niewzruszona, choć policzki pokrywał jeszcze lekki rumieniec.

– Jutro poproszę Janka, żeby znalazł dla ciebie jakąś kryjówkę – powiedziała. – A teraz pójde do niego przenocować.

## ROZDZIAŁ

# 15

Doktor Kamieńska szła za sekretarką Prezydium Policji przy Hafenstrasse w Gotenhafen i patrząc na bladozielone obcasy jej eleganckich pantofli, stukające miarowo o posadzkę długiego korytarza, myślała o swoich zdartych butach, które dawno należało oddać do szewca, jednak szkoda było każdej reichsmarki na to, co wydawało się teraz zbyt wygórowanym luksusem.

– Cieszę się, że panią widzę. – Twarz Josepha Krupkego wydała się jej jeszcze bardziej odpychająca, gdy podniósł się zza biurka na jej widok i ledwie zauważalnie uśmiechnął, unosząc kąciki wąskich ust. – Proszę usiąść. – Wskazał krzesło naprzeciw siebie. – Rozumiem, że rozmawiała pani z naszym przyjacielem.

Wzdrygnęła się na myśl, że Franz mógł pracować z tym człowiekiem. Milcząc, kiwnęła głową.

– Bardzo się cieszę. Może napije się pani kieliszek koniaku? – zaproponował Krupke.

– Nie, dziękuję, panie komisarzu. Idę zaraz na dyżur do szpitala – odparła.

– Tak, oczywiście. A więc?

– Tak?

– Przekazała pani komisarzowi, że wierzę w jego niewinność i chcę mu pomóc, by to udowodnić?

– Tak, powtórzyłam mu całą naszą rozmowę.

– I?

– I... – zawahała się chwilę – bardzo się ucieszył, że jest pan po jego stronie.

– Tak? – Krupke ożywił się, kąciki ust uniosły się znacząco. – Więc zgadza się, żebym mu pomógł?

– Tak, oczywiście, panie komisarzu. Ma tylko jeden warunek.

– Jaki? – policjant zaniepokoił się.

– Na razie nie będziecie się spotykać osobiście – odpowiedziała doktor Kamieńska i dodała szybko: – To dla pana bezpieczeństwa, panie komisarzu. Pan Thiedtke nie chce pana narażać na ewentualne zarzuty o kontakty z nim. Zapewne poszukuje go gestapo, prawda?

– Tak, pani doktor. – Krupke zmarszczył czoło. – Komisarz nie powinien pod żadnym pozorem poruszać się po Gotenhafen, absolutnie nie powinien też myśleć o wyjeździe do Danzig. Tamtejsze gestapo szuka go cały czas.

– Nie, panie komisarzu. Zapewniam pana, że komisarz Thiedtke nigdzie się nie rusza. Nie ma przecież żadnych dokumentów, a wy, Niemcy, nie przekroczycie progu domu bez dokumentów, prawda? – Lekarka uśmiechnęła się.

Joseph Krupke odchrząknął.

– Rozumiem, że dba pani o to...

– Panie komisarzu, jeśli w ten sposób pyta mnie pan, czy komisarz ukrywa się u mnie, to przypominam, co powiedział pan w Café Berlin. Nie śledzi pan mnie i nie próbuje na własną rękę skontaktować się z panem Thiedtkem. Sam pan to proponował.

– Tak, pani doktor. Oczywiście, nasza umowa obowiązuje. Chyba że komisarz zdecyduje inaczej.

Krupke wyjął z szuflady biurka srebrną papierośnicę, którą znalazł obok pióra Kawuska, gdy po raz pierwszy wszedł do swego gabinetu przy Hafenstrasse, i otwierając wieczko z ozdobnie wygrawerowanymi literami „MW”, podsunął ją doktor Kamieńskiej.

– Zapali pani?

Pokręciła głową przecząco, wyjął więc papierosa i wsunął go do ust. Kiedy jego koniec rozżarzył się, podpalony płomieniem zapalki, zaciągnął się głęboko.

– Chciałbym jednak spotkać się z komisarzem. Sama pani rozumie, że trudno mi udowodnić jego niewinność, nie rozmawiając z nim.

– No dobrze. Ale najpierw komisarz chciałby poznać swój adres w Danzig. – Helena starała się, by jej głos był stanowczy i twardy. Zdawała sobie sprawę, że gdyby sięgnęła po papierosa, który zaproponował jej komisarz Krupke, dostrzegłby, jak bardzo drżały jej dłonie.

– Widzę, że jest pani nieugięta. – Krupke uśmiechnął się tym swoim ledwie dostrzegalnym grymasem lekko uniesionych kącików ust. – Mówiłem pani przecież, że komisarz nie powinien pojawiać się w pobliżu swego mieszkania w Danzig. Nie powinien w ogóle pojawiać się w Danzig. Gestapo natychmiast wpadnie na jego ślad.

– Panie komisarzu, mówiłam już o tym panu Thiedtkemu. On zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i wcale nie chce próbować przedostać się do Danzig. Ale ma nadzieję, że adres, znajoma nazwa ulicy, cokolwiek, co pochodzi z jego życia sprzed utraty pamięci, pomoże mu w przypomnieniu sobie czegoś. – Sama nie wierzyła, że jej słowa mogą brzmieć prawdziwie. Komisarz Krupke także nie wyglądał na przekonanego.

– Pani doktor... – Mężczyzna pochylił się w jej stronę. Zniżając głos, zapytał: – Czy komisarz Thiedtke rzeczywiście stracił pamięć? Proszę powiedzieć jako lekarz: czy to jest możliwe? Czy on rzeczywiście nie pamięta tego, co było przed morderstwem?

– Tak, panie komisarzu. – Helena odchyliła się do tyłu. – To rzeczywiście możliwe.

– I jest pani przekonana, że komisarz Thiedtke naprawdę cierpi na to...?

– Na amnezję.

– Tak, właśnie. Na amnezję.

– Tak, jestem o tym przekonana. Mówiłam już to panu w Café Berlin, prawda?

– Ale dlaczego jest pani tego pewna? Przecież może udawać. Nie jesteśmy w stanie zajrzeć do jego głowy, czyż nie?

– Owszem, nie jesteśmy, panie komisarzu. Jednak sądzę, że gdyby pan Thiedtke nie utracił pamięci, znalazłby inny sposób na dojście do prawdy. Poza tym, no właśnie, on chce dojść do prawdy, a nie udowodnić swoją niewinność. On nie jest wcale przekonany, że rzeczywiście nie zabił tamtego człowieka. I chce się dowiedzieć, co stało się w hotelu.

– No dobrze. – Komisarz Krupke wyprostował się, w milczeniu rozgniół papierosa w stojącej na biurku popielniczce, wstał i podszedł do okna. – Zanim cokolwiek zrobię, chciałbym spotkać się z komisarzem Thiedtkem – powiedział, nie patrząc na doktor Kamińską.

– Najpierw proszę podać jego adres w Danzig. A jak się z nim spotkam, to powiem, że chce się pan z nim zobaczyć. Mimo jego prośby, by na razie tego nie robić – podkreśliła z naciskiem.

– Pani doktor, chyba mnie pani nie rozumie. – Krupke odwrócił się w stronę siedzącej przed jego biurkiem kobiety, podszedł do niej i opierając się o blat, pochylił w jej stronę. – Ja muszę spotkać się najpierw

z komisarzem. Bez tego spotkania nasza umowa nie działa. Chyba nie chce pani trafić na gestapo... Ani spotkać się tam z komisarzem Thiedtkem, prawda?

Helena nie odpowiedziała.

– No, widzę, że teraz pani zrozumiała. – Krupke wyprostował się i usiadł na swoim krześle po drugiej stronie biurka. Zmrużył oczy i zapalił kolejnego papierosa. Tym razem nie poczęstował siedzącej przed nim kobiety. – Najpierw muszę spotkać się z komisarzem Thiedtkem. Muszę z nim porozmawiać. Myślę, że wtedy ustalimy kolejne działania, które pozwolą nam dotrzeć do prawdy. I wtedy, oczywiście, przekażę komisarzowi jego adres w Danzig.

– A jaką mamy, to znaczy, jaką gwarancję ma pan Thiedtke, że nie naśle pan na niego gestapo? Że to nie będzie pułapka?

– No cóż. Żadnej. – Krupke rozłożył ręce i zachichotał, jakby ta sytuacja bardzo go rozbawiła. – Niech komisarz wyznaczy termin i miejsce spotkania. Ja się dostosuję. – Wstał. – Czekam na panią jutro o osiemnastej w Café Berlin. Przekaze mi pani datę spotkania z komisarzem Thiedtkem.



## ROZDZIAŁ

# 16

Komisarz Joseph Krupke z zadowoleniem zajął miejsce przy jednym ze stolików na antresoli – mógł stamtąd swobodnie obserwować całą salę kawiarni. W powietrzu unosił się zapach prawdziwej kawy. Na stolikach, przy których siedzieli goście, zapalono lampy. Jasne płamy światła zlewały się ze sobą na kawiarnianym parkiecie. Większość bywalców Café Berlin stanowili oficerowie remontowanych w stoczni okrętów Kriegsmarine, traktujący czas w Gotenhafen jako spokojny urlop w położonym poza zasięgiem alianckich nalotów prowincjonalnym mieście. Towarzyszyły im zwykle eleganckie kobiety, Niemki, które do Gotenhafen sprowadzono, by pracowały jako sekretarki i urzędniczki, zbyt młode, by posiadać rodziny, oddane więc służbie dla państwa, także po godzinach pracy. Pod portretem Führera wiszącym na ścianie w końcu sali ustawiono fortepian, na którym ubrany w smoking pianista grał niedawny szlagier *Ich weiß, es wird einmal ein Wunder gescheh'n*. Joseph Krupke nie przepadał za Zarah Leander, która śpiewała go w *Die Grosse Liebe*; uważał, że importowana do UFA ze Szwecji aktorka była tylko nędzną imitacją tej, której imienia w Trzeciej Rzeszy nie mógł już głośno wymawiać, a którą za rolę w *Der Blaue Engel* ciągle pamiętał, nie mogąc pogodzić się z myślą, że stanęła zdecydowanie po drugiej stronie wojennej barykady, choć w ojczyźnie noszono by ją na

rękach. Pianista grał rzewnie, choć piosenka miała podnosić na duchu wszystkich, którzy wyruszali na Wschód. Dźwięki fortepianu mieszały się z przytłumionym gwarem rozmów, unoszącym się wraz z tytoniowym dymem w powietrzu.

Dostrzegł ją pierwszy. Stała w drzwiach prowadzących do sali Café Berlin i rozglądała się niepewnie, szukając go wzrokiem. Łysiejący kelner, który pojawił się obok, wskazał antresolę i wówczas go dostrzegła. Obserwował ją, gdy zbliżała się, przechodząc między stolikami, by wejść na piętro. Miała na sobie ciemną prostą garsonkę, niosła przełożony przez ramię ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem, zbyt ciepły na początek października. Szła wyprostowana, choć miał wrażenie, że było coś nerwowego w sposobie, w jaki się poruszała.

– Witam, pani doktor. – Uniósł się lekko na swoim krześle, gdy podeszła do stolika, przy którym siedział.

Skinęła milcząco głową i usiadła naprzeciw niego.

– Czy rozmawiała pani z komisarzem Thiedtkem?

– Tak. Pan Thiedtke zgadza się na pana warunki.

– Znakomicie! Bardzo się cieszę, pani doktor. Naprawdę wierzę w niewinność komisarza. – Skinieniem dłoni przywołał kelnera. – Czy napije się pani czegoś? – Pokręciła przecząco głową, ale Krupke zamówił dwie kawy. – I dwie szarlotki – dorzucił za kelnerem. – Mają tu znakomite szarlotki – zwrócił się do doktor Kamieńskiej. – Czy komisarz wyznaczył miejsce naszego spotkania?

– Wie pan, gdzie jest Wittomin? – Twarz Heleny pozostawała nieruchoma.

– Tak, wiem.

– Niech pan będzie jutro o trzeciej po południu w kościele parafialnym... – Zawiesiła głos, po czym patrząc prosto w oczy komisarza

Krupkego, dodała z naciskiem: – Sam.

– Oczywiście, pani doktor. – Krupke uśmiechnął się kącikami wąskich ust. – O, jest kawa i ciastka! – Rozpromienił się na widok kelnera z tacą.

– Dziękuję, panie komisarzu. – Helena wstała. – Ale przyszedłam tylko po to, żeby to panu powiedzieć. A teraz proszę wybaczyć, muszę już iść.

Joseph Krupke uniósł się i wyciągnął rękę, by na pożegnanie uściskać dłoń kobiety, jednak ona, narzuciwszy tylko płaszcz na ramiona, zignorowała jego gest. Znad filiżanki z kawą patrzył na lekarkę, która równie sztywno, jak weszła, schodziła teraz po schodach na parter Café Berlin. Nie oglądając się, zniknęła w drzwiach, w których zobaczył ją kilka minut wcześniej. Zapalił, a gdy wypuścił z siebie kłęb papierosowego dymu, poczuł, że usztywnione mięśnie rozluźniają się. Był zadowolony, choć denerwowała go hardość tej kobiety. Słyszał, że Polki potrafią być bezczelne i nie umieją dostosować się do obowiązujących zasad, nad obowiązek i posłuszeństwo wnosząc własną dumę, jednak Kamieńska była tak naprawdę pierwszą kobietą, która nie okazywała mu respektu, do jakiego był przyzwyczajony nie tylko z powodu pochodzenia i własnej wiary w übermenscha, ale choćby z prostej racji wykonywania zawodu policjanta. To wywoływało w nim irytację, ale zarazem intrygowało. Był ciekaw, jaka jest naprawdę, i myślał o tym, że komisarz Thiedtke zapewne to wiedział.

Od momentu, gdy dowiedział się, że doktor Kamieńska szuka adresu zamieszkania komisarza Thiedtkego, gdy tylko domyślił się, że musi mieć z nim kontakt po jego ucieczce z wypadku w Adlershorst, zastanawiał się, dlaczego ta harda kobieta zdecydowała się mu pomóc. Choć podpisała volkslistę i pozostała w niemieckim Gotenhafen, nie okazywała entuzjazmu wobec nowych władz, całkowicie pozbawiona zapału, jaki widywał u niemieckich neofitów. Dlaczego więc ryzykowała tak wiele dla

człowieka, którego zaledwie poznała, człowieka, którego podejrzewano o morderstwo, który mógł ją oszukiwać, wykorzystując do własnych celów. Zastanawiał się, czy była tak naiwna, czy może zbyt mądra, by mógł zrozumieć motywy jej działania. Bliższy kontakt z nią, choć właściwie trudno było mówić o bliskości wobec wrogości, którą mu okazywała, kontakt zatem z nią nie pomógł w znalezieniu odpowiedzi. Denerwowała go, intrygując zarazem, i to wywoływało w nim jeszcze większą niecierpliwość, która tylko w irytujący sposób podsycala jego ciekawość. Ta ciekawość właśnie spowodowała, że zdecydował się złamać warunki umowy i poprzednim razem, kiedy wyszła z Café Berlin, postanowił ją śledzić. Wyprzedziwszy ją na ulicy, gdy zmierzała na dworzec, pojechał do Oxhöft. Tam zaparkował przy stacji, by śledzić ją w drodze powrotnej do domu. Teraz znał jej adres i nie zamierzał czekać na przyzwolenie. Był pewien, że Franz Thiedtke ukrywa się w jej mieszkaniu. Jeśli rzeczywiście komisarz cierpiał na amnezję, doktor Kamieńska musiała być jedynym człowiekiem w Gotenhafen, do którego mógł zwrócić się o pomoc. Krupke spędził w samochodzie noc, obserwując dwupiętrową kamienicę, w której mieszkała. Nie wiedział, ile razy zapadał w nerwowy sen, by zbudzić się po kilku minutach z obawą, że przeoczył coś istotnego, coś, co mogło go skonfrontować z komisarzem.

Ale nic się nie wydarzyło. Nad ranem zaczął padać drobny deszcz. Wcisnął głowę głębiej w kołnierz skórzanego płaszcza, który w zimnym samochodzie nie dawał mu żadnej ochrony, i schował zziębnięte ręce w kieszenie. Czuł irytację, bo miał nadzieję, że uda mu się coś ustalić, tymczasem nie posunął się ani o krok naprzód – tkwił tylko przez kilka godzin w samochodzie na odludziu, w miejscu, którego nie znał i które nie wydawało się przyjazne. Już w drodze, gdy jego auto podskakiwało na kocich łbach słabo oświetlonej Skagerrakstrasse, przyszło mu do głowy, że

ta nocna eskapada do Oxhöft nie ma żadnego sensu, jak to zwykle bywa w przypadku działań poczynionych w wyniku spontanicznego zrywu emocji. Postanowił jednak plan zrealizować, czekając na rozwój wypadków.

O siódmej rano doktor Kamińska, ubrana w ten sam ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem, pojawiła się w drzwiach kamienicy i skierowała w stronę stacji kolejowej. Nie zauważyła auta komisarza Krupkego, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, zaraz za fiatem Balilla, którego pomalowana na czerwono boczna karoseria odciągała wzrok od czarnego opla, rozmywającego się w porannej mżawce. Odczekał kwadrans, wysiadł z samochodu i wszedł do kamienicy, w której mieszkała.

W obskurnym holu słyhać było krzyki dobiegające z mieszkań. Z pierwszego piętra zbiegł kilkuletni chłopiec, którego dudniące o drewniane stopnie kroki zagłuszyły na chwilę ludzkie głosy. Nie zatrzymał się, zignorowawszy zupełnie przyglądającego mu się mężczyznę, i zniknął za drzwiami na ulicę. Powietrze ponownie wypełniły głosy zza ścian. Krupke nie znał polskiego, wzdrygnął się, słuchając niezrozumiałych pokrzykiwań, które kaleczyły jego niemieckie uszy. Poczul się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że kamienica musi być zasiedlona przez samych Polaków. W centrum miasta rzadko na nich trafiał, przestrzegali też zakazu używania swego barbarzyńskiego języka. Jednak w swojej krnąbrności, pomyślał, między sobą nadal mówili po polsku. Kiedyś, w Danzig, komisarz właściwie nie zwracał uwagi na pochodzenie, zakładając, że każdy mieszkaniec Wolnego Miasta prędzej czy później zostanie Niemcem. We wrześniu trzydziestego dziewiątego w więzieniach i tymczasowych obozach zaroiło się od Polaków, szybko jednak wszystko się uspokoiło, a miasto powróciło do swej prowincjonalnej egzystencji, ciesząc się z powrotu do Rzeszy. Kiedy Joseph Krupke znalazł się w Gotenhafen,

Polacy zostali już stłoczeni w swych odległych gettach, centrum zaś pozostało wolne dla nowych niemieckich obywateli miasta, do których komisarz także się zaliczał, z dumą myśląc o sobie jako rzeczywistym ucieleśnieniu idei głoszonych przez Führera. Była jeszcze Marianna, mało rozgarnięta polska dziewczyna, którą zatrudnił u siebie jako pokojówkę, ale ona posługiwała się głównie monosylabami – tylko szorując w kuchni garnki, mruzczała pod nosem jakieś polskie piosenki. Nie była najlepszą służącą, ale komisarz Krupke nie wymagał wiele. Lubił czasem myśleć, że zostawiając ją jak sprzęt po poprzednich właścicielach, jednocześnie pomagał jej, bo mogła pozostać w Gotenhafen, nadal wykonując tę samą pracę. W jej obecności nie czuł żadnego zagrożenia, właściwie jej nie zauważał, skupiając się raczej na efektach jej działań niż na niej samej. Ale tu, w kamienicy w Oxhöft, poczuł niepokój.

Wspiął się po drewnianych schodach na piętro, starając się, by deski pod jego stopami skrzypiały możliwie najciszej. Nie był pewien, za którymi drzwiami znajdowało się mieszkanie zajmowane przez doktor Kamieńską – na części drzwi nabazgrano kredą numery, jednak kilku, w tym ósemki, brakowało. Zaczął nasłuchiwać, przesuwając się wolno od drzwi do drzwi; uważał przy tym, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Za drzwiami w końcu korytarza panowała cisza. Zapukał. Nie usłyszał żadnego szmeru, żadnego dźwięku, który wskazywałby, że kilka centymetrów od niego, po drugiej stronie odrapanych, pociągniętych brudnobrązową farbą drzwi znajduje się komisarz Franz Thiedtke. Był jednak przekonany, że komisarz ukrywa się u tej polskiej lekarki, a fakt, że wyszła sama, upewnił go tylko, że w jej mieszkaniu spotka swego dawnego mentora. Zapukał ponownie. Miał wrażenie, że po drugiej stronie słyszy ciężki oddech; wprost czuł fizyczną obecność przyczajonego komisarza, który podobnie jak on, nasłuchiwał z uchem przyłożonym do drzwi. Był pewien, że nocne czuwanie opłaciło

się, że już za kilka chwil stanie oko w oko z emerytowanym komisarzem Thiedtkem i zapyta go wprost, co wydarzyło się w Adlershorst.

Gdy sięgał po noszony zawsze w wewnętrznej kieszeni marynarki wytrych, jego dłonie były wilgotne. Nie, tego nie nauczył go dawny przełożony, on nie popierał takich gangsterskich metod, jak włamywanie się do mieszkań bez nakazu przeszukania. Do tego Joseph Krupke doszedł sam, gdy utkwivszy pod drzwiami mieszkania w zmurszałej kamienicy przy Tischlergasse w Danzigu, nie mógł dostać się do środka, choć wiedział, że po drugiej stronie ukrywa się podejrzany o zabójstwo wikarego z St. Katharinenkirche – ciało znaleziono koło nagrobnej płyty Johanna Hewelckego, browarnika, który od warzenia słynnego gdańskiego piwa jopejskiego wolał lunety i gwiazdy. Morderca młodego księdza umknął z miasta, bo Krupke nie mógł wejść do mieszkania, w którym ukrywał się przed ucieczką. Od tamtej pory komisarz zawsze miał przy sobie wytrych, którym potrafił posługiwać się cicho i błyskawicznie. Tak było i tym razem.

Słaby zamek szybko poddał się jego dłoniom, które choć drżące, były nadzwyczaj sprawne. Po krótkiej chwili pchnął drzwi, a te otworzyły się wolno. Wsunął się do środka, jednak wbrew przypuszczeniom mieszkanie, a właściwie jeden pokój z odrapanym zlewem w rogu, było puste. Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się wokół. Obita wytartym pluszem kanapa stojąca pod ścianą dawno straciła secesyjny blask, ustawiony na środku stół przykryty był lnianym, idealnie gładkim i czystym obrusem, za to kotary wiszące w oknach wydawały się zakurzone i nieświeże. Pokój był mały, okna wychodziły na ulicę. W zamkach do dużej trzydrzwiowej szafy tkwiły klucze, przekreślił je i zajrzał do środka. Przejrzał szybko kilka równo złożonych prześcieradeł i poszewek na poduszki. W szufladzie kłębiły się kolorowe szale i apaszki, dużo bardziej frywolne niż nudna garsonka, w której zwykle widywał doktor Kamieńską. Pod futrem z norek, które

znalazł w drugiej części szafy, stały ułożone równo damskie pantofle. Pomyślał, że garderoba lekarki była świadectwem minionych czasów, wspomnieniem życia, które musiała kiedyś prowadzić.

Joseph Krupke nie odczuwał nigdy wyrzutów sumienia wobec ludzi, którzy w Gotenhafen pozostawili tylko swoje nowoczesne przeszklone serwantki wypełnione zbyt kruchą, by można ją było zabrać w nowe życie, porcelaną i staromodne dębowe garderoby, które swoją solidnością zapewniały im kiedyś złudne poczucie bezpieczeństwa, wykrochmalone obrusy, które nie dawały ochrony w chłodne dni jesieni trzydziestego dziewiątego, i pierzyny, które wprawdzie chroniły przed zimnem, były jednak zbyt duże, by awansować do rangi rzeczy niezbędnych, składanych do tekturowych walizek, z konieczności mieszczących cały ludzki wszechświat z jego przeszłością, wspomnieniami i obawą przed jutrem. Krupke nie czuł też do nich pogardy, z którą o polskich wysiedleńcach nowi Niemieccy mieszkańcy często się wyrażali, powtarzając zasłyszane opowieści o ich głupocie i lenistwie, jasno wskazujących na podrzędność całej słowiańskiej masy. Krupke właściwie nic nie czuł do Polaków, którzy po wkroczeniu wojsk generała Eberhardta zostali wysiedleni i wysłani w głąb Generalnej Guberni, będącej dla niego równie odległym terytorium jak El Alamein czy Tobruk. Nie zastanawiał się nad losem poprzednich lokatorów mieszkania, które zajmował, zadowolając się odpowiednimi cytatami z *Mein Kampf* i Nietzschego. Uważał, że liczy się tylko teraźniejszość, a przeszłość nie ma znaczenia, jeśli szkodzi przyszłości.

Jednak teraz, kiedy stał przed otwartą szafą doktor Kamieńskiej, przed jej kapeluszami ułożonymi równo na górnej półce, pantoflami na wysokim obcasie i sukienkami, które musiała do mieszkania w Oxhöft przynieść w swojej tekturowej walizce, odczuł zakłopotanie, wstyd, jaki musi czuć niepozabawiony zasad, zdrowy moralnie obywatel przyłapany na



podglądactwie. Zmieszał się, choć w mieszkaniu nikogo prócz niego nie było, a praca komisarza policji niejednokrotnie pozwalała mu na bezkarne przeglądanie cudzych szaf, jeśli tylko te wydawały się choć trochę podejrzane. Teraz cofnął się o krok i starając się zrobić to jak najciszej, jakby skrzypienie drzwi mogło zawiadomić sąsiadów o jego włamaniu, zamknął szafę, po czym rozejrzał się wokół, szukając choć śladu, który świadczyłby o tym, że w mieszkaniu doktor Kamieńskiej ukrywał się mężczyzna. Nie było jednak żadnego dowodu na to, że poza lekarką mieszkała tu druga osoba; wszystko trwało w ascetycznym porządku, wywołanym tyleż dbałością, co ubóstwem zgromadzonych w mieszkaniu rzeczy. Kryjąc się za firanką, wyjrzał szybko na ulicę, po czym wyszedł na korytarz, wytrychem przekręcił zapadkę w zamku, a chusteczką, w której go nosił, wytarł odruchowo klamkę, choć robiąc to, pomyślał, że stwierdziwszy włamanie, doktor Kamieńska i tak nie zawołałaby zapewne niemieckiej policji. Zza drzwi sąsiedniego mieszkania dobiegły wyraźne głosy, więc ściskając w dłoni wytrych, Joseph Krupke zbiegł szybko po schodach i wybiegł na ulicę, by w chwilę później odjechać w stronę centrum Gotenhafen.

## ROZDZIAŁ

# 17

Pastor von Korff nie był zadowolony, gdy w drzwiach swego domu zobaczył człowieka, którego kilka dni wcześniej znalazł w kościele parafialnym, brudnego i zakutego w kajdanki. Teraz Franz Thiedtke wyglądał znacznie lepiej – ubrany w nieco za ciasny, ale niezniszczony garnitur, ogolony i czysty. Przez moment, gdy milcząc, stał naprzeciwko niego, pomyślał, że cała ta historia z dochodzącym prawdy emerytowanym komisarzem była tylko wyssaną z palca, naiwną historyjką, na którą on, pastor von Korff z Rygi, dał się nabrać, cała mistyfikacja zaś miała służyć temu, by wykazać jego antypaństwową postawę i pozbawić w miarę spokojnej plebanii w Wittominie, ale szybko tę myśl odgonił, ganiąc się w duchu za brak wiary w zamysły Najwyższego i w naturę stworzonego na jego obraz człowieka.

– Witam, pastorze – powiedział mężczyzna. – Chciałem podziękować za pomoc.

Pastor zaprosił gościa do środka. Parząc herbatę, bo jego Ilse zabrała Mathilde do miasta, żeby pod jedną z kolorowych markiz przy Adolf Hitler Strasse kupić jej nowe buciki na zimę, on zaś pozostał w domu sam, by w ciszy przygotować kazanie na najbliższą niedzielę, lejąc więc wrzątek do pękatego dzbanka z czeskiej porcelany, zastanawiał się, po co naprawdę

zjawił się u niego emerytowany komisarz z Danzig. Był przekonany, że za uprzejmym podziękowaniem kryło się coś, co z pewnością mu się nie spodoba. W istocie na wyjaśnienia nie musiał długo czekać, bowiem Franz Thiedtke odezwał się, kiedy tylko pastor zjawił się z herbatą w salonie.

– Zapewne dziwi pastora moja obecność tutaj – zaczął, gdy von Korff stawiał przed nim filiżanki i dzbanek. – Rozumiem obawy pastora. Jestem zbiegiem, wiem, że mnie szukają, narażam bezpieczeństwo tylu osób, które zdecydowały się mi pomóc. A pastor jest pierwszą z nich.

Pastor von Korff otworzył usta, bo chciał powiedzieć coś o bożym miłosierdziu i odkupieniu grzechów, ale Franz uciszył go ruchem dłoni.

– Nie, nie, pastorze. Niech pastor nie zaprzecza – powiedział. – Wiem, że pastor powie, że to obowiązek osoby duchownej i tak dalej, i tak dalej, ale dziś trzeba mieć dużo odwagi, żeby pomóc komuś takiemu jak ja. Nie zdawałem sobie z tego w pełni sprawy, ale teraz już to wiem. Dlatego właśnie chciałem pastorowi podziękować i zapewnić, że nigdy o tej pomocy nie zapomnę. Nigdy też nie ujawnię, że pastor mi jej udzielił. Proszę się nie obawiać, nie grozi pastorowi przez to żadne niebezpieczeństwo.

Pastor nie odezwał się, ale słuchając słów Franza Thiedtkego odczuł ulgę, bo choć stan duchowny zobowiązywał go do pomocy bliźniemu, to w tych dziwnych czasach mogła ona okazać się zgubna nie tylko dla niego, ale też dla całej jego rodziny. A on nie chciał, by mała Mathilde odpowiadała za to, co czynił jej ojciec.

Jednak spokój trwał tylko chwilę. Zburzyło go to, co kilka sekund później powiedział gość. Pastor von Korff poczuł, że jego miłosierna dusza wrze z oburzenia.

– Dzięki pomocy pastora w dotarciu do pani doktor udało mi się rozpocząć działania, które mam nadzieję, pomogą mi w dojściu do tego, co

wydarzyło się w moim życiu, a czego, jak pastor wie, nie mogę sobie przypomnieć. W Gotenhafen jest mój dawny współpracownik, który także wierzy w moją niewinność. To policjant, który został tu przeniesiony z Danzig. Postanowił mi pomóc. Ale pastor rozumie, ja się ukrywam, więc on nie może zdradzić się z tym, że ma ze mną kontakt. – Franz zrobił chwilę przerwy, jakby chciał się upewnić, że pastor von Korff rozumie wszystko, co powiedział. – Dlatego umówiłem się z nim w kościele pastora.

Pastor zerwał się, przewracając filiżankę. Herbata rozlała się na porcelanowym spodku i zaczęła cienkim strumieniem wyciekać na wypolerowany blat stołu.

– Nic, nic, to nic nie szkodzi! – Nerwowo przestawiał naczynia, czując drżenie rąk, po czym nie patrząc na Franza, wybiegł do kuchni. –

Przepraszam pana. Niedołąga ze mnie. – Nie zrobił tego umyślnie, choć wcale nie uważał się za fajtlapę. Był zły, był wściekły, ale nie pozwalał sobie nigdy na okazywanie złości, więc i teraz próbował udawać. – To z nieostrożności.

– Jest pastor niezadowolony – odezwał się Franz. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Tak, oczywiście, że jestem niezadowolony – odparł von Korff, siadając. Spojrzał gościowi prosto w oczy i czując siłę, jaką dało mu to spojrzenie, powiedział: – Oczywiście, że jestem niezadowolony, proszę pana. Wittomin to było do tej pory spokojne miejsce, na uboczu, z dala od skandali i podejrzeń. A pan sprowadził na nas niebezpieczeństwo. Od czasu, gdy się pan tutaj pojawił, każdego dnia myślę z obawą, czy nie dowiedzą się o tym na Steinbergu. A ja mam żonę i dziecko, rozumie więc pan...

– Tak, oczywiście, pastorze. Dlatego zapewniam pana, że nikt się o tym nie dowie – zarzekał się Franz gorliwie. – Zdaję sobie sprawę, że sama

moja obecność zagraża bezpieczeństwu, ale... właśnie dlatego wybrałem Wittomin. Bo to, jak sam pastor powiedział, spokojne miejsce, z dala od centrum.

– Pana pojawienie się zburzyło ten spokój, panie...

– Thiedtke.

– Właśnie, panie Thiedtke.

– Pastorze, to mnie ścigają. A ja, gdyby mnie złapali, nigdy pastora nie wydam. Poza tym, jak powiedziałem, to mój dawny współpracownik, wierzy w moją niewinność i chce mi pomóc.

– I jest pan pewien, całkowicie pewien, że ten pana współpracownik nie zdradzi? Że nie przyprowadzi tutaj całego oddziału policji, żeby pana ujęto?

Emerytowany komisarz zapadł się w fotelu i powiedział ciszej, odwracając wzrok:

– Nie, nie jestem. Dlatego właśnie przyszedłem do pastora.

W salonie na plebanii zapadło na długą chwilę kłopotliwe milczenie. Pastor von Korff przyglądał się gościowi bez cienia sympatii, wyraźnie zniecierpliwiony całą sytuacją.

– Czy ma pastor tylne wyjście? – zapytał w końcu Franz.

– Tak, jest wyjście do ogrodu – odpowiedział. I szybko dodał: – Nie, nie. Jeśli chce pan włączyć plebanię w swój plan, to ja się nie zgadzam. Może pan iść do kościoła i tam spotkać się z tym swoim współpracownikiem, ale mnie, moją rodzinę i moich parafian proszę trzymać od tego z daleka. Rozumie pan?

– Pastorze, ja poczekam tutaj tylko na przyjazd mojego przyjaciela. Z okien plebanii widać ulicę. Jeśli nie będzie sam, ucieknę wyjściem do ogrodu i obiecuję, że już nigdy więcej pastor mnie nie zobaczy.

– Czy pan wie, że wykorzystuje ludzi? – Pastor von Korff podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, upewniając się, że ulica nadal jest pusta. –

Wzbudza pan w nich litość, a potem wykorzystuje.

– Ja tylko proszę o pomoc, pastorze. Jedynie dzięki pomocy innych mogę przetrwać. Mam nadzieję, że pastor mi wybaczy.

– O której będzie tu ten pana przyjaciel? – Pastor odwrócił się od okna.

Franz spojrzał na duży zegar stojący w kącie salonu, bo swego zegarka zabranego w areszcie przy Hafenstrasse nigdy nie odzyskał.

– Powinien być za kwadrans. O trzeciej – powiedział.

– Dobrze więc. – Pastor zebrał na tacę filiżanki i dzbanek. – Może pan zostać do trzeciej. O czwartej będzie tu moja żona z córką. Proszę więcej do mnie nie wracać. – Wyszedł do kuchni, nie odwracając wzroku w kierunku komisarza.

## ROZDZIAŁ

# 18

Joseph Krupke nigdy nie był w Wittominie. Oddalona od centrum Gotenhafen dzielnica, zagubiona wśród porośniętych lasami wzgórz otaczających miasto, wydawała się daleka od hałasów dochodzących z basenów portowych, gdzie zacumował właśnie po niedawnej wyprawie za koło podbiegunowe krążownik Lützow, z wstydliwie opuszczonego pancernika Gneisenau wymontowywano uzbrojenie, by przewieźć je do baterii obrony brzegowej w Trondheim i Bergen, a w Maschinenbauhalle powstawały elementy do u-bootów, które wraz z pozostałymi częściami produkowanymi w stoczni Schichaua i sąsiedniej Danziger Werft składano w Danzig. I tutaj słychać było krzyk mew, jednak słone morskie powietrze mieszało się już ze słodkim zapachem przejrziałych drzew.

Komisarz krążył w milczeniu ulicami Wittomina. Nie pytał o drogę, by nikt z przypadkowych przechodniów nie zapamiętał jego twarzy. Rozglądał się, mrużąc oczy ukryte za okularami w drucianych oprawkach, i próbował odnaleźć miejscowy kościół, wypatrując górującej nad niskimi zabudowaniami dzwonnicy. Gdy w końcu zaparkował kilkanaście metrów od małego kościółka, spojrzął we wsteczne lusterko, by upewnić się, że nikt go nie śledzi, po czym postawiwszy kołnierz skórzanego płaszcza, wysiadł,

zamknął ostrożnie drzwiczki samochodu i wciskając głowę w ramiona, skierował się do miejsca, w którym miał spotkać się z Franzem Thiedtkem.

Nie był zadowolony, że do spotkania miało dojść w kościele. Irytowało go to, choć wmawiał sobie, że obecność Chrystusa na krzyżu, w którego cierpienie za ludzkie grzechy nie wierzył, nie ma dla niego znaczenia. Kiedy wszedł do ciemnego wnętrza, poczuł ten sam charakterystyczny mdlący zapach, który unosił się w kaplicy księdza Wienkego, zapach kadzidła, kojarzący mu się z niedzielnymi nabożeństwami w Langfuhr, gdy matka zabierała go na Schwarzerweg, po drodze obiecując wycieczkę do Gutenbergdenkmal, który dzięki hojności gdańskiego drukarza przypominał spacerowiczom w leśnej altanie o wynalazcy druku z Moguncji, albo na Teufels Brücke, który łączył dwa zbocza małego jaru w lesie przy Jäschkentalerweg. Joseph lubił też wyprawy na Marienstrasse, gdzie w piekarni Dampf matka kupowała mu zawsze małą maślaną bułeczkę, którą zjadał, zanim zdążyli wrócić do domu, do czekającego na nich ojca. Ale Langfuhr pozostało w Danzig, Greta i Hans odeszli, a Joseph Krupke z odznaką policji kryminalnej w kieszeni skórzanego płaszcza uwalniał od przestępców swoje nowe, zaludnione Niemcami z różnych zakątków Rzeszy miasto.

Czasy dzieciństwa, Greta i ksiądz Wienke – to wszystko przebiegło mu przez głowę zaledwie przez ułamek sekundy, gdy do płuc wciągnął zapach kościelnego kadzidła zmieszany ze smrodem butwiejących desek. Szybko jednak przegonił niepotrzebne myśli i obrzucił wzrokiem otoczenie.

Był sam. Wokół panowała cisza, do wnętrza kościoła nie dochodziły nawet odgłosy z ulicy. Usiadł w ostatniej ławce, z boku, tak by obserwować zarówno wejście, jak i drzwi, które jak się domyślał, wiodły do zakrystii. Chrystus z krzyża śledził jego kroki, wprawiając Krupkego w coraz większą irytację. Choć uważał, że panuje nad sytuacją, że po krótkiej



utracie kontroli znowu kieruje wydarzeniami tak, jak to sobie zaplanował, w kościele parafialnym w Wittominie zaczął tracić pewność siebie. Zastanawiał się, czy Franz Thiedtke rzeczywiście pojawi się na spotkaniu, czy też rozszyfruje jego zamiary i wystawi dawnego podwładnego na pastwę własnych domysłów i strachu przed zdemaskowaniem na Steinbergu. Sam nie grał uczciwie, nie mógł więc zakładać, że komisarz Thiedtke nie zaskoczy go nieoczekiwanym posunięciem. Chciał mu pomóc, jednak na własnych warunkach, dyktowanych głównie przez dawno urażoną próżność. Drgnął, gdy usłyszał za sobą ciche skrzypnięcie frontowych drzwi. Odwrócił się i zobaczył komisarza.

– Panie komisarzu! Nareszcie! – To był rzeczywiście odruch, a ta emocjonalna reakcja swoją spontanicznością zaskoczyła jego samego.

Joseph Krupke poderwał się z ławki i podbiegł do dawnego zwierzchnika, by uścisnąć mu dłoń. Pomyślał, że uścisk Franz Thiedtke ma słabszy niż wówczas, gdy pracowali razem na Karenwall, na twarzy też zmarniał, a czoło znaczyły wyraźnie dwie głębokie bruzdy.

– Jak się pan czuje? To był niezwykły przypadek, że udało się panu uciec. – Poczekał na reakcję komisarza, zastanawiając się, czy Thiedtke mógł rozpoznać Kopytkę, którego rower wyjechał w Adlershorst wprost pod koła samochodu transportującego go do Danzig, jednak twarz przybyłego mężczyzny nie drgnęła i po raz pierwszy Krupke pomyślał, że być może komisarz rzeczywiście nic nie pamięta. – Panie komisarzu, czy jesteśmy tu bezpieczni? – zapytał po chwili.

– Zapewne nie bardziej niż w każdym innym miejscu, panie Krupke – odparł Franz i usiadł w kościelnej ławce.

Krupke szybko zajął miejsce obok niego.

– Dlaczego chce mi pan pomóc?

– Panie komisarzu, wierzę, że pan tego nie zrobił.

- Ale w areszcie nie wierzył pan.
  - Areszt to areszt. Jestem komisarzem policji. Nie mogę kierować się sentymentem do przeszłości.
  - To znaczy, że poza aresztem myśli pan inaczej?
  - Panie komisarzu, wierzę, że pan tego nie zrobił, chociaż, oczywiście, dopuszczam wersję, że jest pan mordercą. Wiem, że nie dano panu szansy, by udowodnić cokolwiek. Sądzę, że ja jestem to panu winny.
  - Winny?
  - Nie pamięta pan naszej współpracy?
  - Przykro mi...
  - Dzięki panu poznałem pracę w policji. Nauczył mnie pan wszystkiego.
  - Jeśli jest tak, jak pan mówi, to chyba mi się udało...
- Krupke uśmiechnął się lekko kącikiem wąskich ust.
- W takim razie mogę liczyć na pana pomoc? – zapytał Franz.
  - Tak.
  - A jeśli ktoś dowie się, że pan prowadzi własne śledztwo w tej sprawie?
  - Po pana ucieczce śledztwo nie zostało oficjalnie zamknięte. A tak na marginesie, to był niezwykle przypadek... wtedy, w drodze do Danzig, prawda?
  - Czasem los człowiekowi sprzyja... – Franz zamyślił się, patrząc na drewniany krzyż wiszący nad ołtarzem. – Od czego pan zacznie, komisarzu?
  - Właściwie już zacząłem. Chciałem porozmawiać z człowiekiem, który jako ostatni widział Aloisa Richtera żywego. To znaczy, ostatni poza panem.

– I co? Rozmawiał pan? Był pan w hotelu?

– Nie, okazało się, że ten człowiek nie żyje. Dowiedziałem się z raportu.

– Zbieg okoliczności?

– Nie sądzę. To boy hotelowy, Polak zamieszkały w Kielau. Trzy dni po morderstwie Aloisa Richtera zginął w pożarze domu, w którym mieszkał. Przeglądałem też raport z sekcji zwłok i wiem, że ten boy umarł, zanim wybuchł pożar.

– Skąd pan wie?

– W tchawicy i oskrzelach nie było sadzy. – Krupke uważał, że Franz Thiedtke od razu zorientuje się, o co mu chodzi, jednak po krótkiej chwili milczenia zrozumiał, że emerytowany komisarz nadal czeka na wyjaśnienie. – To znaczy, że nie żył już wcześniej, no, że nie zmarł w wyniku pożaru. Gdyby zmarł na skutek uduszenia dymem, w jego narządach wewnętrznych byłaby sadza, bo musiałby wdychać ten dym. A nie było – powtórzył.

– Myśli więc pan, że ktoś mu pomógł?

– Tak. Pytanie tylko, czy miało to coś wspólnego z morderstwem Aloisa Richtera, czy był to zbieg okoliczności.

– A pan jak sądzi?

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne, choć nie możemy wykluczyć takiej możliwości.

– Co dalej?

– Chciałbym się dowiedzieć, co łączyło pana z Aloisem Richterem. Może coś pan pamięta?

– Może na to pytanie odpowie panu moja żona?

– Tak, oczywiście. – Krupke na ułamek sekundy, ledwie dostrzegalnie, spuścił wzrok. – Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś od pana.

– Pan nie wierzy, że nie pamiętam.

– No, przyzna pan... Trudno w to uwierzyć. Ale niech się pan nie denerwuje. Wierzę panu – powiedział Krupke twardo i zdecydowanie.

– W takim razie niech mi pan poda mój adres. – Słowa Franza zabrzmiały równie twardo.

Na długą chwilę zapadła cisza.

– Mówiłem już pani doktor, aby panu przekazała, że to niebezpieczne. – Krupke wydawał się poirytowany. Jego oczy za szklami w drucianych oprawkach zwęziły się tak, że wyglądał, jakby usnął nerwowym snem. Odezwał się jednak szybko: – Szuka pana gestapo. Pańskie mieszkanie na pewno jest pod stałą obserwacją. Poza tym tam nie znajdzie pan odpowiedzi na żadne pytania.

– Może porozmawiam z żoną? Z pewnością dowiem się od niej więcej niż pan.

Franz patrzył na swego dawnego podwładnego z wyrazem niewinnego oczekiwania, choć Krupke miał wrażenie, że w jego oczach dostrzegł ironiczny błysk, którego nigdy wcześniej nie widział. Poirytowany zerwał się z kościelnej ławki, która pod wpływem tego gwałtownego ruchu zachwiała się, wydając głośny dźwięk skrzypiącego sucha drewna.

– Nie, zabraniam panu! – krzyknął.

W pustym kościele jego słowa zabrzmiały głośniejsz. Sam zdziwił się swym ostrym tonem. Nie usiadł obok Franza, zaczął jednak krążyć powoli między rzędami ustawionych w świątyni ławek.

– Panie komisarzu – powiedział, tym razem ciszej, choć wciąż wzburzony. Drżącymi rękoma odnalazł w kieszeni skórzanego płaszcza płaską papierośnicę, z której nie częstując dawnego przełożonego, wyjął

papierosa i zapalił go. Zaciągnął się z widoczną na bladej twarzy ulgą. – Panie komisarzu – powtórzył spokojniej. – Rozmawiałem już z pana żoną, która nie wniosła do śledztwa nic nowego. Zrobię to jeszcze raz, może tym razem pani Thiedtke coś sobie przypomni. Proszę to jednak zostawić mnie, a nie narażać na niebezpieczeństwo swoją żonę. Jeśli pojedzie pan do Danzig, natychmiast odkryje pana gestapo i nie będzie już mowy o zbadaniu tej sprawy. Dlatego proszę wrócić do swojej kryjówki. Rozumiem, że pomaga panu doktor Kamieńska. Zapewne mieszka pan u niej...

Krupke zatrzymał się na chwilę przed ołtarzem, wznosząc wzrok i przyglądając się figurze Umęczonego, po czym wydmuchnął z płuc papierosowy dym, w którym pogrążył się krzyż. Nie zyskawszy odpowiedzi, odwrócił się i wolnym krokiem wrócił do ławki, w której siedział Franz Thiedtke. Pochylił się nad nim i zniżając głos niemal do szeptu, powiedział:

– Panie komisarzu, jeśli rzeczywiście nic pan nie pamięta, to powtarzam panu jeszcze raz: żyjemy teraz w rzeczywistości wojennej. Nasze Gotenhafen jest bezpieczne, ale musimy być cały czas uważni, bo wróg nieustannie szuka możliwości, by nas osłabić. Dlatego właśnie nasze służby są takie ostrożne. Pan jest podejrzewany o zabicie wysokiego funkcjonariusza naszego państwa, a Trzecia Rzesza nie lubi, kiedy pozbawia się ją wiernych obywateli. Rozumie pan? Dlatego niech pan pozostanie w swojej kryjówce, a sprawę pozostawi mnie. Będę pana na bieżąco informował o postępach mojego śledztwa. Wymagam jednak, by teraz to pan podporządkował się moim rozkazom, panie komisarzu. Czy to jasne?

Franz odsunął się, odepchnięty dymem, który Krupke wypuszczał z siebie z każdym wypowiedzianym do niego słowem, i przyglądał mu się

chwilę w milczeniu.

– Tak, oczywiście – powiedział w końcu. – I zakładam, że jest mi pan przychylny, no i rzeczywiście mi pomoże, panie Krupke.

Komisarz gdyńskiej policji z Hafenstrasse wyprostował się i mrużąc oczy, rozciągnął cienkie usta w szerokim uśmiechu.

– Oczywiście, panie komisarzu – odezwał się z wyraźnym zadowoleniem. – Przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń, na to, czego mnie pan nauczył. W takim razie rozumiem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Cieszę się, że udało nam się porozumieć, panie komisarzu. Proszę mi wierzyć, że cała ta sprawa jest także dla mnie bardzo przykra i zrobię wszystko, żeby ustalić, co naprawdę się stało. Gdyby nie ten pański atak w naszym areszcie, nie trafiłby pan do szpitala, a gestapo może pozostawiłoby tę sprawę nam, policji kryminalnej. Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze, ale cóż... nie zmienimy już tego, prawda?

## ROZDZIAŁ

# 19

Samochód, którym przyjechali, służył kiedyś jako furgon pocztowy do rozwożenia listów przysyłanych z głębi lądu do powstającej na nadmorskich piaskach Gdyni. Paczki z korespondencją, która nadchodziła z Warszawy i Lwowa, z Nowogródka i Tarnopola, z Cieszyna i Katowic, gdzie morze oglądano tylko na pocztówkach wysyłanych z budowanego nad Bałtykiem miasta, podskakiwały pod brezentową plandeką, gdy auto przemierzało ulice Świętojańską i 10 lutego, plac Grunwaldzki i skwer Kościuszki, mijało kościół Najświętszej Marii Panny i klimatyzowane kino Gwiazda, by przed hotelem Polska Riwiera skrócić w stronę Kamiennej Góry i jechać dalej do Orłowa, gdzie na pocztę czekali przechadzający się promenadą Królowej Marysieńki wczasowicze, przybywający tu latem z całego kraju. Fiat 508, który do Gdyni przybył z warszawskiej fabryki, na bocznych drzwiach posiadał starannie namalowany przez stołecznych robotników napis „Poczta”, pod którym umieszczono polskiego orła. Teraz nie było na nich ani orła, ani napisu, a odrapana karoseria zaprzeczała tamtym latom miejskiej świetności, gdy furgon należał do Poczty Głównej w Gdyni i każdego dnia rano, dokładnie wyczyszczony przez pana Wincentego, swego kierowcę, wyjeżdżał z podwórza na tyłach urzędu przy

Świętojańskiej, by przejechać ulicami miasta i dostarczyć pocztę wszystkim, którzy na nią oczekiwali.

Nie było też pana Wincentego, który we wrześniu trzydziestego dziewiątego zgłosił się do podpułkownika Węzyka, formującego właśnie na rozkaz pułkownika Dąbka batalion zaopatrzonych w kosy ochotników – mieli oni stanąć do walki z nadciągającymi od strony Danzig Niemcami. Pan Wincenty, człowiek już nie pierwszej młodości, urodzony w Stanisławowie syn polskiego urzędnika w służbie C.K. Monarchii, do Gdyni przybył w marcu dwudziestego szóstego, gdy wybranka jego serca, śliczna panna Cecylia, oddała rękę synowi piekarza, on zaś, złamany miłosnym zawodem, przeżegnał się, stając przed obrazem Łaskawej Panienki, z której Stanisławów słynął w całej Rzeczypospolitej, by porzucić życie na dalekim południu i przenieść się nad polski Bałtyk. Od tamtej pory mówił o sobie z dumą „gdynianin” i kiedy nad miastem przesuwały się cienie niemieckich swastyk na nadlatujących z Danzig samolotach Luftwaffe, a odgłosy dział coraz bardziej zbliżały się do śródmieścia, nie wahał się, by ochotniczo stanąć do obrony swego miasta. Brudny, zmęczony i przegrany znalazł się wieczorem dziewiętnastego września wśród innych polskich żołnierzy, których koniec wrześniowej kampanii zastał na Kępie Oksywskiej. Nigdy więcej już nie zobaczył swojego pocztowego furgonu; w stodole ukrył go przyjaciel pana Wincentego, mechanik cywilnego portu lotniczego w Rumii, u którego mieszkał Jan, zanim trafił do kamienicy na Oksywiu, gdzie spotkał doktor Kamińską.

Kiedy Niemcy zajęli gdyńskie lotnisko, gdzie obok transportu lotniczego zajmowano się też montażem pasażerskich lockheedów, okazało się, że polscy specjaliści, jeśli przyjmą ideały nowej ojczyzny, nie będą musieli pożegnać się ani z rodzinnym Rahmel, bo tak nazwano szybko miasteczko, ani z pracą w Hexengrund, gdzie wkrótce pojawiły się



samoloty Luftwaffe, które potrzebowały natychmiastowej pracy przeszkolonych mechaników. Choć większość z Polaków, tych, którzy nie zaginęli już w pierwszych dniach okupacji, wolała wagonami towarowymi, które jesienią trzydziestego dziewiątego odchodziły każdego dnia z dworca kolejowego w Gotenhafen, przenieść się w głąb Generalnej Guberni, przyjaciel pana Wincentego, zaopatrzony w niemiecką kenkartę z nazwiskiem Mirau, powrócił do pracy, a jego żona, Frau Mirau, do prowadzenia swego małego sklepu kolonialnego w Rahmel. Z furgonu pocztowego zeskrobano polskiego orzełka, auto zaś, zwykle zamknięte w chłopskiej stodole, służyło czasem do przewozu kaszubskich kartofli i brukwi. Wówczas za kierownicą siadał Jan, który mimo przeprowadzki do Oxhöft bywał w domu państwa Mirau częstym gościem. Czasem pożyczał też od nich fiata 508, gdy tak jak tego dnia potrzebny był transport.

– Powiedz mi, tylko szczerze. Dlaczego pomagasz temu Niemcowi? –

Jan zaparkował furgonetkę po przeciwległej stronie placu, od którego odchodziła boczna uliczka, gdzie stał witomiński kościółek.

Helena Kamieńska nie odpowiedziała.

– Uważaj, zadawanie się z żonatymi mężczyznami nie prowadzi do niczego dobrego – powiedział Jan poważnie, zbyt poważnie na swoje dwadzieścia kilka lat.

– To wiedza z konspiracji? – Helena nie lubiła, gdy ktokolwiek wtrącał się w jej prywatne życie, nawet jeśli był to Jan.

– Nie, tak powtarzała moja matka. – Tym razem Jan roześmiał się, odwracając wzrok w stronę kobiety. Ale twarz Heleny pozostała nieruchoma. – Jej siostra uciekła z hrabią. Kiedy rodzina zagroziła, że go wydziedziczą, wrócił do żony, zostawiając moją ciotkę w Paryżu. Samą i bez grosza.

– Czy to historia z morałem? – Pytanie zabrzmiało sarkastycznie.

– Nie. Ciotka poznała w Paryżu Amerykanina, króla opon rowerowych z Florydy, i teraz siedzi pewnie pod amerykańską palmą. – Jan przestał się uśmiechać. – Nie miałem od niej wiadomości, odkąd moja matka odpłynęła Piłsudskim...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– A ojciec? – zapytała w końcu Helena.

– Ojcu nie udało się załatwić biletu na ostatni rejs do Ameryki latem trzydziestego dziewiątego...

– Wiesz, co się z nim dzieje?

– Nie. – Jan spuścił głowę. – Nasi chłopcy też nic nie wiedzą... Czy to on? – Wskazał nagle postać, która pojawiła się w drzwiach kościoła.

– Tak, to on. – Helena poznała Franza Thiedtkego po sposobie, w jaki się poruszał, nieco ociężałym, choć już nie tak zrezygnowanym jak wówczas, gdy spotkali się w witomińskim kościele, i po płaszczu swego męża, który miał na sobie.

On także ich zauważył i ruszył w stronę furgonu.

Jan przekręcił klucz w stacyjce samochodu. Silnik zawarczał, auto lekko zadrżało, chłopak wrzucił bieg i skierował się w stronę komisarza. Zatrzymał się, kiedy auto zrównało się z Franzem Thiedtkem. Komisarz wsiadł szybko do środka, tłocząc się na dwuosobowym siedzeniu z Heleną i Janem, który nie czekając na trzaśnięcie drzwiczek, przycisnął pedał gazu i z piskiem opon skręcił w lewo, by skierować się na Wittominer Strasse.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Jan, gdy minęli ostatnie zabudowania. Spoglądając w boczne lusterko umieszczone wysoko po stronie kierowcy, upewnił się, że komisarz Joseph Krupke nie podąża ich śladem.

– Do Langfuhr. – Franz spojrzał uważnie na Helenę.

– Podał ci adres?

– Nie, oczywiście, że nie podał. Był bardzo przeciwny temu, żebym próbował skontaktować się z żoną. Upierał się, żebym siedział cicho i czekał na jego własne śledztwo.

– Wiedział, że byłeś już w hotelu w Adlershorst?

– Nie, ale wiedział, że ten boy, który widział nas tamtego wieczora, nie żyje. Chciał wezwać go na przesłuchanie, ale odkrył, że chłopak zginął w pożarze. Co więcej, przejrzał wyniki sekcji zwłok i okazało się, że chłopak był martwy, zanim znalazł się w ogniu. Ktoś musiał podpalić dom, żeby upozorować jego śmierć.

– To nic zaskakującego. Ty nie potrzebowałeś wyników badań lekarskich, żeby dojść do takich wniosków, prawda?

– Tak, ale teraz mamy pewność, że ktoś nie chciał, by ktokolwiek sprawdzał, co rzeczywiście wydarzyło się w hotelu.

– Co ostatecznie ustaliliście?

– Ja czekam na wyniki jego działań i dostosowuję się do jego poleceń. W imię naszej dawnej współpracy.

– Myśli pan, że ten komisarz będzie rzeczywiście pomocny? – Jan dotąd przysłuchiwał się tylko rozmowie. Teraz przerwał milczenie.

– Myślę, że trzeba go czymś zająć. Niech prowadzi to własne śledztwo. Nie sądzę, żeby było ono w znaczący sposób pomocne, ale będzie koncentrował się na dochodzeniu, a nie na mnie. Przynajmniej dopóki nie odkryje, że nie dotrzymuję warunków naszej umowy.

– Może zaszkodzić? – tym razem zapytała Helena.

– Z pewnością. Dlatego trzeba na niego uważać. – Franz chciał jeszcze coś dodać, zamilkł jednak, wyglądając przez szybę samochodu.

Jadąc aleją wysadzaną drzewami o pożółkłych liściach, minęli puste łąki pokrywane ciągnące się wzdłuż szosy łagodne pagórki i wjechali w początkowo nieliczne, chwilę później coraz gęstsze zabudowania.

Budynki były tutaj inne, niższe, zwykle jedno- lub dwupiętrowe, z łamanymi dachami z czerwonej dachówki, opadającymi na jasne fasady ozdobione murowanymi wykuszami i drewnianymi werandami, których wnętrza ukryte były za drapowanymi firankami i roślinami ustawionymi na parapetach.

– Czy to też jest Gotenhafen? – zapytał Franz.

– Nie, to Zoppot – odparła Helena. Czasem zaskakiwały ją jego pytania.

– To już Wolne Miasto.

– Wolne Miasto? – Komisarz uważnie oglądał domy przesuwane się za szybami fiata 508. – To inne miasto?

– Tak. – Trudno było Helenie przyzwyczać się do konieczności tłumaczenia mu rzeczy, które były znane wszystkim, choć próbowała robić to zawsze z cierpliwością i bez irytacji. Nie zawsze jednak z powodzeniem. Jan bywał zdziwiony, ciągle nie mogąc przyzwyczać się do myśli, że człowiek, którego widzi, nie potrafi umieścić się odpowiednio w otaczającej go rzeczywistości, jak dziecko potrzebujące osoby, która poprowadziłaby je przez świat. – Gdynia, to znaczy Gotenhafen, to polskie miasto, które powstało w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A Gdańsk i Sopot – Helena przed wojną nigdy nie używała niemieckich nazw sąsiadujących z Gdynią miast – to znaczy Danzig i Zoppot – poprawiła się teraz – powstały znacznie wcześniej.

Franz po raz pierwszy poczuł, że znajduje się w miejscu, które dobrze znał, miejscu, które nie mogło być obce tamtemu Franzowi Thiedtkemu, człowiekowi, którego pozostawił za drzwiami hotelu w Adlershorst, tamtemu Franzowi Thiedtkemu, którego zupełnie nie pamiętał, choć patrząc każdego dnia w lustro, widział jego twarz. Po raz pierwszy miał wrażenie, że jest tam, gdzie być powinien, choć wiedział, że dawny Franz mieszkał w Danzig, a nie w Zoppot.

– Czy daleko stąd jeszcze do Langfuhr? – zapytał.

– Tak. Musimy minąć Zoppot i dojechać do Danzig. A potem musimy znaleźć Hermanshöferweg – tym razem odpowiedź padła z ust Jana.

– Hermannshöferweg – powtórzyła Helena. – Tam mieszkasz, pamiętasz, Franz?

Komisarz oderwał wzrok od szyby auta i nie odzywając się, spojrzał na doktor Kamińską.

– Pamiętasz adres, który znalazł Jan, prawda?

Skinął głową.

Minęli osiedle drewnianych domków, które wciśnięto między szosę a las pokrywający łagodnie wspinający się pagórek. Kiedy w chwilę później zza drzew wyłoniły się dwie wieże, które w gasnącym słońcu jesiennego popołudnia wbijały się w bezchmurne niebo, Franz poczuł falę gorąca oblewającą mu ciało. Jego twarz zrobiła się czerwona, a on sam miał wrażenie, że nagle wszystkimi porami ukrytymi pod siwiejącymi włosami wypływa fala zimnego potu, szybko wędrującego na czoło, spływającego po skroniach i ześlizgującego się po karku za koszulę inżyniera Kamińskiego. Odkręcił szybko szybę i wciągnął głęboko w płuca powietrze, które schłodziło mokrą twarz.

– Franz! – Doktor Kamińska ujęła w palce przegub jego dłoni, by sprawdzić tętno. Sięgnęła nerwowo do torebki, z której wyjęła jedwabną chusteczkę obszytą delikatnym ścięciem. Komisarz otarł nią spoconą twarz i uśmiechnął się.

– To nic – powiedział przepraszająco. – Przez chwilę poczułem się słabo, ale już jest lepiej.

Samochód minął park i ulicę, która ciągnęła się wzdłuż parkowego ogrodzenia. Niskie kamienice zbudowano tylko po jednej stronie wyłożonej kostką brukową drogi, po której toczył się teraz wolno wóz konny

wyładowany ułożonymi równo workami. Na skwer po drugiej stronie wjechał z łoskotem kół podskakujących na żelaznych torach tramwaj. Zwolnił, a powietrze przeciął przenikliwy dźwięk jego dzwonka. Franz podskoczył nerwowo, uderzając głową o obudowę samochodowej szyby.

– Spokojnie, Franz. – Helena ujęła dłoń komisarza w swoją rękę. – To tylko tramwaj.

Mężczyzna ścisnął jej chłodne palce, jakby ten kurczowy uścisk mógł pomóc mu w odzyskaniu równowagi, i zamknął oczy. Czuł, jak ból głowy, który nie nękał go już od kilku dni, powraca, docierając znowu do samego środka zmęczonego mózgu. Ból był coraz dotkliwszy, wywołał dokuczliwy niepokój, a w chwilę później wstrząsnął wnętrznościami.

– Zatrzymaj się! – ledwie zdążył krzyknąć.

Wypadł z auta, które Jan zatrzymał z piskiem opon, i nie zamknawszy nawet za sobą drzwiczek, zwymiotował. Czuł, jak gwałtowny skurcz wstrząsa jego żołądkiem, a wnętrzności wypadają na chodnik. Gdy już wyrzucił z siebie wszystko, stał chwilę, trzymając się drzwi fiata. Wytarł usta jedwabną chusteczką Heleny i oddychał ciężko. Żołądek uspokajał się powoli, choć czuł jeszcze skurcz, który trzymał go mocno. Za to ból głowy nieznacznie zelżał.

– Nie wiem, czy nie powinniśmy wrócić – usłyszał dochodzący z wnętrza samochodu głos lekarki. – Może to jeszcze za wcześnie na takie emocje...

– Nie, nie! – zaoponował. – Nic mi nie jest. To było chwilowe. Długa jazda samochodem. – Wsiadł do wnętrza i zatrzasnął za sobą drzwiczki. – Jedźmy!

Jan spojrzał na Helenę pytająco, oczekując decyzji. Kobieta przyjrzała się uważnie komisarzowi, którego twarz, choć jeszcze mokra od potu, była blada i zmęczona. Bruzdy wokół jego ust zrobiły się głębsze, a oczy, mętne

pod opadającymi powiekami, zapadły się w głąb czaszki. Ponownie ujęła przegub jego dłoni i zmierzyła tętno, które tym razem ledwie wyczuła pod palcami.

– Franz, nie jesteś w dobrej formie. Myślę, że musimy wracać do Gdyni – powiedziała. – Powinieneś położyć się do łóżka i odpocząć. To dla ciebie zbyt wiele... Boję się, że ta wyprawa źle się skończy.

– Nie, Heleno! – Głos Franza nabrał ostrości, której Helena jeszcze nie знаła. – Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie wiadomo, kiedy Jan będzie mógł znowu pożyczyć samochód. Jedziemy do Langfuhr. Chcę zobaczyć się z żoną!

Doktor Kamińska nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową do Jana.

– Nie przejmuj się, Heleno – odezwał się chłopak po polsku. – To tylko cholerny szkop, możemy mu nie pomagać.

– Jedźmy! – Lekarka zacisnęła wargi i wbiła wzrok w szosę, która prowadziła przez łąki z Oliwy do Gdańska.

## ROZDZIAŁ

# 20

Hermannshöferweg ciągnęła się od Adolf Hitler Strasse do podnóży Königshöhe. Zabudowana jedno- i dwupiętrowymi kamienicami, których spadziste dachy pokryte czerwoną dachówką ozdabiały wykusze z owalnymi oknami, była cichą uliczką, tonącą w złotych liściach drzew rosnących w ogrodach otaczających budynki. Ogrody, ukryte za żelaznymi prętami płotów i drewnianymi parkanami, były wypielęgnowane i puste. Ulica też była pusta, choć znajdowała się blisko centrum Langfuhr, gdzie toczyło się ożywione życie dużej podmiejskiej dzielnicy pełnej tramwajów dzwoniących hałaśliwie na samochody przesuwane się po ułożonych w kostce brukowej torach i furmanek, które zapakowane drewnianymi beczkami zaopatrywały okoliczne piwiarnie i sklepy.

Jechali w milczeniu. Franz spoglądał na mijanych ludzi – na starszych mężczyzn, którzy posuwali się nieśpiesznie, kobiety prowadzące mniej lub bardziej posłuszne dzieci i na dziewczęta sklepowe, które rozmawiały z dostawcami kręcącymi się po ulicy. Wszystko to wydawało mu się znajome, choć momentami obrazki przesuwane się za szybą dawnego furgonu pocztowego przyprawiały go o niezrozumiały zawrót głowy, prawie o nudności. Widok ulic Langfuhr przywoływał jakieś wspomnienia,



chaotyczne i wyrywkowe, jednak komisarz nadal nie był w stanie ich nazwać ani określić.

Jan często spoglądał we wsteczne lusterko, obawiając się, aby nikt nie zwrócił uwagi na samochód z Rahmel. Choć ciągle był zwykłym chłopakiem marzącym o dalekich podróżach, jak wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył statki wypływające z gdyńskiego portu, ostatnie lata nauczyły go ostrożności, bez której nie mógłby pracować w Deutsche Werke. W stoczni zajmował się produkcją części do u-bootów, a potem remontował s-booty, co wymagało sporej fachowości. Bez wrodzonego sprytu i odwagi nie mógłby też przekazywać informacji, które poprzez marynarzy statków z neutralnej Szwecji wędrowały na Zachód. Przełożeni Jana z podziemia nie wiedzieli o jego wyprawie do Langfuhr, bo pomoc emerytowanemu komisarzowi niemieckiej Kripo, który działał do ostatniego dnia przed wybuchem wojny w Danzig, wydawała im się zupełnie niedorzeczna. Jan robił to wyłącznie na prośbę doktor Kamieńskiej, będącej nie tylko jedną z jego informaterek, dostarczającą wiadomości na temat pacjentów szpitala przy Litzmannplatz, ale i zaufaną przyjaciółką, której zawdzięczał życie, gdy w styczniu czterdziestego pierwszego ukryła go w szpitalu, dzięki czemu nie trafił w ręce gestapo, poszukującego szpiega, który działał w stoczni. Jan wiedział, jakie mogą czekać na nich niebezpieczeństwa, gdy znajdą się w Langfuhr, zwłaszcza że był przekonany, iż komisarz Krupke z Gotenhafen nie kłamał, mówiąc, że gdańskie gestapo poluje na Franza Thiedtkego. Dlatego gdy znaleźli się na Hermannshöferweg, Jan nie pojechał do końca ulicy, gdzie mieścił się dom, w którym według zdobytych przez niego informacji mieszkał Franz Thiedtke razem ze swoją żoną Waltraud, lecz zaparkował fiata państwa Mirau na rogu Johannistal, naprzeciwko ewangelickiej świątyni przy Am

Johannisberg, gdzie przed laty Joseph Krupke przychodził oglądać szamerowane mundury lejbhuzarów.

– Heleno, zostawiam kluczyki w stacyjce – powiedział po polsku i dodał po niemiecku: – Pójdę tam teraz i zobaczę, czy ktoś obserwuje pana dom. Jeśli miałoby się coś podejrzanego, natychmiast stąd odjeżdżajcie. Gdybyśmy się rozdzielili, będę o siedemnastej koło fontanny przy rynku.

Chłopak zatrzasnął za sobą drzwiczki, a Helena przesunęła się na fotel kierowcy. Razem z Franzem obserwowała uważnie oddalającego się Jana, który postawił kołnierz płaszcza i swobodnym krokiem, włożywszy ręce do kieszeni, ruszył Hermannshöferweg. Obok przejechał wolno samochód z gdańską rejestracją, jednak kierowca minął fiata 508 i dojechawszy do Heiligenbrunnerweg, skręcił.

Kolejne minuty płynęły powoli, na ulicy wciąż było cicho i pusto. Ich uwagę zwróciła tylko kobieta owinięta elegancką etolą z norek, ubrana w kanarkowy kostium, zbyt jaskrawy na tę porę roku. Oboje odprowadzali ją wzrokiem, Franz, patrząc na jej rozkołysane biodra, doktor Kamieńska na zasłaniającą jej ramiona etolę.

Po kilku minutach wrócił Jan.

– Wygląda na to, że jest w porządku – powiedział, wsiadając do samochodu. – A tu działo się coś podejrzanego?

– Nie, nie. – Helena i Franz byli zgodni.

– W takim razie może pan iść – Jan zwrócił się do komisarza. – To drugi budynek po prawej stronie. Mieszkanie jest na parterze.

– Powodzenia. – Doktor Kamieńska ścisnęła dłoń Franza.

– Gdyby coś się działo, niech pan ucieka. Jeśli nie spotkamy się tutaj, będziemy z Heleną o piątej przy fontannie. Żeby do niej trafić, trzeba się cofnąć do tamtej przecznicy – Jan wskazał ulicę za plecami – i skręcić w prawo. Fontanna jest po lewej stronie ulicy.

Komisarz skinął głową i wysiadł z samochodu. Rozejrzał się i ruszył w stronę Hermannshöferweg. Bez trudu odnalazł wskazaną przez Jana kamienicę. Stanął przed nią, przez chwilę przypatrując się jasnej prostej fasadzie, symetrycznie podzielonej drewnianymi werandami pod mansardowym dachem z czerwonej dachówki. Przed kamienicą znajdował się wąski trawnik, a wzdłuż parkanu ciągnęła się dokładnie przekopana rabata. Rozejrzał się ponownie, ale ulica była zupełnie pusta, nacisnął więc klamkę furtki prowadzącej na posesję. Żelazne zawiasy zaskrzypiały, głośnie echo poniosło się aż do rzadkiego lasu zamykającego perspektywę Hermannshöferweg. Znowu rozejrzał się na boki, a potem pchnął mocniej furtkę i wszedł do ogrodu.

Wejście do kamienicy znajdowało się z boku, drzwi ozdobione witrażem z kolorowych szkiełek ustąpiły bezgłośnie. Stając przed drzwiami swego mieszkania, poczuł ten sam atak gorąca, który pojawił się w drodze do Danzig. Otarł dłonią spocone czoło i zapukał cicho drżącymi palcami. Jednak nic się nie wydarzyło, z wnętrza mieszkania nie dobiegł żaden dźwięk. Zapukał jeszcze raz, głośnie i bardziej zdecydowanie. Pukanie ponownie pozostało bez odzewu. Poczuł ogarniającą go panikę, strach, że cała ta wyprawa, wyprawa, w którą zaangażował nie tylko Helenę, ale też Jana, narażając ich na oczywiste ryzyko, gdyby coś się nie udało, że cała ta podróż z Gotenhafen okaże się niepotrzebna. Zakładał, że Waltraud nie będzie się nigdzie ruszać w nadziei na jego rychły powrót, tymczasem z powodu jej nieobecności wszystko mogło okazać się niepotrzebnym ryzykiem.

Uderzył w drzwi pięścią, a łomot, zwielokrotniony echem odbijającym się od ścian korytarza, zadudnił w całym budynku. Wnętrze mieszkania ponownie odpowiedziało ciszą. Kiedy jednak echo ucichło, Franz usłyszał dźwięk zasuwki odsuwanej za drzwiami po drugiej stronie korytarza. Drzwi

cicho skrzypnęły i w wąskiej szparze między nimi a masywną drewnianą framugą ukazała się kobieca głowa w starannie upiętym turbanie nieokreślonego koloru.

– Pan komisarz! – zaszczębiotała kobieta. – Proszę! Proszę! Niech pan wejdzie! – Otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się w głąb mieszkania, czyniąc gest zaproszenia. – Szybko, szybko! – ponagliła, gdy Franz, ociągając się, ruszył w jej stronę. – Nikt pana nie widział? – zapytała, zamykając drzwi, kiedy komisarz znalazł się w tonącym w ciemności holu. Zasunęła szybko zasuwę i wyjrzała nerwowo przez wizjer zamontowany w drzwiach, nieco za wysoko jak na jej niepozorny wzrost, zauważył więc, że wspięła się na palce.

– Nie, na ulicy było pusto. – Franz pomyślał, że kobieta jest zapewne zaprzyjaźnioną sąsiadką, którą on, mieszkaniec tego budynku, musiał dobrze znać. – Nie wie pani, gdzie jest moja żona?

– Panie Thiedtke, nie wie pan, że oni ciągle tutaj na pana czekają? – Kobieta podeszła do niego blisko, tak blisko, że zauważył, jak białka jej oczu dramatycznie błysnęły w wąskiej smudze światła, wpadającej do holu zza uchylonych drzwi do jednego z sąsiadujących z nim pomieszczeń. – Nawet przed chwilą był tu taki jeden, niby niepozorny młody chłopiec. Ale wiadomo, że dziś wszyscy przyzwoici młodzi chłopcy walczą na froncie – powiedziała z przekonaniem i pchnęła niedomknięte drzwi. – Proszę, proszę! Niech pan wejdzie dalej! U mnie już byli, niech się pan nie denerwuje. Ja powiedziałam zgodnie z prawdą, że nic nie wiem.

Franz wszedł za kobietą do dużego jasnego pokoju, którego okna wychodziły na Hermannshöferweg. Kobieta wskazała mu miejsce na obitej zielonym pluszem kanapce, ustawionej między dwoma wysokimi oknami, on jednak usiadł na krześle, stojącym po przeciwnej stronie starannie

wywoskowanego stołu, tak by cały czas móc obserwować to, co działo się za misternie haftowanymi firanami.

– Zrobię panu herbaty, dobrze? – Kobieta wyjęła z komody o złotonych okuciach białe równie misternie wyhaftowane serwetki i położyła je na blacie stołu, zabierając jednocześnie mały wazonik w złote róże, w którym stał bukiet świeżych jasnofioletowych astrów. – Pamięta pan? – zapytała, podnosząc znacząco wazon i przyciskając do twarzy kwiaty. – To z tej rabaty, którą zrobiliśmy z państwem rok temu. Piękne, prawda? – Odstawiła wazon na komodę i zniknęła za drzwiami.

W oczekiwaniu na jej powrót Franz zerkał nerwowo na ulicę, miał też dość czasu, by rozejrzeć się wokół. Mieszkanie, a przynajmniej salon, w którym się znalazł, sprawiało wrażenie daleko bardziej zamożnego niż mieszkania Heleny i Jana w Gotenhafen. Stare meble, starannie utrzymane, nadawały mu stateczny wygląd, na ścianach wisiały obrazy i oprawione w ramki fotografie, na podłodze zaś leżał gruby ręcznie tkany dywan. Wszystko tu było na swoim miejscu, choć bibeloty poustawiane gęsto na etażerkach i w dwóch lekkich witrynach świadczyły raczej o pasji kolekcjonerskiej gospodyni niż o jej dobrym guście. Było to jednak bez wątpienia miejsce, w którym nie zbierano się wieczorami, by rozwiązywać trudne życiowe problemy, jak te, które miał wrażenie, nie opuszczały mieszkańców Gotenhafen, przynajmniej tych, których zdążył już poznać. Czuło się tu raczej spokojny dostatek mieszczańskiego domu, żyjącego własnym rytmem, z dala od tego, co działo się na świecie.

– Już jestem, panie Thiedtke. – Po kilku minutach sąsiadka ukazała się w drzwiach, niosąc przed sobą tacę, na której stały filiżanki i dzbanek, wszystko malowane w złote róże i fioletowe astry, takie jak te w wazonie, który zabrała ze stołu. – Proszę, niech się pan napije herbaty. Kawy niestety nie mam – mówiła, rozkładając wszystko na haftowanych serwetkach. –

Tak, takie to czasy nam nastały, prawda? Kłopoty, kłopoty... Z panem to mogę mówić szczerze, prawda? – Odstawiła tacę i usiadła przy stole na obitej pluszem kanapie między oknami wychodzącymi na Hermannshöferweg. – Pamięta pan ten serwis? – Wskazała na filiżanki, do których naląła parującą herbatę o jasnym kolorze. – Mój Willy przywiózł mi go w trzydziestym siódmym, kiedy studiował w München. – Zamilkła na chwilę. – A teraz, widzi pan. Naszą aptekę ja muszę prowadzić, chociaż nie mam takiego wykształcenia jak Willy. A on... Nawet nie wiem, gdzie jest. Od stycznia nie miałam o nim żadnych informacji. Wie pan, myślę, że trafił do niewoli do tych przeklętych Anglików. Nigdzie nie mogę się doprosić o jakieś informacje. Jak chłopcy byli bohaterami, to oglądałam ich w kronice filmowej. A jak im nie wyszło w tym Egipcie, to jakby słuch o nich zaginął. Bo gdyby zginął, to chyba bym jednak wiedziała... – Kobieta zamilkła, a Franz pomyślał, że prowincjonalny spokój salonu u stóp Königshöhe w Langfuhr był tylko złudzeniem. – No ale trzeba żyć dalej, prawda? I mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Bo bez nadziei człowiek sobie nie poradzi. Tak zawsze mówiła pana żona, prawda?

– Właśnie. – Komisarz odstawił filiżankę i zapytał: – Czy wie pani, kiedy moja żona wróci? Pukałem, ale nikogo nie ma.

– Pana żona? – Sąsiadka zamilkła, otwierając szerzej oczy. Milczała tak chwilę, po czym powiedziała cicho: – Panie Thiedtke, pana żona nie żyje.

Franz zbladł. W jego uszach pojawił się narastający szybko świst, świat wokół przykryła na krótką chwilę mgła, a żołądek znowu boleśnie się skurczył. Zamknął oczy. Oddychał głęboko. Dłonie zacisnął na oparciu krzesła, wbijając palce w pluszowe obicie.

– Panie Thiedtke, źle się pan czuje? – Kobieta wstała z kanapy i zamaszystym ruchem odsuwając haftowaną firanę, otworzyła szybko

okno. Do pokoju wpadło chłodne powietrze, które przywróciło mu ostrość widzenia i przytomność umysłu.

– Jak to nie żyje, pani...?

– Inga, panie Thiedtke, Inga Schulze. – Kobieta pochyliła się nad komisarzem, z niepokojem spoglądając na jego twarz. – Może wezwać lekarza?

– Nie, nie. To niepotrzebne – ostro zaprotestował. – Już mi lepiej. – By to udowodnić, sięgnął po złoconą filiżankę i upił duży łyk chłodnej już herbaty.

Pani Schulze odetchnęła. Przymknęła okno, zasłoniła starannie firanę i usiadła na swoim miejscu.

– Przepraszam, pani Schulze – odezwał się Franz. – Ostatnio niedomagam. Mam kłopoty ze zdrowiem, z pamięcią. Sama pani widzi. – Uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

– Tak, ta wojna może człowieka przyprawić o niejedną chorobę... Nie wiem, jakie ma pan kłopoty, ale byli tu kilka razy, szukali pana, wypytywali. I cały czas się kręcą. Tak, wie pan, bez mundurów, ale ja od razu poznam się na ludziach. Węszą jak psy.

– Pani Schulze, a może mi pani powiedzieć, co się stało z moją żoną? Co się stało z Waltraud?

– Oczywiście, panie Thiedtke. To była taka porządna kobieta. – Inga Schulze wstała, podeszła do komody ze złotymi okuciami i z najniższej szuflady wyjęła duży album ze zdjęciami. Położyła go przed komisarzem i przerzuciwszy szybko kilka stron ze sztywnego kartonu, na których umieszczono starannie ułożone i opisane fotografie, zatrzymała się na tej, gdzie było tylko jedno zdjęcie. Zrobiono je w ogrodzie przed budynkiem przy Hermannshöferweg. Franz rozpoznał drewniane werandy ciągnące się od parteru po piętro. Na zdjęciu były tylko trzy osoby, które uśmiechając

się, patrzyły prosto w obiektyw aparatu. Inga Schulze miała na głowie turban i łokciem podpierała w powietrzu rękę, w której trzymała tlącego się papierosa, a Franz Thiedtke ubrany był w ten sam garnitur, w którym ocknął się tamtego poranka w Adlershorst. Obok niego zaś stała niewysoka drobna kobieta o dystygowanej postawie, zastygła w pozycji, która sugerowała, iż właśnie tłumaczy coś nieobecnemu na zdjęciu autorowi fotografii. Zdjęcie zrobione było latem, podpis głosił: „1 września 1943, Hermannshöferweg”.

– To była bardzo miła uroczystość, kameralna, ale w dzisiejszych czasach nikt przecież nie urządza hucznych zabaw. – Pani Schulze pozostawiła przed Franzem otwarty album i usiadła na kanapie naprzeciw niego.

– Uroczystość? Jaka to była uroczystość? Przepraszam panią, ale mówiłem, że ostatnio pamięć mnie zawodzi.

– No tak, zapewne. Miał pan tyle nieprzyjemnych przeżyć. Może jeszcze herbaty? – Nie czekając na odpowiedź, dołała mu herbaty do filiżanki w złote róże i fioletowe astry. – Niech pan nie żałuje sobie sacharyny, dobrze panu zrobi słodka herbata. – Podsunęła mu kryształową cukiernicę ze srebrnym wieczkiem. – Nie pamięta pan? Przecież to była rocznica pana przejścia na emeryturę. Pamiętam, jak się państwo tu sprowadzili. To nie był dobry czas... Tak, chociaż Danzig wrócił wtedy do Rzeszy, sam Führer do nas przyjechał... Ale ja, wie pan, nie byłam zadowolona z tego, co zrobili z Polakami. – Inga Schulze pokręciła z przekonaniem głową. – Miałam bardzo dobrą służącą, Polkę. Musiałam poszukać nowej, bo ją gdzieś zabrali, sama nie wiem gdzie. Zabrali, a ja musiałam szukać nowej. Ale to wtedy się państwo do nas sprowadzili. Bardzo mnie ucieszyło, że będziemy mieć takich miłych sąsiadów, bo ci poprzedni to samo zmartwienie. Wie pan, aktorzy! No ale państwo się



sprowadzili, spokojni, kulturalni. Panią Waltraud to ja polubiłam od pierwszego spotkania. Pana oczywiście też, panie Thiedtke!

Franz wpatrywał się w twarz kobiety na zdjęciu. Oczy, intensywnie spoglądające w obiektyw, ciemne, ale młodzieńczo wesołe, choć twarz nie była pozbawiona zmarszczek. Jednak zamiast dodawać lat, przysparzały jej uroku. Tak, tak właśnie pomyślał, przyglądając się jej twarzy. Zdecydowanie nie była to twarz kobiety, która odwiedziła go w areszcie w Gotenhafen.

– Taka była elegancka i szykowna ta pana żona, panie Thiedtke. Jak wchodziła do mojej apteki, zawsze czuło się wobec niej respekt. Choć oczywiście, była bardzo uprzejma. I takie nieszczęście ją spotkało, takie nieszczęście. – Pani Schulze upiła łyk ze swojej filiżanki.

– Ma pani na myśli jej odejście?

– Oczywiście, panie Thiedtke. Oczywiście. Jeszcze była w mojej aptece, a dziesięć minut później leżała już bez życia na bruku. Kto by się spodziewał, że te jej codzienne spacerunki do Parku Uphagena tak tragicznie się skończą. Tak, proszę pana. Nigdy nie wiemy, kiedy pisane jest nam ostatnie tchnienie na tym świecie. Mam tylko nadzieję, że jeszcze nie nadszedł czas na mojego Willy’ego. Taki młody, mój Boże. – Pani Schulze znowu przełknęła łyk herbaty. – Naprawdę bardzo mi przykro z powodu pana żony, panie komisarzu. Myślałam, że pan wie, że może dlatego nie wraca pan do domu. Ja mówiłam tym panom, co tu byli, że jeśli ma pan kłopoty, to na pewno dlatego, że pan to przeżył.

– Pani Schulze, a kiedy to było?

– Co takiego, panie Thiedtke?

– No, kiedy moja żona zginęła?

– Mój Boże, to pan nie wie? – Inga Schulze zakryła dłonią usta. – Taka tragedia! Taka tragedia! Tak myślałam, że pan może nie wiedzieć, bo

przecież nie było pana na pogrzebie. No ale pogrzeb był tak szybko, dwa dni po wypadku. Pomyślałam, że może pan nie mógł wrócić do miasta. Bo przecież, jakby pan wiedział i mógł być na pogrzebie, to na pewno by pan był. Albo może pan nie przyjechał przez tych, co pana szukają. Z pan to taki dobry mąż był. Mój Boże, taka tragedia!

– Pani Schulze, ale kiedy był ten wypadek?

– No przecież dzień po tym, jak pan pojechał do Gotenhafen. Jeszcze pana nie szukali. Ale to i dobrze, bo się pani Waltraud już nie dowiedziała, że pan takie kłopoty ma, panie Thiedtke. Wyszła z domu, zajrzała do mojej apteki, porozmawialiśmy chwilę, jak zawsze. A dziesięć minut później już jej nie było. Biedna pani Waltraud! A pogrzeb piękny był, cichy, ale dostojny, jak pana żona.

Franz przyglądał się kobiecie na fotografii i czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach.

## ROZDZIAŁ

# 21

Johanna Gruber zgłosiła się do pracy w gdańskim gestapo niedługo po otwarciu oficjalnej placówki przy Neugarten 27. Nie zrobiła tego z powodów ideologicznych, choć wiedziała, że jej głównym zadaniem w roli konfidentki będzie donoszenie na ocalałych z wrześniowych wydarzeń Polaków. Polaków nie znosiła, choć sama w połowie była Polką. Jej ojciec, Franciszek Piela, był Polakiem, ją samą zaś wychowała właściwie babka Antonina, która po śmierci pierwszego męża, Edwarda Pieli, wyszła za mąż po raz drugi, za Kaszuba, który pracował w emalierni w Langfuhr. Kaszub ten nosił nazwisko Necel i za nic nie chciał zmienić jego pisowni na Netzel, jak mu to wielokrotnie sugerowano. Po ślubie z Antoniną wraz ze świeżo poślubioną małżonką przeniósł się do Hohenstein i tam właśnie wysłano Johannę, gdy w małżeństwie jej rodziców zaczęły się kłopoty, których jak uznano w czasie rodzinnej narady, dziecko nie powinno było oglądać. Dopiero po latach Johanna dowiedziała się od matki, że jej ojciec był zwykłym ladaco, uroczym, lecz nieuleczalnym kobieciarzem, co doprowadzało ją do spazmów, hysterii i fałszywej zazdrości, gdy tracąc swój niemiecki chłód, rozbijała mu na głowie to, co akurat było pod ręką. Dlatego właśnie babka Neclowa wyrażała się o niej w sposób niechętny, choć powściągliwy. Ją też Johanna

znienawidziła po latach, bo babka Neclowa doskonale wiedziała, że życie z jej synem Franciszkiem doprowadziło matkę Johanny na granicę załamania nerwowego, jednak nigdy nie pozwoliła powiedzieć na niego złego słowa.

Kiedy wybuchła Wielka Wojna, Franciszka siłą wcielono do wojska, by w okopach walczył o dobre imię cesarza Wilhelma. Na dźwięk imienia cesarza babka Neclowa spluwała co prawda z pogardą, jednak nie mogła sprzeciwić się decyzji, by Franciszek w pruskim mundurze odjechał na front z peronu na dworcu w Danzig. Do domu Franciszek już nie powrócił, co matka Johanny przyjęła właściwie z ulgą, natychmiast zabierając córkę z Hohenstein.

Dziadków Johanna już więcej nie zobaczyła. Początkowo miała to matce za złe. Kiedy jednak dowiedziała się później prawdy o ojcu i o tym, dlaczego tak naprawdę umieszczono ją w domu Neclów w Hohenstein, przestała wyrzucać rodzicielce zerwanie kontaktu z rodziną ojca, sobie zaś poprzysięgła, że nigdy nie pozwoli, by jakikolwiek mężczyzna traktował ją tak, jak Franciszek traktował Brigitte. Dlatego też nie miała wyrzutów sumienia, gdy sama, wydawszy się za mąż za Gustava Grubera, miewała częste romanse z innymi mężczyznami.

Gustav Gruber był przedsiębiorcą pogrzebowym, ale Johanna uznała, że codzienne obcowanie z nieboszczykami jest niczym wobec pieniędzy, które posiadał. Gustav miał zakład pogrzebowy przy Mirchauerweg, niedaleko Zentrall Friedhof w Langfuhr; tablica z nazwą jego firmy, wisząca nad wejściem, widoczna była z daleka i wielu żałobników, gdy wybiła godzina na ich bliskich, kierowało swe kroki właśnie do niego. Mimo codziennego obcowania ze śmiercią Gustav był jowialnym mężczyzną, który w chwili ślubu z Johanną dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Jego wybranka była od niego młodsza o połowę. Gustav nie czekał długo, by się oświadczyć – gdy

tylko zorientował się, że zostanie przyjęty, zamówił kwiaty u swego najlepszego dostawcy i rzucił się Johannie do nóg, prosząc o rękę.

Od lat żył samotnie, więc Johanna znalazła się w domu zarządzanym sprawnie przez Frau Gottlieb. Oprócz uprzykrzania życia Frau Gottlieb, która znienawidziła ją od pierwszej chwili, gdy się spotkały, bo sama miała kiedyś nadzieję na zajęcie miejsca u boku Gustava, Johanna nie miała w domu wiele do roboty. Gustav nie oczekiwał też, by szybko dała mu potomka, miał już bowiem następcę, syna, którego przysposabiał do przejęcia zakładu przy Mirchauerweg. Jörg był niewiele młodszy od Johanny i nawet miała z nim mały romans, zanim wyjechał na front na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego. Gustav wiedział o jej pozamałżeńskich przygodach, jednak poślubił ją raczej, by potwierdzić u innych swoją wartość, niż zaprzętać sobie głowę zazdrością. Choć małżonkowie nigdy nie wypowiedzieli tego na głos, doskonale rozumieli, że ona oddała mu swą młodość i urodę, by on w zamian oddał jej pozycję i majątek. Wdzięczna za zaakceptowanie tego układu, Johanna dbała, by jej romanse nie były głośne i nie naraziły na szwank reputacji małżonka. Poza tym nie wybierała kochanków przypadkowo, więc jej kontakty pomagały i jemu, a ona zawsze była wobec niego lojalna.

Ten zaaprobowany przez obie strony układ zaczął się sprawdzać zwłaszcza wtedy, gdy Gustav wstąpił do lokalnej komórki NSDAP, a Johanna zaczęła mu towarzyszyć na wszystkich towarzyskich imprezach związanych z jego działalnością w organizacji. Coraz wyżsi dygnitarze partyjni, których wówczas spotykali, nie mogli oprzeć się urokowi żony przedsiębiorcy pogrzebowego, uwielbienie zaś, jakie po takich krótkich romansach dla niej żywili, spłacali drobnymi przysługami, o które, choć zawsze z zażenowaniem i lekko się czerwieniąc, Johanna często prosiła. To dzięki niej Gustav w ciągu trzech kolejnych lat niemal podwoił swój

majątek, mieszkanie przy Mirchauerweg zamieniając na cały parter willi przy Hermannshöferweg, gdzie po poprzednich właścicielach zostały nie tylko porcelanowe zastawy i srebrne sztucce, ale też kolekcja gdańskich mebli, ciężkie barokowe szafy z dębowego drewna, dziewiętnastowieczne mahoniowe stoły i palisandrowe serwantki, które przed wojną przedsiębiorca pogrzebowy widywał w antykwariacie przy Jopengasse.

– Prezent na Weinachten – powiedziała Johanna pewnego grudniowego popołudnia w trzydziestym dziewiątym, kładąc przed Gustavem klucze do mieszkania przy Hermannshöferweg. – No, mój kochany staruszk, razem nie zginiemy, prawda? – Usiadła mu na kolanach, końcem pantofla odsuwając biurko w jego gabinecie w zakładzie pogrzebowym przy Mirchauerweg.

Fundatorem prezentu był Gigi. Tak mówiła o nim Johanna, nigdy nie wyjawiając, kim był naprawdę. Gustav nie dopytywał. Wiedział tylko, że Johanna spotykała się z nim blisko rok, co zaczęło go już bardzo martwić, bo nikt tak długo nie zajmował jej uwagi, i starszy mężczyzna poczuł to, czego czuć już nie chciał. Potem jednak szczęśliwie Gigi wyjechał na front, a Gustav, leżąc na obitym jedwabiem szeszlunku na werandzie przy Hermannshöferweg, mógł odetchnąć z ulgą. Joanna także nie tęskniła zbyt długo za kochankiem, co Gustava bardzo ucieszyło, zastanawiał się bowiem, czy jego żona mogła coś do Gigiego rzeczywiście poczuć. Ona jednak była już zajęta zwracaniem na siebie uwagi mężczyzny, który od dawna zaprzętał jej myśli, pojawiając się na partyjnych bankietach samotnie lub w towarzystwie – jak się skrupulatnie dowiadywała – przypadkowych kobiet.

Obersturmbannführer Heinrich Auerbach był nie tylko wysokim funkcjonariuszem miejscowego gestapo, był też bardzo przystojny, a galowy mundur, w którym zazwyczaj go widywała, dodawał mu surowej

– a taką Johanna lubiła najbardziej – atrakcyjności. Kiedy dowiedziała się, jeszcze od Gigiego, że Auerbach zajmuje się siatką szpiegów mających rozpracować wszelkie przejawy polskiej działalności w Danzig, zgłosiła się do niego, przybierając najbardziej znużoną minę, jaką posiadała w swym od lat ćwiczonym arsenale; ubrała się przy tym w najlepiej eksponującą zalety jej figury garsonkę ze swojej garderoby. Obersturmbannführer był szarmancki, zadowolony, może nieco zaskoczony, jednak pozostał niewzruszony wobec uroku Johanny. Nie wyznaczył jej też żadnych specjalnych zadań, więc jej działalność ograniczała się raczej do drobnych donosów. Składała je bardziej z nudów niż z poczucia rzeczywistego zagrożenia, nie zastanawiała się przy tym nad losem oskarżanych przez nią ludzi. Donosy zresztą nie zawsze były zgodne z prawdą, częściej raczej, by przypomnieć o sobie Heinrichowi Auerbachowi. Dlatego tym większe było jej zdziwienie, a wkrótce ekscytacja, gdy pewnego popołudnia odebrała telefon, a w słuchawce usłyszała głos Obersturmbannführera, który uprzejmie, ale stanowczo zapraszał ją na drugie piętro budynku przy Neugarten 27, gdzie mieścił się jego gabinet. Pojechała natychmiast.

– Pani Gruber... – Heinrich Auerbach wyglądał na zmęczonego, Johanna natychmiast zauważyła opuchliznę pod oczami i ślad po zacięciu się przy goleniu. – Mam dla pani odpowiedzialne zadanie. Wiem, że jest pani oddaną Führerowi Niemką, choć płynie w pani także krew polska – powiedział z naciskiem, patrząc kobiecie prosto w oczy.

– Mówiłam już, że to zupełnie nieistotne. Czuję się prawdziwą Niemką, Obersturmbannführer – pospieszyła z wyjaśnieniem, ale Auerbach uciszył ją niecierpliwym gestem dłoni.

– Powiedziałem przecież, że wiem, że jest pani oddaną Führerowi Niemką – powtórzył. – Dlatego właśnie zlecam pani odpowiedzialne zadanie. Jeśli mi pani pomoże, nie będę szczędził nagród. – Zawiesił na

chwilę głos, nadal patrząc wprost na Johannę. – Pani mieszka przy Hermannshöferweg w Langfuhr, prawda?

Skinęła głową twierdząco.

– W budynku naprzeciwko mieszka emerytowany komisarz policji kryminalnej w Danzig. Może go pani zna? Nazywa się Franz Thiedtke.

Wyjął z szuflady biurka zdjęcie starszego mężczyzny i położył je przed Johanną. Sięgnęła po nie i chwilę wpatrywała się w twarz na fotografii.

– Obersturmbannführer, nie jestem pewna, ale chyba tak, widywałam go – powiedziała w końcu.

– To jego żona, Waltraud Thiedtke. – Auerbach położył przed nią kolejne zdjęcie, tym razem dystygowanej starszej kobiety w letnim słomkowym kapeluszu.

– Tak, to ta biedaczka, która kilka dni temu zginęła pod kołami samochodu koło parku Uphagena. – Tym razem Johanna nie musiała się zastanawiać. Znała Waltraud Thiedtke, często widywała ją, gdy ta pracowała w ogrodzie po drugiej stronie ulicy. Johanna obserwowała jej wolne, ale systematyczne ruchy, siedząc na swojej werandzie, i zastanawiała się, jak można tyle czasu, którego sąsiadce nie pozostało przecież wiele, poświęcać trawie i krzakom.

– No właśnie. Widzę, że wie pani, o kogo chodzi. – Auerbach szybkim ruchem ręki zgarnął obydwie zdjęcia i schował je z powrotem do szuflady. – Otóż Franz Thiedtke jest podejrzany o morderstwo – powiedział. – Zbiegł, a my mamy wszelkie podstawy przypuszczać, że będzie próbował dostać się do swojego mieszkania.

Podniósł leżącą przed nim na biurku srebrną papierośnicę, otworzył ją i podsunął Johannie, która bez słowa sięgnęła po papierosa. Podał jej ogień, sam także zapalił i w pokoju szybko zrobiło się szaro od dymu.



– Jest pani na miejscu. Nie mam do tego zadania lepszego człowieka niż pani. Dlatego chcę, żeby obserwowała pani mieszkanie Franza Thiedtkego. Jeśli pojawi się albo coś zwróci pani uwagę, ktoś nieznajomy kręcący się wokół tego domu, nowa sprzątaczką, dostawca, słowem ktoś, kogo wcześniej tam nie było, proszę natychmiast dać mi znać.

Johanna miała zawsze przy sobie bezpośredni numer do Obersturmbannführera, zapisany jego równym, starannym pismem na kartce papieru, którą wyrwał ze swojego notesu. Nosiła ją w portmonetce z wyszytym złotą nicią monogramem, by móc w każdej chwili po nią sięgnąć. Teraz szybko odnalazła portmonetkę we wnętrzu torebki i trzymając w jednej dłoni kartkę z numerem, drugą wykręcała go na ebonitowej tarczy telefonu zawieszzonego w sieni najbliższej gospody, jaką udało jej się znaleźć, gdy skręciła w ulicę Am Johannisberg, idąc w stronę rynku w Langfuhr.

– Obersturmbannführer Heinrich Auerbach. Słucham? – Usłyszała w słuchawce męski głos.

– Mówi Johanna. Johanna Gruber z Langfuhr. – Oczekała chwilę, by mieć pewność, że Auerbach wie, o kogo chodzi. – Niedaleko mieszkania, o którym rozmawialiśmy, stoi samochód z numerami z Gotenhafen. W środku siedzą kobieta i mężczyzna. – Mówiła cicho, rozglądając się w obawie, czy nikt nie słyszy. – Nigdy ich tutaj nie widziałam. Samochód stoi po przeciwnej stronie domu przy Hermannshöferweg. Wygląda tak, jakby ci ludzie na kogoś czekali. Nie wiem, czy to ważne, ale mówił pan, żeby zwracać uwagę na wszystko...

– Tak, bardzo dobrze, że pani do mnie dzwoni. Dawno widziała pani ten samochód?

– Kilka minut temu.

– Zapisała pani numer?

Johanna nie zapisała, ale udało jej się przypomnieć sobie rejestrację z Gotenhafen.

– Dobrze. Teraz niech pani wraca do domu. – Usłyszała trzaśnięcie słuchawki po drugiej stronie.

Poprawiła etolę z norek. Dłonią sprawdziła, czy wszystkie guziki kanarkowego zakietu są zapięte, i wsuwając ją w długą rękawiczkę, wyszła na ulicę. Miała nadzieję, że nagrodą za dobrze wykonane zadanie będzie sam Obersturmbannführer Heinrich Auerbach. Była zadowolona.

## ROZDZIAŁ

# 22

– To są pana klucze, panie Thiedtke. – Inga Schulze usiadła za stołem i położyła przed Franzem pęk kluczy. – Te, które dał mi pan kiedyś na wszelki wypadek, jakby trzeba było kwiaty podlać. Pamięta pan? – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Komisarz Thiedtke skinął tylko głową i nie patrząc na panią Schulze, schował klucze do kieszeni.

– Ja nie wiem, co pan chce zrobić. Wierzę, że jest pan niewinny... o cokolwiek pana oskarżają. Przecież pan to najuczciwszy człowiek pod słońcem. Ale lepiej niech pan tu nie zostaje. Skoro pana szukają, to lepiej niech pan gdzieś wyjedzie. Ja nie powiem, że pan tu był. Tak jak nie powiedziałam, że mam te pana klucze. Myślałam, że wtedy zostawią w spokoju pana mieszkanie. Ale wie pan, oni otworzyli drzwi wytrychem. Więc niech pan się nie przerazi bałaganu. Nie bardzo mogłam go posprzątać, bo by się wtedy zorientowali, że u pana byłam. Albo pomyśleliby, że pan był. Rozumie pan... Jak te drzwi wytrychem otworzyli, to chyba dwie godziny tam u pana siedzieli. Jak później poszłam, to... ach, co tam zrobili, pani Thiedtke. Sam pan zobaczy. – Inga Schulze machnęła ręką. – Sprawdziłam tylko, czy nic nie zginęło. Bo to tyle pamiątek po pani Waltraud zostało... Ale chyba nie. Nawet ta chińska figurka, co ją pani

Waltraud tak lubiła, stoi na swoim miejscu. Widać szukali czegoś, co mogłoby panu zaszkodzić. Ale przecież nic takiego nie mogli znaleźć. Prawda, panie Thiedtke?

Komisarz wstał, pożegnał panią Schulze, która nie przestała trajkotać, zanim nie zatrzasnęły się za nim drzwi na korytarz, i podszedł do drzwi swego mieszkania. Gdy wsuwał klucze w kolejne zamki, czuł, jak drżą mu ręce. W końcu nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Na korytarzu leżały rozrzucone w nieładzie papiery, otwarte książki, kilka par przewróconych męskich i damskich butów. Pierwsze drzwi z holu prowadziły do dużej kuchni, której okno, przysłonięte do połowy gęstą firaną, wychodziło na tyły budynku. Żeliwne garnki, miedziane patelnie, drewniane łyżki, wszystko to leżało rozrzucone na dużym stole stojącym na środku i w otwartych szafkach kuchennych kredensów. Wszedł do środka. Pod jego butem zachrząścił zgniatany fajansowy talerzyk, którego nie zauważył. Rozejrzał się wokół bezradnie. Nad dużym żeliwnym zlewem wisiała ręcznie haftowana makatka. „Mein Zuhause ist mein Reich” – głosił napis zrobiony starannie czerwonym kordonkiem. Dotknął go palcami, jakby ten dotyk mógł przywrócić mu pamięć o dotyku rąk Waltraud, która zapewne była jego autorką. Poczł uścisk w gardle. Tyle życia mieli z Waltraud za sobą, tymczasem teraz ktoś to najwyraźniej postanowił zniszczyć – pomyślał, zaciskając pięści.

Wycofał się z kuchni i wszedł do leżącego po przeciwnej stronie holu salonu. Ktoś oberwał kotarę z zielonego aksamitu, zwisała teraz smętnie na tle okna wychodzącego na Hermannshöferweg. Salon był duży, nieco zagracony. Z szuflad komody wyrzucono na jesionowy parkiet stosy obrusów i serwet. Szklane drzwi serwantki wypełnionej porcelanowymi filiżankami, talerzykami ozdobionymi delikatnymi niczym hafty

ornamentami, sosjerkami, wazami i dzbankami do kawy, herbaty i mleka były otwarte, ale zawartość oszczędzono.

Na najwyższej półce zauważył niedużą figurkę kobiety. Bajecznie kolorowa i misternie wykonana, w jednej dłoni trzymała drobną czerwoną różę, w drugiej dwie porcelanowe rybki, u jej stóp wyrastała nawet kępa zielonej trawy. Podeszedł do serwantki i zdjął z półki figurkę. Chwilę obracał ją delikatnie w palcach, zastanawiając się, czy to właśnie ten porcelanowy drobiazg tak cieszył oko Waltraud. W końcu schował ją do kieszeni płaszcza.

Odwrócił się, by wrócić do holu, ale zatrzymał go cichy szelest cienkiego papieru wyrwanego z albumu z fotografiami, na który nieświadomie stanął. Rozejrzał się po podłodze i dostrzegł oprawiony w skórę, leżący pod stolikiem do kawy, otwarty album. Podeszedł do niego i schyliwszy się, sięgnął po zbiór fotografii. Nie oglądał ich, wcisnął tylko ciężki album pod pachę i wyszedł z powrotem do holu.

Zajrzał jeszcze szybko do kolejnych pomieszczeń, w których panował taki sam nieład i w których nie odnalazł nic, co mogło mu w jakimkolwiek stopniu pomóc, uniósł więc kołnierz płaszcza, sprawdził, czy chińska figurka tkwi bezpiecznie w jego kieszeni, po czym obrzuciwszy wzrokiem po raz ostatni hol mieszkania, które należało do Franza i Waltraud Thiedtke, wyszedł. Zamknął szybko na klucz jeden z zamków i wybiegł na ulicę.

Minął kobietę w kanarkowym kostiumie, zbyt krzykliwym na tę porę roku, i dotarł do fiata 508, w którym czekali na niego Jan i Helena. Jan ruszył, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Spotkałeś swoją żonę? – zapytała Helena.

Pokręcił przecząco głową.

– Moja żona nie żyje.

– Nikt pana nie widział? – Jan jechał zdecydowanie. Chciał jak najszybciej oddalić się od Hermannshöferweg.

– Rozmawiałem z sąsiadką. – Franz sięgnął po chińską figurkę i obracał ją w palcach, jakby kobieta z porcelanowym połowem mogła odpowiedzieć na dręczące go pytania. – I widziałem jeszcze jakąś kobietę... W takim jaskrawym stroju.

– Ta sąsiadka... Powiedział jej pan coś? – dopytywał Jan, zerkając w boczne lusterko.

– Nie, ona raczej wolała mówić, niż słuchać.

Franz nie był teraz pewien, czy Joseph Krupke rzeczywiście nie miał racji, naciskając, by nie jechał do Langfuhr. Naraził tylko bezpieczeństwo Heleny i Jana, a wizyta w mieszkaniu, które kiedyś było jego domem, nie dała mu żadnej odpowiedzi, mnożąc tylko następne pytania. Wyglądało na to, że Franz Thiedtke, ten emerytowany komisarz policji kryminalnej w Danzig, którego twarz widział w każdym odbiciu w lustrze, choć nie potrafił odtworzyć historii w niej ukrytej, był spokojnym, uprzejmym człowiekiem, który spędzał schyłek swego życia w przestronnym mieszkaniu na uboczu miasta, sadząc w ogrodzie astry i pozując do zdjęć z elegancką kobietą, której nie pamiętał, a która była towarzyszką całego jego życia.

Dręczyło go pytanie, czy Krupke wiedział, że Waltraud nie żyje. Czy dlatego przysłał do niego jakąś obcą kobietę? Czy może dlatego tak agresywnie reagował na prośby o adres w Langfuhr? Czy uczestniczył w tej mistyfikacji, czy był tylko przypadkowo wplątany w jej tryby nieświadomym elementem? A czy on, Franz Thiedtke, był głównym bohaterem tej historii, czy także znalazł się w niej przez przypadek? Może ten komisarz policji, nudny, choć poczciwy emeryt, miał swoje tajemnice, które wplątały go w te kłopoty?

Obracał w palcach porcelanową figurkę i zastanawiał się, kto tak naprawdę jest jego sprzymierzeńcem, a na kogo powinien uważać. Kto znalazł się na jego drodze przez przypadek, a kto pojawił się nie bez powodu?

– Jak to nie żyje? – zapytała Helena, przyglądając się miniaturowej Chince.

– Miała wypadek. Wpadła pod samochód dzień po moim wyjeździe do Gotenhafen.

Przez długą chwilę jechali w milczeniu. Komisarz spuścił głowę i nie odrywał wzroku od porcelanowej figurki, jakby chińska rybaczką mogła odpowiedzieć na wszystkie dręczące go pytania.

– Ale w swoim mieszkaniu byłeś? – Pierwsza ciszę przerwała Helena.

– Tak. Sąsiadka miała klucze – odparł i patrząc na siedzącą obok niego kobietę, pomyślał, że tamten Thiedtke z pewnością nie sądził, iż dane mu będzie jeszcze nowe życie. Pomyślał również, że nie pochwałałby faktu, iż „nowy” Franz nie odczuwa żałoby. – W mieszkaniu było gestapo. Powyrzucali wszystko z szaf, panuje tam kompletny bałagan. Zresztą ta sąsiadka wzięła za ich agenta także pana, panie Janie. Ona chyba przyjaźniła się z Franzem Thiedtkem... ze mną i z moją żoną. W każdym razie miała klucze, które jak twierdziła, dostała ode mnie. Żeby podlewać kwiaty. – Zamyślił się na chwilę. – Więc nie znalazłem się w Gotenhafen przez przypadek. Wyjechałem z Langfuhr, planując, że nie wrócę natychmiast. Pozostaje jednak pytanie, czy w planie miałem spotkanie z tym... tym Aloisem Richterem, czy nie. Czy go znałem, przyjaźniłem się z nim... w końcu znaleziono nas w jednym pokoju hotelowym po towarzyskim spotkaniu... czy ktoś to upozorował? W takim przypadku, oczywiście, muszę znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego? I po co? – Franz bezwiednie podrapał się w głowę. – W każdym razie dziękuję, że

pojechaliście tam ze mną. I panu, panie Janie, że dotarł pan do mojego adresu. To było bardzo ryzykowne. – Zrobił krótką pauzę. – Ale dowiedziałem się czegoś nowego... Poza tym znalazłem album ze zdjęciami. – Wskazał na zbiór fotografii oprawiony w skórę, z lekka przetartą na bokach, który spoczywał na jego kolanach. – Nie wiem, co tutaj znajdę, ale może pomoże mi to coś sobie przypomnieć. Bo niestety moje mieszkanie... Nadal mam w głowie pustkę.



## ROZDZIAŁ

# 23

Obersturmbannführer Heinrich Auerbach nie wysiadł ze służbowego mercedesa. Wciśnięty w tylną kanapę, bez słowa obserwował cichą Hermannshöferweg w Langfuhr. Jej spokój zakłócił na chwilę silnik diesla, gdy mercedes wjechał tam i zatrzymał się z piskiem opon przed kamienicą, w której mieszkał Franz Thiedtke. Bulgoczący warkot rozszedł się głośnym echem wśród kamienic z wieżyczkami, wyraźnie zarysowanym belkowaniem pruskiego muru i drewnianymi werandami, na których piętrzyły się doniczki z wypielęgowanymi roślinami. Uliczka była spokojna, sielska, zupełnie jakby świat zatrzymał się dalej, za jej progiem, tutaj nie docierając.

Jeśli byli tu jacyś mieszkańcy, obserwowali go z ukrycia, nie pokazując się w oknach swych mieszkań. Tylko w oknie kamienicy znajdującej się po drugiej stronie ulicy mignęła mu przez chwilę postać w jaskrawym ubraniu. Zauważył, że zbliżyła się do okna powoli, pewna, że stoi ukryta bezpiecznie za gęstą firaną, szybko się jednak cofnęła, gdy Auerbach odkręcił szybę i uniósł w geście pozdrowienia rękę, w której trzymał żarzącego się papierosa. Pomyślał, że musiała to być Johanna Gruber. Obersturmbannführer z jej akt wiedział, że kobieta mieszka po drugiej stronie ulicy, niemal dokładnie naprzeciwko mieszkania Franza Thiedtkego.

Dlatego wybrał ją, by obserwowała to, co działo się wokół. Wiedział też, że po wysłaniu na front wschodni Obersturmführera Gleiera, którego była kochanką, Johanna zainteresowała się nim, młodszym, ale bardziej wpływowym funkcjonariuszem gdańskiego gestapo. Łechtało to, co prawda, jego męską próżność, nie był jednak zainteresowany żoną przedsiębiorcy pogrzebowego, nie lubił bowiem i nie cenił kobiet, których nie musiał zdobywać. Dlatego postanowił wykorzystać jej zaangażowanie, nie planując jednak żadnych osobistych konsekwencji tej znajomości. A planowanie było jego ulubionym zajęciem i nigdy swoich planów nie zmieniał, czym zresztą lubił się chwalić nie tylko przed samym sobą.

– Obersturmbannführer, nikogo tam nie ma. – Ciszę Hermannshöferweg przerwały ciężkie kroki ubranego po cywilnemu agenta, który szybkim krokiem zbliżył się do mercedesa, otworzył tylne drzwiczki i zajrzał do środka.

– Są jakieś ślady, że rzeczywiście tu był? – Heinrich Auerbach palił wolno papierosa.

– Nic nie zginęło, wszystko wygląda tak, jak zostawiliśmy.

– Co z sąsiadką? Widziała go? Rozmawiała z nim?

– Mówi, że o niczym nie wie. Zabieramy ją?

– Zajmiemy się nią później. – Auerbach machnął lekceważąco ręką. – Teraz wracamy.

Chwilę później mercedes jechał szybko aleją, którą blisko dwa wieki wcześniej połączono Danzig i Langfuhr dzięki hojności burmistrza Gralatha, królewskiego łowczego na Mierzei Wiślanej, burgrabiego ożenionego z córką przyrodnika Kleina, zafascynowanego elektrycznością absolwenta uniwersytetów w Halle, Lejdzie i Marburgu, którego pomnik wystawiono przy alei, choć nigdy nie upamiętniono jej jego nazwiskiem. Jadący autem nie zwracali jednak uwagi ani na głaz, który Daniela Gralatha

niał mieszkańcom miasta przypominać, ani na ciągnące się wzdłuż alei cmentarze parafialne, oddzielające arterię od budynków Technische Hochschule, ani na działający jeszcze ogródek letni kawiarni Halbe Allee, ani na mamki, które spacerowały z wózkami po Parku Steffensa, rozciągającym się po wschodniej stronie ulicy. Choć z ust Obersturmbannführera Auerbacha nie padło żadne słowo, jego agent wiedział, że jest wściekły. Heinrich Auerbach bardzo nie lubił być nieskuteczny i rzadko podejmował działania, które nie przynosiły wymiernych efektów. Działania takie traktował jako osobistą porażkę, a słowo to świadomie wykreślił z własnego słownika, wpadał więc w szal, gdy pojawiała się w jego świecie mimo tego zakazu.

Minęli budynek przy Elizabethwall, gdzie za neorenesansową fasadą urzędował Albert Forster, i wjechali w Neugarten, które w czasach Wolnego Miasta było najbardziej reprezentacyjną ulicą w Danzig – stały przy niej gmachy Senatu i Volkstagu. Swoją siedzibę miał tu także Komisariat Generalny RP, ale gdy Polska przestała istnieć, gmach przy Neugarten 27 oddano gestapo. Nie było już też Wolnego Miasta, jednak większość jego mieszkańców, tych, którzy we wrześniu trzydziestego dziewiątego nie wylądowali w Stutthoff albo w Gross Piasnitz, była z tego zadowolona.

Kiedy mercedes zaparkował przed budynkiem, Heinrich Auerbach rzucił tylko krótkie: „Zaraz wracam!” i wysiadł z auta, zmierzając szybko do głównego wejścia. Minęło kilkanaście minut i siedział z powrotem na swym miejscu na tylnej kanapie mercedesa.

– Jedziemy do Rahmel. No już! Nie ociągaj się! – krzyknął w stronę kierowcy.

Rahmel było wsią położoną na północny zachód od Gotenhafen. Aby tam dotrzeć, nieoznakowany mercedes na gdańskich numerach musiał minąć Zoppot, Gotenhafen i przejechawszy Kielau, skierować się na

Neustadt. Auerbach nigdy w Rahmel nie był, w ogóle nie lubił Gotenhafen i okolic, wiedział tylko, że przed wojną działało tam polskie lotnisko, na którym raz omal nie wylądował, gdy leciał z Berlina do Danzig. Teraz czuł się rozdrażniony, że musiał opuścić Danzig i jechać do tej polskiej dziury, w której nie było nawet dobrych ulic – służbowy mercedes kołysał się na rozjeżdżonej piaszczystej drodze, przyprawiając go o mdłości.

W końcu kierowca zatrzymał auto przed budynkiem przy niewielkim placyku w centrum Rahmel. Drzwi pod rozłożoną markizą prowadziły do wnętrza sklepu kolonialnego, którego nazwa wymalowana była białą farbą na oknie wystawowym. Nad sklepem znajdowało się piętro, najwyraźniej zamieszkałe, bo w oknach falowały firanki. Z boku budynku przyklejona był parterowa dobudówka, którą także ktoś musiał zajmować. Za drewnianym płotem bawiła się kilkuletnia dziewczynka.

Tym razem Obersturmbannführer Auerbach wysiadł razem ze swoim agentem i kierowcą. Mężczyźni ci weszli do wnętrza sklepu pierwsi, Auerbach zatrzymał się jeszcze przy drewnianym płocie i uśmiechnął do bawiącej się dziewczynki, która znieruchomiała, przypatrując się nieznanemu.

– Pani Mirau? – Kiedy w końcu znalazł się we wnętrzu sklepu, podszedł od razu do postawnej kobiety, która stała za sklepową ladą.

– Tak. – Kobieta zeszywniała.

– Ma pani bardzo ładny sklep. – Auerbach rozejrzał się wokół i podszedł do dużej drewnianej beczki. Kiedy uniósł ciężką pokrywę, wokół rozszedł się ostry zapach kapusty kiszzonej z kminkiem. Skrzywił się i opuścił pokrywę z głośnym trzaskiem. – A gdzie samochód? – Podszedł znowu do kobiety, tym razem zbliżając twarz blisko jej twarzy, gładkiej i pulchnej.

– Jaki samochód? – Sklepiarka odruchowo odsunęła się od niego.

– Twój samochód, pani Mirecka. – Uderzenie było szybkie i mocne. Kobieta zatoczyła się, łapiąc otwartą dłoń za policzek. Spod palców pociekła krew. – Ten, którym wozisz tę swoją kapustę. – Mocny kopniak przewrócił beczkę. Spod pokrywy wysypała się kapusta. Po podłodze rozlał się rzadki sok.

– Nie wiem. Mój pracownik zabrał. Pojechał na wieś po warzywa. – Pani Mirau myślała teraz wyłącznie o córce bawiącej się w ogrodzie koło sklepu.

– Tak. Ciekawa ta wieś. Danzig. – Obersturmbannführer Auerbach roześmiał się i machnął ręką w stronę swoich ludzi. Mężczyźni wykrecili ręce pani Mirau i wprost z za sklepowej lady wypchnęli ją przed sklep, po czym wrzucili na tylne siedzenie mercedesa.

Auerbach rozejrzał się po pustym sklepie. Podniósł drewnianą pokrywkę ze szklanego słoja stojącego na ladzie i sięgnął do jego wnętrza, wybierając garść kolorowych cukierków. Wyszedł powoli na próg sklepu i spojrzał na dziewczynkę, która patrzyła na rozgrywającą się przed jej oczami scenę. Dziecko przyłgnęło do drewnianych desek ogrodzenia, a między nie wsunęło twarz. Podeszedł do dziewczynki i uśmiechnął się, gdy podniosła na niego wzrok, nie odrywając się od płotu. Dłonią w skórzanej rękawiczce pogłaskał ją po jasnych włosach, po czym bez słowa rzucił w jej stronę garść cukierków, które jak szkiełka w kolorowym kalejdoskopie rozsypały się na piaszczystej ścieżce prowadzącej do furtki. Odwrócił się i wsiadł do mercedesa, który natychmiast ruszył, pozostawiając za sobą chmurę wirującego przed sklepem piasku.

## ROZDZIAŁ

# 24

Gdy Jan dotarł do Rumii, było już zupełnie ciemno. Zaparkował przed sklepem, przeszedł przez ogród i zapukał do drzwi wejściowych. Odpowiedziała mu cisza, choć w środku musiał ktoś być, bo w oknach, niedokładnie zaciemnionych, widać było światło. Zapukał ponownie. Dopiero po kilku chwilach usłyszał dźwięk otwieranych zamków i w drzwiach ukazał się pan Mirau. Jan zwrócił uwagę na to, że był blady, a na polskie „dobry wieczór!” nie odpowiedział.

Jan wszedł do środka. Miał zamiar poprosić o nocleg, bo zrobiło się późno, ale wobec milczenia, które napotkał, powiedział tylko, kładąc klucze na małej konsoli stojącej w korytarzu:

– Oddaję. Dwie beczki kapusty są w samochodzie. Rozmawiałem też z gospodarzem z Chwarzna. Mogę od niego dostarczyć trochę mięsa poza przydziałem.

Pan Mirau bez słowa wskazał mu drzwi do saloniku, Jan skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Ciężkie uderzenie w twarz, na które nie był przygotowany, pozbawiło go na chwilę przytomności. Gdy ją odzyskał, leżał na podłodze, nad nim zaś stało dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn.

– Używałaś dziś fiata należącego do rodziny Mirau? – Jeden z nich pochylił się nad Janem. Gdy nie uzyskał odpowiedzi, zadał kolejny cios, tym razem uderzając w brzuch. Jan skulił się z jękiem.

– Tak, byłem po warzywa na wsi – wyjęczał, trzymając się za brzuch.

– A ta wieś nazywa się Langfuhr, co? – Drugi z mężczyzn kopnął go w plecy. – Ładna ta wieś, dużo warzyw tam mają... – Znowu kopniak.

– Byłem w Karthaus. Czego chcecie? W samochodzie jest kapusta. Możecie ją sobie zabrać.

Tym razem kopniaki posypały się na Jana z dwóch stron; kopiący nie zwracali uwagi na to, gdzie padają razy.

– Już my ci damy kapustę, Polaczku! Opowiesz nam ze szczegółami, jak się ją kisi po polsku! A my pokażemy ci, jak się to robi po niemiecku!

Pan Mirau stał poblady w kącie pokoju i milcząco przyglądał się całej scenie. Jan, wijący się po podłodze, spojrzał w jego stronę, jednak wiedział, że żadna pomoc nie była możliwa. Mężczyźni przestali w końcu, zdyszani, podnieśli Jana z podłogi i jeden z nich ujął go mocnym uściskiem pod ramię. Drugi podszedł do pana Miraua i popchnął go w stronę drzwi.

– Idziemy! – wrzasnął. – Ruszaj się!

Wyszli na ciche i puste podwórko. Agent, który ciągnął Jana, wrzucił go na tylne siedzenie samochodu. Chłopak zsunął się z kanapy i wpadając za fotel kierowcy, spazmatycznie zakaszłał. Pan Mirau, nie reagując na wykręcenie rąk i zakucie w kajdanki, pozwolił się bez oporu posadzić obok. Po krótkiej chwili ciszę przerwał warkot uruchamianego silnika – mercedes ruszył w stronę miasta, wzniesając tuman kurzu na niebrukowanym placu przed budynkiem.

Jan nie mógł ruszyć się z podłogi samochodu. Skuty kajdankami, zakleszczony między kanapą a fotel, czuł, jak krew, gęsta i mdła, spływa mu do gardła, wywołując ataki kaszlu, w czasie których brunatnoczerwone

skrzepy znaczyły podłogę mercedesa ciemnymi plamami. Wiedział, że nie jest dobrze, bo Niemcy w końcu dojdą do tego, gdzie mieszka, a kiedy trafią do jego klitki na Oksywiu, trafią też na Franza Thiedtkego, który teraz ukrywał się u niego. Był pewien, że powodem aresztowania był komisarz emeryt. Ktoś musiał donieść, że w Langfuhr widziano samochód z Rumii, choć tak bardzo uważał, by zachować ostrożność. Ktoś musiał spisać numery rejestracyjne wozu, skoro tak szybko trafili do właściciela. Sąsiadka Franza Thiedtkego raczej nie wchodziła w grę, Jan nie sądził, by komisarz podał jej numery wozu, których pewnie sam nie pamiętał. A może to ten komisarz z Gdyni, Joseph Krupke, z którym Franz Thiedtke spotkał się na Witominie, śledził ich i dzięki numerom wozu gestapo dotarło prawie do celu? Ale to także mało prawdopodobne, skoro wiedzieli, że samochód był w Langfuhr. Joseph Krupke mówił prawdę o tym, że mieszkanie przy Hermannshöferweg było pod ciągłą obserwacją, choć wydawało się, że okolica jest zupełnie czysta – zwykle, ciche przedmieście, do którego docierają zaledwie okruchy wojny, bezpieczna mieszczańska wyspa. Podobnie zresztą, jak cały Gdańsk, włączony do Rzeszy, po wrześniu trzydziestego dziewiątego przyglądający się wojnie tylko z daleka.

Mercedes jechał bardzo długo i Jan w pewnym momencie pomyślał, że musieli już minąć Gdynię. Kiedy przyjechał oddać furgon państwa Mirau, samochód był ukryty tak, że nic nie zwróciło jego uwagi. Kiedy ubrani po cywilnemu agenci ciągnęli go do swojego auta, nie był już w stanie dostrzec i zapamiętać jego numerów rejestracyjnych. Nie wiedział więc, skąd przyjechali, zaczął jednak nabierać podejrzeń, że nie byli z Gdyni, a przybyli do Rumii aż z Gdańska. Przez ciemność za oknem, które miał nad sobą, nie dostrzegał żadnych zarysów budynków czy choćby drobnych elementów, które pozwoliłyby mu domyślić się, czy są w mieście, czy wjechali w otaczające Gdynię lasy. Nie sądził jednak, by planowali gdzieś



poza miastem ich egzekucję, bo nie po to przecież zabierali dwóch mężczyzn z Rumii, skoro zlikwidować ich mogli na miejscu. Gestapo – a Jan był pewien, że oprawcy byli z gestapo – nie musiało przejmować się przecież niczym. Gestapo ustalało własne normy, niczym duchowy zakon wtajemniczonych, rozumiejących, że czynienie krwawej ofiary nie jest grzechem, a koniecznością potrzebną do wspierania wyższej sprawy, o której mówił Führer. Gestapo mogło robić, co chciało.

Skoro zatem agenci nie zabili ich od razu, zapewne potrzebne im były informacje, które teraz będą chcieli z nich wydobyć. Jan zauważył nagle, że w domu nie było pani Mirau, chociaż kobieta nigdy nie oddalała się od niego, prowadząc swój sklep kolonialny w pomieszczeniu przez ścianę sąsiadującym z ich salonem. Pomyślał z nadzieją, że może udało się jej uciec, może ostrzeże Helenę, może pomoc Franzowi Thiedtkemu nie okaże się końcem tak wielu osób, które wplątały się w wyjaśnienie jego sprawy... Sprawy, która najwyraźniej była bardziej skomplikowana, niż Jan do tej pory przypuszczał, sądząc, że ma do czynienia ze zwykłą sprawą kryminalną, że chodzi tylko o dowiedzenie niewinności starego gdańskiego gliniarza. Emerytowany komisarz musiał mieć na sumieniu więcej, niż Jan podejrzewał, niż on sam, Franz Thiedtke, sądził, bo Jan już uwierzył w jego amnezję.

W końcu mercedes zatrzymał się. Kierowca wyłączył silnik. Trzasnęły drzwiczki po obu stronach wozu i niemal jednocześnie otworzyły się tylne drzwi z obu stron auta. Jeden z agentów szybkim ruchem wyciągnął z wnętrza pana Miraua. Gdy otworzyły się drzwi z jego strony, Jan uderzył głową o próg samochodu. Mocny chwyt za ramiona i został wywleczony na ulicę. Upadł, waląc twarzą o bruk, ale niemal natychmiast mężczyzna, który prowadził mercedesa, podniósł go z ziemi i popchnął w kierunku budynku, przed którym się zatrzymali. Jan zdołał dostrzec, że znaleźli się na ulicy,

która otwierała się na panoramę pogrążonego w ciemności, ale wyraźnie zarysowanego na tle usypanego gwiazdami nieba Gdańska. Zamajaczyły strzeliste sylwetki gdańskich kościołów i przycupnięte u ich stóp kamienice ze spadzistymi dachami, których mieszkańcy spali teraz spokojnym snem, nawet nie zastanawiając się, co dzieje się w ich mieście pod osłoną nocy.

„Neugarten. Neugarten 27” – myślał, potykając się o własne zdrętwiałe, uginające się bezwładnie nogi, popychany przez mężczyznę, który cały czas trzymał go mocno za ramię.

– Ruszaj się, polski szczurze! – warknął agent, gdy Jan po raz kolejny zachwiał się, upadając niemal na chodnik.

Ciężkie dębowe drzwi zatrzęsnęły się z głośnym trzaskiem, a oni znaleźli się wewnątrz budynku należącego do gdańskiego gestapo.

## ROZDZIAŁ

# 25

Hałas dochodzący z ulicy przedostawał się do świadomości Franza powoli, jednak z każdym metrem, który przybliżał czarnego mercedesa i podążającą za nim ciężarówkę do kamienicy w Oxhöft, stawał się coraz bardziej realny, budząc komisarza ze snu. W końcu kazał mu podnieść się z łóżka i sprawdzić, co przerwało ciszę sobotniego poranka. Kiedy wyjrzał przez okno, ostrożnie kryjąc się za firanką, zobaczył wysypujących się z ciężarówki żołnierzy – ciasnym szpalerem z dwóch stron zamykali ulicę przed frontem kamienicy, w której się znajdował. Z mercedesa wysiadł mężczyzna w oficerskim mundurze, końcem buta zgniótł niedopałek papierosa rzucony na ziemię i spojrzał w okna nad sobą. Komisarz cofnął się szybko, przekonany, że mężczyzna zobaczył ruch w jego oknie, i nie zastanawiając się, włożył na gołe stopy buty, których nie zdążył zasznurować, na piżamę narzucił płaszcz, po czym wybiegł na korytarz.

Przekręcając klucz w zamku, myślał gorączkowo o drodze ucieczki, o miejscu, w którym mógłby się ukryć, bo tego, że szukają właśnie jego, był całkowicie pewien. Gdy zbiegał drewnianymi schodami, kurczowo trzymając się wytartej balustrady, która chwiała się i skrzypiała, jakby komisarz miał za chwilę runąć w dół razem z nią, na parterze rozległy się ciężkie kroki żołnierskich butów, krzyki i łomot pięści dobijających się do

uśpionych mieszkań. Otwierały się pierwsze drzwi i żołnierze wśród pokrzykiwań i płaczu dzieci wchodzili do środka. Zatrzymał się na pierwszym piętrze, otworzył okno i wyskoczył, pamiętając, że nad wyjściem na podwórko jest mały daszek. Przywarł do ściany i słuchał kroków żołnierzy, którzy rozbiegli się po kamienicy niczym stado karaluchów, napastliwie atakujących każdą napotkaną na swej drodze przeszkodę.

Krzyki rozlegały się teraz tuż nad jego głową. Nie wiedział, która jest godzina, bo nie zdążył spojrzeć na wiszący na ścianie w mieszkaniu Jana stary zegar z kukułką, był jednak przekonany, że jest dość wcześnie, by cała kamienica została zaskoczona we śnie, tak jak zaskoczony był on.

Przywarł do ściany budynku, trzymając się krawędzi chybotającego się pod jego ciężarem daszku, i wstrzymał oddech, by nasłuchiwać tego, co działo się wokół. Krzyki, które rozlegały się zewsząd, płacz dzieci, kroki ludzi zbiegających na parter z kolejnych pięter mieszały się z kogutem wytrwale piejącym gdzieś całkiem blisko i z syreną okrętową, której buczący dźwięk wędrował po spokojnych tego poranka wodach zatoki, by wspiać się po klifie i rozejść po ulicach Oxhöft.

Franz wiedział, że Helena dyżurowała w szpitalu, i miał nadzieję, że było jednak dostatecznie późno, by zdążyła bezpiecznie wyjść z mieszkania. Na to, że Jan nie wróci na noc, był przygotowany, bo kiedy chłopak zostawił go razem z lekarką przed wejściem do kamienicy, w której mieszkali, po wczorajszej wyprawie do Langfuhr, zapowiedział, że przenocuje u państwa Mirau w Rahmel. Nie miał pojęcia, co mogło się wydarzyć, ale pierwszą winną tej akcji osobą, jaka przyszła mu go głowy, była sąsiadka, pani Schulze, która musiała zawiadomić gestapo, kiedy opuścił kamienicę przy Hermannshöferweg. To jednak znaczyło, że

poszukują tylko jego, Inga Schulze nie wiedziała bowiem, że Franz nie zjawił się w Langfuhr sam.

Nim zdążył zastanowić się, skąd gestapo mogło dowiedzieć się o miejscu jego ukrycia, stwierdził, że kroki na schodach oddaliły się, a pokrzykiwania żołnierzy i zawodzenie kobiet dochodziło teraz z ulicy. Uniósł się ostrożnie i zajrzał na opustoszałą klatkę schodową. Na wytartych deskach podłogi zauważył leżący fartuch, zgnieciony kapelusz z woalką i mały bucik, który w zamieszaniu musiał spaść z dziecięcej nóżki. Drzwi do mieszkań na pierwszym piętrze były otwarte, jednak nie dostrzegł w nich żadnego ruchu. Znowu przywarł do dachu, na którym leżał, tym razem jednak wysunął się nieco poza jego obręb, by sprawdzić, czy w drzwiach na podwórko nikt nie stoi.

Wyglądało na to, że wszyscy znaleźli się przed frontonem kamienicy. Franz nie był zbyt sprawny, choć uciekając przez las po wypadku w Adlerhorst, pędzony na przemian strachem, chęcią odkrycia prawdy i instynktem przetrwania, przebiegł szmat drogi. Teraz zjechał po rynnie z daszku nad tylnym wyjściem, boleśnie tłukąc się, gdy spadł na udeptaną przez bawiące się tu zwykle dzieci ziemię. Podniósł się szybko i ukrył za rzędem drewnianych komórek, które oddzielały teren przyległy do kamienicy od rzadkiego zagajnika rozciągającego się dalej, bo ściągnięci z ulicy hałasem żołnierze wybiegli na podwórko. Nie sprawdzili jednak dokładnie; stanąwszy w drzwiach, palili chwilę papierosy, po czym rzucili niedopałki w miejsce, w które upadł kilka chwil wcześniej Franz Thiedtke, wrócili na ulicę, krzycząc, że podwórko jest puste.

Komisarz nie zastanawiał się. Rzucił się między krzaki zagajnika, przy każdym dotknięciu tracące zbrązowiałe liście, które z suchym szelestem opadały mu pod nogi. Gdy przewrócił się, potknąwszy o własne sznurowadła, zatrzymał się na chwilę, by je zawiązać. Poprawił też płaszcz,

który w pośpiechu narzucił podczas ucieczki, obejrzał nogawki spodni od piżamy, wystające spod niego i kończące się nad butami, tak że widać było gołe łydki, bo nie zdążył nawet włożyć skarpet. Postawił kołnierz i ruszył dalej, wspinając się na łagodnie wznoszące się wzniesienie. Gdy w końcu dotarł na jego szczyt, nieco poniżej płaskiego wypiętrzenia, by nie być widocznym z dołu, wyszedł zza drzew i stanął zaskoczony widokiem, który nagle ukazał się jego oczom.

Roztaczała się przed nim panorama portu, którego wody odbijały październikowe słońce, prześlizgujące się też po zacumowanych w portowych basenach okrętach. Czerwone flagi z czarną swastyką powiewały na masztach, unoszone lekko poranną bryzą znad zatoki. Między okrętami przesuwała się szybko motorówka, stąd widoczna przede wszystkim po długim śladzie, jaki pozostawiała za sobą na wodzie. Do położonego dalej basenu wpływał powoli mały statek cywilny pod banderą, której Franz nie był stanie dojrzeć, wprowadzany przez niewiele mniejszy od niego holownik. Jeden z dalszych basenów zajęty był przez zacumowane obok siebie u-booty – ich obłe cielska wynurzały się z wody niczym stado zdyscyplinowanych wielorybów. Nad całością górowały wieże pancernika, którego nazwa, choć i tak nie mógł jej dostrzec, niewiele by mu powiedziała, bo Franz, ten Franz Thiedtke zaopatrzony we wspomnienia zaledwie kilkunastu ostatnich dni, nie słyszał nigdy o pancerniku Gneisenau ani o jego udziale w operacji Weserübung, o rajdach po Atlantyku, wreszcie o emeryturze w basenie portowym Gotenhafen, gdzie dotarł pod eskortą SMS Schlezien, okrętu, którego bliźniacza jednostka Schleswig-Holstein także stacjonowała w Gotenhafen. Nie wiedział, że Gotenhafen było portem, w którym stacjonowały okręty wojenne, że wypływały stąd jednostki, które grasowały na Morzu Północnym i Atlantyku, i że zaledwie kilka miesięcy wcześniej, latem, gdy bryza znad zatoki nie przenikała

mieszkańców lodowatym chłodem, w jego basenie realizowano wielką produkcję filmową o Titanicu, której patronował sam minister Goebbels.

Jak zahipnotyzowany patrzył na rozpościerający się przed nim widok, na tę wielką wojenną dekorację, z której istnienia dotąd nie zdawał sobie sprawy, i poczuł dreszcz biegnący po przykrytych piżamą ukrytą pod płaszczem Stefana Kamieńskiego plecach. Oparł się o najbliższe drzewo i rozglądał, przecierając ze zdumienia oczy.

Zakręciło mu się w głowie i opadł na ziemię. Długo zastanawiał się nad swoją sytuacją, bo to, co zobaczył, sprawiło, iż poczuł swoją nicość wobec tego, czym dysponowali tamci. Nie mógł przecież wygrać z tym, co miał u swoich stóp. Nie mógł wygrać z ludźmi, którzy stworzyli świat działający według reguł, które jemu wydawały się niedorzeczne i pozbawione racjonalizmu, zbudowane na strachu i kontroli; okazało się jednak, że strach i kontrola potrafiły stworzyć tę militarną potęgę, której on jeszcze kilka godzin wcześniej nie był sobie w stanie wyobrazić, bowiem jego wyobraźnia, ograniczona własną pamięcią lub raczej jej brakiem, nie była gotowa do budowania podobnych obrazów. Co mogli zrobić jemu, posiadając to, na co teraz patrzył? Czy prześladowania ludzi, którzy znaleźli się w jego pobliżu, mogą być jedynym działaniem, które podejmą? Czy w swojej nieograniczonej władzy nad światem, pozbawieni jakiegokolwiek hamulca, sięgną dużo dalej? Nagle zdał sobie sprawę, że ludzie, którym postanowił się sprzeciwić w planie, byli tylko fragmentem potęgi, której on nawet nie podejrzewał. Jak obdarzeni boską mocą nadzorczy, kierowali życiem świata, którego granic, jeśli w ogóle gdziekolwiek istniały, nie znał.

Ukrył twarz w dłoniach, zastanawiając się, co robić dalej. Czy dochodzić własnej prawdy? Czy jest to w ogóle możliwe w świecie kierowanym zasadami, których nie był w stanie pojąć? Czy ta walka

o prawdę ma sens, skoro po dowiedzeniu własnej niewinności będzie musiał wrócić do społeczeństwa, którego częścią nie chciał już być? Czy powinien to zrobić, zgadzając się na tę mentalną kastrację, której musieli poddać się wszyscy ci, którzy w tym społeczeństwie egzystowali? Jadąc ulicami Gotenhafen, a później Danzig, widział świat, którego fasada wydawała mu się zupełnie normalna. Jednak pod tą złudną powłoką normalności dostrzegał fałsz, który uczyniono prawdą przez kłamstwo tak długo wmawiane, że w końcu przeistoczyło się w prawdę.

Nie chciał wracać do tego świata. Nagle rola banity bardzo mu się spodobała, choć dręczyło go pytanie, co stało się z tymi wszystkimi ludźmi, którzy zostali wypędzeni na ulicę w Oxhöft. Czy po bezskutecznych poszukiwaniach Franza Thiedtkego powrócą do swego normalnego życia, czy przyjdzie im zapłacić za to, że on siedzi teraz pod drzewem, patrząc na port w Gotenhafen, i z chwilowym poczuciem bezpieczeństwa zastanawia się nad egzystencją ludzi wokół? Co zatem może stać się z ludźmi, którzy zostaną obarczeni zbiorową odpowiedzialnością za coś, o czym nie mają pojęcia? Czy świat, który stworzyli tamci, przewidział i takie rozwiązania?

– Źle się pan czuje? – pytanie, które dotarło do niego dopiero po chwili, wydało mu się zupełnie niedorzeczne. Zamrugnął oczami i rozejrzał się. Obok stała kobieta z dziecięcym wózkiem na dużych kołach z białymi oponami. Kołysała nim lekko, przyglądając mu się z niepokojem. – Źle się pan czuje? Może panu pomóc? – zapytała ponownie.

– Nie, dziękuję pani. – Komisarz podniósł się z ziemi, otrzepał płaszcz z liści i grudek wilgotnego piachu i uklonił się elegancko, choć kobieta z powątpiewaniem przyglądała się spodniom od pizamy, które wystawały spod płaszcza. – Jestem Franz Thiedtke, emerytowany komisarz policji w Danzig – przedstawił się.



Kobieta uśmiechnęła się, trochę zdziwiona, ale Franz miał wrażenie, że funkcja, którą przywołał, uspokoiła ją.

– Erika Hermann – powiedziała. – A to moja córeczka, też Erika. – Jej twarz rozjaśniła się, gdy wskazała na niemowlę śpiące w ręcznie haftowanej pościeli. – Nie mogłam spać, więc zabrałam ją na spacer.

Franz posłusznie zajrzał do wnętrza wózka, cmokając nad śpiącą dziewczynką o zaróżowionych od świeżego powietrza policzkach.

– Śliczne dziecko – wyjąkał. – Pani z Gotenhafen? Piękny tu widok, prawda?

– Tak, przychodzę tu czasem. Mieszkam w Rahmel. A pan? Mieszka pan w Danzig?

– Tak, w Danzig, pani Hermann.

– To piękne miasto. Przypomina mi trochę moje rodzinne Bremen.

– To pani nie stąd? – Franz miał świadomość niedorzeczności tej nieoczekiwanej konwersacji, jednak kobieta wydawała się miła, a on nie chciał sprawiać podejrzanego wrażenia, które i tak musiał wywoływać jego wygląd.

– Nie, wie pan, jak to jest. Wojna. – Kobieta zachmurzyła się. – Mój mąż stacjonuje w Rahmel. A ja pracuję w Berlinie, ale przyjechałam do męża, do Rahmel, żeby urodzić Erikę. Obce strony, ale bliżej do męża. Rozumie pan.

– Tak, oczywiście. Znam w Rahmel państwa Mirau. Może pani o nich słyszała?

– Mirau? – Kobieta zbladła. – To zdrajcy, nie wie pan? Farbowani Niemcy, polscy volksdeutsche. Wczoraj całą rodzinę zabrało gestapo. Wszyscy w Rahmel już o tym wiedzą.

Franz nie odpowiedział. Przyglądał się kobiecie, która nagle cofnęła się o krok, po czym odwróciła wózek, pożegnała się i zaczęła się szybko

oddalać od stojącego wciąż w milczeniu komisarza.

## ROZDZIAŁ

# 26

Helena Kamińska lubiła sobotnie dyżury, bo wtedy zwykle niewiele się działo. Pacjenci, głównie młodzi marynarze z Kriegsmarine, przysłani do Gotenhafen z frontu, na którym zostali ranni, choć obwiązani bandażami, nierzadko o kulach, czasem poparzeni, czasem pozbawieni palców u rąk i nóg, cieszyli się, że są daleko od polujących na niemieckie okręty aliantów, w bazie, gdzie samoloty nieprzyjaciela docierały tak rzadko, że nikt nie obawiał się ataku – a wszyscy widzieli zdjęcia kroniki filmowej ze zbombardowanego latem Hamburga, zatem każdy Niemiec wiedział już, że to, co mówiono na temat aliantów, nie było propagandowym kłamstwem, a okrutną prawdą, przed którą należało chronić kraj. Na razie jednak młodzi marynarze w szpitalu w Gotenhafen palili papierosy, stojąc grupkami przy szeroko otwartych oknach, by dym nie docierał do gabinetów lekarskich, i gwizdząc, jeśli przez Litzmannplatz przechodziła młoda dziewczyna; inni siedzieli na łózkach i grali w karty albo pisali listy do domu. Pielęgniarki doglądały ciężiej rannych i chorych, a doktor Kamińska, oprócz krótkiego obchodu i nagłych przypadków, nie miała wiele pracy.

W takie nieśpieszne dni, gdy dyżurowała w szpitalu, zajmowała się przeglądaniem historii chorób swoich pacjentów, paliła, choć nie te mocne papierosy, którymi między sobą handlowali marynarze, miała też dużo

czasu, by zastanowić się nad tym, co działo się w jej życiu. A ostatnio wydarzyło się tyle, że miała wrażenie, iż dawny świat wywrócił się do góry nogami, życie zaś postawiło ją przed wyborami, na które nie była przygotowana. Nie była przekonana, czy pozwolenie na to, by Franz Thiedtke wkroczył w jej życie, było słuszną decyzją. Wierzyła przecież, że nadejdzie dzień, w którym Stefan wróci i wszystko znowu będzie tak, jak dawniej. O tym marzyła, to było powodem, dla którego zdecydowała się pozostać w Gdyni, to dawało jej siłę, by każdego dnia wstawać i pozwalać, by czas płynął. Widziała, jak znikają z miasta ludzie, którzy je budowali, jak tysiące przeżywają exodus do Generalnej Guberni, wywożeni tam, gdzie nakazał Brigadeführer Horst Schlichting czy inni, którzy mogli jednym podpisem, jednym rozkazem decydować o życiu ludzi będących dla nich tylko bezimienną, bezwartościową masą, której należało się pozbyć. Czasem zastanawiała się, czy jej marzenie o tym, że Stefan wróci i wszystko będzie tak jak dawniej, nie było tylko utopią wymyśloną przez jej obolałą jaźń. W takich momentach, jak sobotnie dyżury w szpitalu, myślała o tym, czy rzeczywiście będzie mogła jeszcze żyć tak, jak przed czternastym września trzydziestego dziewiątego, gdy w Gdyni pojawili się pierwsi niemieccy żołnierze, czy wtedy, gdy wojna się skończy, normalne życie będzie jeszcze w ogóle możliwe.

– Pani doktor, pacjent z siódemki narzeka na silny ból brzucha. –  
W drzwiach do gabinetu stanęła pielęgniarka.

– Już idę. – Odłożyła teczkę z opisem choroby, której nie czytała, a która leżała przed nią na biurku. Wstała i poprawiając stetoskop zawieszony na szyi, wyszła z gabinetu.

Sala, w której leżał pacjent, mieściła się na końcu korytarza. Stukot jej pantofli odbijał się od ścian i uprzedzał o tym, że idzie, wałęsających się bez celu chorych. Kilku młodych chłopaków stojących przy otwartym

szeroko oknie wyrzuciło pośpiesznie niedopałki, a kiedy ich mijają, ukłonili się jednocześnie, jakby mieli na sobie mundury, a nie szpitalne piżamy.

Pacjent, do którego wezwała ją pielęgniarka, leżał na łóżku pod oknem, zwinięty w kłębek, z czołem mokrym od potu. Sądząc po pryszczach, którymi obsypana była jego chłopięca twarz, miał nie więcej niż dziewiętnaście lat.

– Gorączka?

Pielęgniarka sięgnęła po zawieszoną na łóżku kartę pacjenta.

– Do tej pory stabilna. Wczoraj podwyższona do trzydziści siedem i pół, dziś rano trzydziści osiem – odpowiedziała, patrząc na wykres.

Doktor Kamińska położyła chłopaka na plecach i rozpięła guziki piżamy. Kiedy dotknęła lewej strony brzucha, tam, gdzie miał szeroką bliznę po wcześniejszej ranie, chłopak krzyknął z bólu, znowu starając zwinąć się w kłębek, jak szczeniak porzucony przez właścicieli. Powstrzymała go jednak, bo skończyła badanie.

– Nie bój się – powiedziała spokojnie, odgarniając mu włosy z czoła. Spojrzał na nią wylękniony. – To nic wielkiego. Poradzimy sobie z tym. –

Uśmiechnęła się i przykryła pacjenta szpitalnym kocem. – Proszę mu podać leki rozkurczowe – powiedziała do pielęgniarki, gdy wychodziły. –

Przypuszczam, że to zapalenie pęcherzyka żółciowego. Na razie niech przejdzie na ścisłą dietę. I proszę mnie informować, gdyby stan się pogarszał. Być może trzeba będzie operować.

Gdy wyszły na korytarz, usłyszała hałas dobiegający z klatki schodowej. Dudniące kroki były coraz bliżej; nim zdążyła dojść do schodów, by sprawdzić, co zakłóca spokój sobotniego przedpołudnia, na korytarzu pojawili się trzej funkcjonariusze SS.

– Pani doktor! – Zatrzymali się przy niej.

– Słucham.

– Pani doktor Kamińska – stwierdził raczej, niż zapytał, jeden z nich.  
– Tak, Helena Kamińska. Jestem lekarzem dyżurnym.  
– Nie pamięta mnie pani? Spotkaliśmy się już, na Steinbergu.  
– Mogą mi panowie wyjaśnić, o co chodzi? Co panowie tutaj robią?  
– My do pani, pani doktor. Proszę się ubrać. Jest pani zatrzymana. – SS-man zrobił krok do tyłu.

– Nie, to niemożliwe. Nie mogą panowie...  
– Owszem, możemy. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Natychmiast! – Jego krzyk był tak nieoczekiwany, że Helena wcisnęła głowę między ramiona.

– Jestem na dyżurze. Nie ma w tej chwili innego lekarza – powiedziała w końcu. – Nie mogę zostawić pacjentów. To ranni żołnierze.

– Dobrze więc. W takim razie sprowadzimy innego lekarza. – SS-man uspokoił się, choć wyglądał na wściekłego. Helena zauważyła małą żyłkę pulsującą szybko na jego skroni. – Do gabinetu.

Choć trwała wojna, okazało się, że ściągnięcie do szpitala na nieoczekiwany dyżur jednego z lekarzy ze szpitala przy Litzmannplatz nie było wcale tak proste. U doktora Neubauera odezwała się polska służąca, która kiepską niemczyzną oświadczyła, że doktor jest nieobecny; doktor Hoffman nie odpowiadał; dopiero doktor Schwarz, pozbawiony rodziny samotnik, odezwał się w słuchawce osobiście, a słysząc po drugiej stronie nieznoszący sprzeciwu głos oficera SS, zgodził się na natychmiastowe przybycie do szpitala.

– Gdzie pan mieszka, doktorze? Rozumiem. Przyślę po pana samochód.  
– Słuchawka telefonu trzasnęła na widełkach. – Holst... – SS-man zwrócił się do jednego ze swoich współtowarzyszy. – Niech Bachmann jedzie po tego Schwarza. Tu masz adres. Grimmweg naprzeciwko boiska sportowego. I wracajcie natychmiast.

– Tak jest, Obersturmbannführer. – Holst trzasnął obcasami, wyprostował na pożegnanie prawe ramię i wyszedł z gabinetu.

SS-man usiadł za biurkiem doktor Kamińskiej i bez słowa przeglądał leżące przed nim akta chorych. Czytał wolno, można było podążać za ruchem jego oczu, które lekko zmrużone śledziły kolejne linijki tekstu, zapisanego starannym pismem lekarki. Helena nie protestowała, choć uważała, że dane dotyczące leżących w szpitalu pacjentów były zarezerwowane dla pracujących tu medyków. Siedziała sztywno na twardym krześle, wciśnięta między drewnianą szafkę, w której trzymała lekarstwa, a zimną porcelanową umywalkę – z kranu kapały ciężkie krople wody, które rozbijały się o jej wnętrze. Drobne rozbryzgi osiadały na policzku kobiety. Dawno miała wezwać hydraulika, by naprawił kran, jednak zawsze coś jej w tym przeszkadzało. Ocierając wodę z twarzy, pomyślała machinalnie, że już nie zdąży tego zrobić. Nie czuła jednak zdenerwowania ani strachu. Miała raczej wrażenie, że stała się bohaterką szpiegowskiego filmu, który w trzydziestym trzecim oglądała razem ze Stefanem w kinie Bajka. Zamknęła oczy, ale kiedy otworzyła je po kilku długich minutach, nic się nie zmieniło.

– Zapewne ma tu pani akta wszystkich swoich pacjentów? – zapytał SS-man.

Przytaknęła dopiero po chwili, gdy zorientowała się, że pytanie było skierowane do niej.

– Więc musi mieć pani także akta Franza Thiedtkego.

– Jeśli był moim pacjentem, to z pewnością tak. – Wiedziała. Wiedziała, że chodziło o Franza.

– Taak – oficer sarkastycznie przeciągnął wypowiedane słowo. – Był pani pacjentem. Gdzie są jego dokumenty?

– Pod pierwszą literą nazwiska, w kartotece za panem. – Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie, co znalazło się w aktach komisarza.

Tymczasem Obersturmbannführer wstał i otworzył szufladę, w której leżały ułożone równo akta pacjentów.

– Piękny porządek. Lubię ludzi, którzy mają porządek w dokumentach – powiedział i wyjął kilka kartek umieszczonych pod literą T. Zamknął głośno szufladę i usiadł z powrotem przy biurku. Spojrzał na zegarek i zwrócił się ze zniecierpliwieniem do drugiego SS-mana, który bez słowa stał przy drzwiach wyjściowych. – Gdzie ten Holst? – Pokręcił głową z niezadowoleniem i zaczął przeglądać dokumenty.

Nagle szpitalną ciszę przerwał dźwięk syren, coraz wyższy i bardziej natarczywy. SS-man przy drzwiach poruszył się nerwowo, ale Obersturmbannführer nie zareagował.

– To pewnie ćwiczenia dla portu i stoczni – powiedział, przebiegając wzrokiem po kolejnych kartkach.

Syreny jednak nie milkły. Z korytarza dobiegały zdenerwowane głosy, słyhać było szybkie kroki. Ktoś zapukał do drzwi gabinetu, jednak Obersturmbannführer nadal nie reagował. Za oknem poranne słońce zaczęło blednąć i nad Litzmannplatz powoli napływała początkowo lekka, po chwili coraz bardziej gęstniejąca mgła, która zastygła między budynkami. Przez hałas syren zaczął przebijać się coraz potężniejszy szum silników, który zbliżał się od zachodu. SS-man przy drzwiach był coraz bardziej zdenerwowany. Nie odważył się jednak odezwać, Obersturmbannführer zaś bez słowa wodził oczami po linijskich tekstu zapisanego w aktach Franza Thiedtkego. Nadal był chłodny i opanowany, jakby patrzył na niego sam Reichsführer Heinrich Himmler. Kiedy hałas był już ogłuszający, a syreny, choć nadal ogłaszały alarm, ledwie przez niego przebijały, Helena wstała z krzesła.



– Muszę iść do swoich pacjentów! – krzyknęła w stronę siedzącego SS-mana. Jednak zamiast odpowiedzi usłyszała pierwszy wybuch. Budynek szpitala zatrzęsło, leki w szafce poprzewracały się, karty chorych rozsypały się po podłodze.

Zaczęły eksplodować kolejne bomby. Poprzez mgłę wiszącą nad Litzmannplatz nie było widać, co dzieje się na ulicy, słychać było tylko brzęk szkła wypadającego z okien. Powietrze przeszywały kanonady artylerii przeciwlotniczej, nad wszystkim zaś unosił się dudniący huk samolotów i świst bomb, które leciały na miasto. Ze ścian zaczął sypać się tynk. Helena czuła jego mdły posmak w ustach. Żarówka pod sufitem rozbłysła krótkim płomieniem, a szkło opadło, mieniając się w pył ze ścian niczym pierwszy śnieg. Na dłoni Obersturmbannführera pojawiła się drobna siatka ledwie widocznych nacięć, z których popłynęła rzadka krew. Mężczyzna zaklął, zrywając się z krzesła i szukając gorączkowo czegoś, co pomogłoby mu ją zatamować. SS-man stojący przy drzwiach nie czekał już na pozwolenie – otworzył je i kuląc się przy każdym wybuchu, przy którym cały budynek unosił się i z gwałtownym szarpnięciem opadał, wybiegł na korytarz.

Obersturmbannführer zdrową ręką chwycił doktor Kamińską mocno za ramię i pociągnął za sobą. Na zewnątrz panował chaos, szyby spadały z okien, a szkło pokrywało posadzkę. Schodząc, wpadli na pielęgniarki, które próbowały znieść do schronu pacjenta z siódemki, przyszczatego chłopaka z chorym pęcherzykiem żółciowym, który na wąskich noszach zwijał się w równym stopniu z bólu, co ze strachu. Kiedy kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem, chłopak spadł z noszy i zaczął zsuwać się po wyslizganych schodach. Helena wyrwała się z uścisku SS-mana i zbiegła, by mu pomóc. Pielęgniarki, kuląc się, ruszyły za nią. Tylko Obersturmbannführer nie pomógł – krzyczał coś w jej stronę, jednak

wybuchy bomb spadających na miasto zagłuszały zupełnie słowa, które z siebie wyrzucał. Znacząc mundur plamami świeżej krwi, wyszarpnął z kabury pistolet i zaczął nim wymachiwać, ale kolejny wybuch rzucił go na ścianę i SS-man stoczył się po schodach, upadając obok pryszczatego młodzieńca. Tymczasem Helenie z pomocą pielęgniarek udało się ułożyć chłopaka z powrotem na noszach i nie czekając na Obersturmbannführera, zbiegały niżej.

SS-man podniósł pistolet, który wypadł mu z dłoni, gdy spadał, i chwytając się poręczy, podążył za nimi. Po chwili wszyscy znaleźli się w schronie w piwnicy. Huk bombardowania był tu stłumiony, kolejne wybuchy sprawiały, że żarówki lekko przygasały, kołysząc się pod sufitem. Stłoczeni w małej przestrzeni pacjenci, lekarze i personel pomocniczy – wszyscy czekali na następne eksplozje, błędząc wzrokiem po wystraszonych twarzach otaczających ich ludzi i wznosząc oczy, jakby możliwe było dostrzeżenie samolotów bombardujących Gotenhafen poprzez wzmocniony sufit. Ściany drżały przy każdym wybuchu niewidocznych bomb, jednak Helena pomyślała, że najgorsza jest niepewność zamknięta na tych kilkunastu metrach, które w każdej chwili mogą zniknąć przysypane gruzem i pochłonąć nagle wszystkie chroniące się tu istnienia.

Pielęgniarki trzymały się za ręce, jeden z chorych modlił się szeptem. Z sufitu sypał się tynk, a Obersturmbannführer krzyczał, by nie przynosili Trzeciej Rzeszy wstydu swoim strachem, bo to zapewne ćwiczenia, które obnażą tchórzy takich jak oni. Doktor Kamińska gładziła po głowie pryszczatego chłopaka, by go uspokoić, a inni chorzy i ranni w milczeniu spoglądali w sufit, sponad którego dobiegał huk spuszcanych na miasto bomb.

## ROZDZIAŁ

# 27

Najpierw pojawił się dźwięk. Jak napływająca z zachodu chmura. Niski, dudniący łomot setek silników nadlatujących nad miasto. Sprawił, że ziemia pod stopami zaczęła lekko drżeć. Drzewa zaszeleściły, brązowiejące liście zaczęły opadać gęsto z suchych gałęzi. Dźwięk był coraz bliższy i coraz głośniejszy. Powoli zagłuszał wszystko, co słychać było dotąd. Zagłuszył huk stoczniowych prac i wycie syren, które rozległy się wcześniej nad miastem, początkowo pojedynczo, potem dialogując ze sobą z różnych dzielnic, w różnych częściach Gotenhafen rozpoczynając alarmowanie mieszkańców.

Potem dolina, która rozpościerała się u stóp Franza, zaczęła okrywać się mgłą. Biała chmura zasnuwała powoli wieżyczki pancerników Gneisenau i Schleswig-Holstein, kioski wyrastające z zanurzonych w wodzie kadłubów łodzi podwodnych, sylwetki statków handlowych, kutrów rybackich i portowych holowników. Pod gęstniejącą pierzyną zniknęły budynki warsztatów stoczniowych, pływające doki i okręty mieszkalne. Zniknęły budynki Kielau i Grabau, kościół przy Adolf Hitler Strasse i nadmorska promenada wcinająca się w wody zatoki, dawny Dworzec Morski i przerobione na magazyny wojskowe składy Cukroportu. Zniknęli mieszkańcy miasta, wysocy urzędnicy sprowadzeni tu z Danzig i Berlina,

sekretarki, inżynierowie z Kiel, przymusowi robotnicy przywiezieni na roboty z Generalnej Guberni, Belgii i Holandii, wreszcie francuscy, angielscy i radzieccy jeńcy stłoczeni w obozach, skąd każdego dnia wyprawiano ich do pracy w stoczni. W białej chmurze unoszącej się nad miastem widać już było tylko sylwetki portowych żurawi, zastygłych w oczekiwaniu na nalot, i dwa kominy szpitalnego statku Stuttgart, które także coraz bardziej zapadały się w niebyt.

Między klifami Oxhöft i Redlau, po drugiej stronie doliny, rozpełzła się mgła, którą gorączkowo tworzyli teraz specjaliści z Nebiogino Battaglione, sprowadzeni nad zimne Ostsee z gorącego południa, o czym Franz nie wiedział, a agregaty ustawione w różnych miejscach w całej okolicy wypluwały z siebie białe chmury, które w ciągu kilkunastu minut pokryły wszystko gęstą powłoką. Gotenhafen przyczało się, milknąc w strachu.

Franz skrył się między drzewami, obserwując ten nieoczekiwany spektakl, którego źródła nie znał i nie był w stanie pojąć, bo mgła, którą miał teraz przed sobą, przesłaniająca wszystko, co jeszcze kilka minut wcześniej rozpościerało się u jego stóp, zaczęła napływać nad miasto niemal w tym samym momencie, w którym rozległy się syreny alarmowe. Ich dźwięk dochodził teraz zewsząd, wywołując strach, choć były komisarz nie wiedział jeszcze, co oznaczają. Przywarł do drzewa, czując jego drżenie przez płaszcz Stefana Kamieńskiego. Jeszcze chwila i musiał dłońmi zasłonić uszy, bo zbliżający się huk stawał się nie do wytrzymania – ogłuszał, sprawiał ból i pozbawiał oddechu. Potem zobaczył pierwsze samoloty. Leciały w równym szeregu, wynurzając się znad wzniesienia, które opadało w zamgloną dolinę, kryjącą port i miasto, przesuwwały się majestatycznie po słonecznym niebie, którego ponad Gotenhafen nie zasnuwały żadne chmury. To niebo robiło się jednak coraz ciemniejsze,

coraz bardziej znaczone sylwetkami bombowców, które obniżając pułap, zawisły nad ukrytym we mgle miastem i w końcu rozpoczęły atak.

W białą chmurę runęły bomby, lecące jak ciężkie krople listopadowego deszczu. Uwalniane z luków bombowych wpadały w tę sztucznie stworzoną pierzynę, spod której rozbrzmiewał huk, przerywany dobiegającymi spod niej krótkimi seriami działek artylerii przeciwlotniczej. Bombowce, wielkie i ciężkie, nadlatywały nad miasto systematycznie, zgodnie z planem, wprowadzanym w życie precyzyjnie i bez zbędnych emocji. Kolejne bomby spadały na Gotenhafen, które dusiło się teraz własnym dymem, unoszącym się coraz wyżej ponad sztuczną mgłą. Białe puch zawieszony nad portem przecinały słupy ognia, wybuchy rozświetlały go przy akompaniamencie głuchego dudnienia. Ziemia drżała, wstrząsana spazmami bomb w nią uderzających. Wydawało się, że bombardowanie nie ma końca, że głuchy świst lecących bomb i następujące po nim wybuchy nie zamilkną, dopóki cały umiejscowiony w dolinie świat nie zostanie obrócony w ruiny i starty w proch, rozsypany między wzgórzami Hochredlau a Oxhöft. Dolina, przykryta mgłą, której przeganiane nadmorskim wiatrem obłoki odsłaniały fragmenty miasta i portu, pogrążała się w chaosie, w powietrzu zaś panował planowy ład i porządek. Atakujące samoloty bezkarnie obniżały swój pułap nad miastem, jakby piloci chcieli przed zawróceniem przyjrzeć się jeszcze skutkom swojego ataku.

Franz przyglądał się nalotowi, który rozgrywał się przed nim niczym spektakl w iluzjonie – tyleż nierealny, co nieprzewidywalny, systematyczny, choć nieoczekiwany. Ze zdziwieniem stwierdził jednak, że zamiast grozy i strachu odczuwa ulgę, okazało się bowiem, że świat, w którym się znalazł, a w którym na próżno doszukiwał się sensu, ma jednak swego przeciwnika, kogoś, kto tak jak on, emerytowany komisarz policji w Danzig, pozbawiony pamięci, choć starający się odkryć prawdę o wydarzeniach, których stał się

uczestnikiem lub nawet sprawcą, przeciwstawia się temu, co działo się wokół niego. Nie był tylko pewien, czy tamten porządek, używający tej samej metody strachu połączonego z militarną siłą, jest rzeczywistą alternatywą dla systemu panującego po tej stronie. Czy można siłę zwalczać siłą, kłamstwo kłamstwem? Jednak patrząc na atak, poczuł nagle falę wzbierającej w nim radości, siły, która upewniała go, że jego własna walka nie jest jednak ostatecznie skazana na przegraną, że nie jest tylko samotną figurą, która przesuwa się w przeświadczeniu własnej suwerenności, w rzeczywistości popychana niewidzialną ręką tego, kto przygotował cały plan.

Potęga otaczającego go systemu, którą odczuł zaledwie kilka chwil wcześniej, nagle stała się ułudą, fikcją, oszustwem, którego nie powinien się obawiać. Miał ochotę wybiec na pokrywającą wzgórze polanę i rozpościerając ręce, poczuć na twarzy powiew tego, czego nie potrafił określić, a co pojawiło się nad miastem razem z bombowcami, które wciąż nadlatywały, kołując, otwierały luki i wypuszczały z siebie kolejne tony bomb, by potem zawrócić, zatoczyć szerokie koło nad wodami zatoki i odlecieć na zachód. Powstrzymała go jednak myśl o Helenie, która była przecież tam w dole, w mieście tyleż ukrytym, co bezbronnym pod chmurą sztucznej mgły. Choć był pewien, że atak przyjęła z radością, być może czując to samo, co on, to nie wiedział jednak, czy jest bezpieczna, bo dyżur w szpitalu, który kilka godzin wcześniej przyniósł jej nieoczekiwane uniknięcie porannego nalotu SS w Oxhöft, teraz rzucił ją w samo centrum lotniczego ataku.

Nalot nie trwał długo. Jednak te kilkanaście minut ciągnęło się bez końca. Rozświetlana wybuchami dolina dudniła pod spadającymi ładunkami, które wzniewały kolejne pożary, chociaż palące się budynki kryły się pod białą zasłoną sztucznej mgły. Z ziemi rozlegały się terkoczące

działa artyleryjskie, jednak wyrzucane z nich pociski nie były w stanie osiągnąć wycofujących się powoli latających twierdz. I kiedy Franz myślał już, że za chwilę wszystko się skończy, hałas umilknie, a samoloty odlecą, gwałtowny huk całkiem blisko zrzuconej bomby przeszył powietrze i powalił go na wilgotną ziemię, pozbawiając przytomności.

## ROZDZIAŁ

# 28

Ulice były jeszcze opustoszałe, choć ucichł już świst lecących z nieba bomb, które z hukiem rozrywały się, dosięgając celu. Słyszeć było syreny wozów strażackich, a nad miastem unosił się swąd spalenizny. Z okien w budynkach stojących przy Litzmannplatz wypadły szyby, potłuczone szkło pokryło grubą warstwą chodniki. Gdy doktor Kamieńska wybiegła z gmachu szpitala, by wsiąść do jednej z podjeżdżających karetek, szkło zachrząściło głośno pod jej stopami. Autobus, który w chwili nalotu oczekiwał na porę odjazdu zaparkowany na końcowym przystanku, stał teraz przygnieciony przewróconym słupem latarni. Obok leżało martwe ciało kierowcy. Trupów na ulicach było więcej.

Gdy jechali przez miasto, Helena widziała ludzi pochylonych nad leżącymi zwłokami. Spod zwałowiska gruzów na rogu Hermann Göring Strasse wystawała ludzka dłoń, kilka metrów dalej leżał mężczyzna przygnieciony wrakiem motocykla, z którego spadł. Pożary wybuchały nieoczekiwanie, ogień trzaskał, rozpryskując się milionem iskier. Na Scharnhorst Platz, dawnym placu Grunwaldzkim, gdzie latem trzydziestego dziewiątego słuchali ze Stefanem w tłumie zebranych tu gdynian śpiewu Jana Kiepury, który przyjechał do miasta, by wesprzeć Fundusz Obrony Morskiej, a ledwie dwa miesiące później Niemcy urządzili nocną defiladę



z płonącymi pochodniami, nad którymi powiewały czerwone flagi ze swastykami, na tym opustoszałym teraz placu zauważyła dwa wielkie leje po bombach – wyrzucony w powietrze piach przysypał stojące pod lasem osamotnione maszty, pozbawione teraz nazistowskich sztandarów.

Na ulice wychodzili powoli ludzie, wypełzali ze schronów i piwnic, w których udało im się przeczekać minione dwadzieścia minut, bo tyle trwał atak, który spadł nieoczekiwanie na Gotenhafen. Miasto, dotąd spokojne w swoim poczuciu umiarkowanego bezpieczeństwa, choć raz już nękanie alianckimi bombami, nie doświadczyło ich jeszcze w sposób tak bolesny, jak Kilonia, Wilhelmshaven i Brema. W ciszy, która zapadła po tym, jak za wzgórzami, na których położone było Oxhöft, zniknęły ostatnie bombowce, z niedowierzaniem oswajało się z myślą, iż tej październikowej soboty przestało być bezpieczną twierdzą oddaloną od zgiełku wojny, choć jej słuszności ciągle nikt nie śmiał tu podważać.

W porcie panował chaos. Z okrętów wojennych dochodziły rzucane głośno komendy, marynarze zbiegali po trapach na keje, by ocenić straty, które poniosły ich jednostki. Spod rozrzedzającej się mgły wyłaniały się sylwetki stojących przy nabrzeżach okrętów, nietknięty pancernik Gneisenau, którego wieże ginęły jeszcze w białej chmurze, uszkodzone statki handlowe Ginnheim, Helga Schröder i Neidenfels, nieco dalej dwie jednostki neutralnej Szwecji, która prowadziła regularne interesy z Trzecią Rzeszą. W portowym basenie tonął trafiony bombą Cuxhafen, pod wodą ginął pływający dok i jeden z holowników. Płonęły budynki stojące nad portowymi basenami, żurawie dźwigów łamały się z suchym trzaskiem, upadając na palące się magazyny, warsztaty i zacumowane przy kejach statki. Wokół biegali żołnierze, cywile, nadjeżdżały jednostki straży pożarnej, choć starania strażaków, by zapanować nad tym, co działo się wokół, wydawały się bezskuteczne. Zniknął niemiecki ład, który marynarze

Kriegsmarine, opuszczając port w Gotenhafen, próbowali przy pomocy dział i torped narzucić reszcie świata.

Największy słup ognia i omiatającego go dymu unosił się nad Lazaretschiff Stuttgart. Pomalowany na biało statek szpitalny odcinał się jaskrawo od ciemnych sylwetek stojących wokół okrętów wojennych. Czerwony krzyż na burcie od strony wody przykryto siatką maskującą. Z rufy unosił się słup ognia, z którego iskry opadały na nabrzeże i w wody basenu, strzelając niczym noworoczne fajerwerki.

Kiedy podjechali bliżej, doktor Kamieńska ujrzała setki rąk wysuwających się z otwartych bulajów, ze statku dochodziły krzyki i jęki ludzi proszących o pomoc. Od rozpalonego kadłuba uderzały fale gorącego powietrza, które uniemożliwiały ratownikom zbliżenie się do burty – stali bezradnie na nabrzeżu i przyglądali się nieszczęśnikom ginącym w płomieniach i dymie w okrętowych kajutach.

Doktor Kamieńska wyskoczyła z karetki i podbiegając do zatrzymującego ją żołnierza, wykrzyczała:

– Jesteśmy lekarzami! Pozwólcie nam przejechać!

Jednak żołnierz powstrzymał ją gwałtownie.

– Proszę wracać do karetki! To rozkaz!

Nie rozumiała, dlaczego lekarzom z niemieckiego szpitala zabrania się pomóc niemieckim ofiarom alianckiego nalotu. Wiedziała, że w zamienionych na sale szpitalne dawnych luksusowych kabinach parowca i ekonomicznych kwaterach zorganizowanych przez Deutsche Arbeitsfront, który przejął pływający wycieczkowiec, by udziałem w rejsach nagradzać lojalnych członków nazistowskiego społeczeństwa, leżeli teraz ranni przywiezieni do Gotenhafen z Kaukazu i Ukrainy. Znała kilku lekarzy, którzy nim zostali skierowani na statek, pracowali w szpitalu przy Litzmannplatz. Zdawała sobie sprawę, że palący się mazut, którym

wypełnione były zbiorniki paliwa, nie dawał szansy na ugaszenie jednostki, a plotki krążące po mieście, iż pod pokładem oprócz rannych znajdował się skład broni dla niemieckiej marynarki, dodatkowo pogarszały sprawę. Uważała jednak, że nie wolno beczynn timerwać w obliczu tragedii, która rozgrywała się na oczach ludzi zgromadzonych na nabrzeżu. Nie było jednak rozkazu, nie było też działania. SS Stuttgart płonął niczym wielka pochodnia w rękach paradujących przez Scharnhorst Platz nazistów, a ci, którzy patrzyli na ten pożar, nie byli w stanie nic zrobić.

– Dlaczego ich nie ratujecie?

Helena czuła na twarzy gorąco palącego się statku. Z otwartych bulajów buchały słupy czarnego dymu. Z otwartych pokładów skakali ludzie, którzy ratunku szukali w wodach basenu portowego, jednak plama ognia rozlewająca się wokół pochłaniała kolejnych śmiałków. Ktoś usiłował ratować się, skacząc prosto na keję. Grupa strażaków próbowała skierować słup wody w stronę palącej się jednostki, jednak nie mogli podejść dostatecznie blisko, by woda sięgnęła płomieni. Ogień trawiący kolejne pokłady buchał takim żarem, że obserwujący pożar z lądu ludzie mieli wrażenie, iż obejmie on zaraz keję i okręty, które były zacumowane zbyt blisko. Kilka mniejszych jednostek zaopatrzonych w węże strażackie usiłowało podpłynąć od strony basenu portowego, jednak i tam żar nie pozwalał podejść dostatecznie blisko, aby pomoc była możliwa. Drewniane części pokładów, płonąc, spadały do wody, lądowały też na nabrzeżu i rozbłyskiwały feerią drobnych iskier unoszących się niczym sztuczne ognie.

– Proszę wracać do karetki! Tam są setki rannych, których trzeba ratować! – krzyknął ponownie żołnierz, karabinem popychając kobietę w stronę samochodu. – Szybciej! Szybciej!

Kiedy zawracali, Helena odwróciła głowę w stronę nabrzeża i patrzyła bez słowa na scenę rozgrywającą się za jej plecami. Zamiast wozów strażackich i karettek szpitalnych pojawiły się wojskowe ciężarówki. Żołnierze wysypywali się z ich wnętrz na nabrzeże, choć nikt nie był w stanie zbliżyć się do płonącego kadłuba. Krzyki dochodzące z pokładów Lazarettsschiff zagłuszać zaczęły serie z pośpiesznie rozstawianych karabinów maszynowych. Żołnierze stacjonujących w Gotenhafen jednostek Wehrmachtu strzelali do tych, którzy pod Kurskiem walczyli o chwałę Rzeszy i armii, jednak pokonani i ranni wrócili do bezpiecznego portu – skierowani na statek szpitalny, dusili się teraz w jego kabinach bez możliwości ucieczki. Na froncie wschodnim przyzwyczaili się do kurzu i błota, rozrywającego bębunki huku dział i walki z widocznym wrogiem. Teraz wrogiem okazał się przyjaciel, kajuty płonącego statku zamienione w sale szpitalne stały się pułapką bez wyjścia.

Lekarze operujący na rufie zginęli pierwsi, natychmiast po uderzeniu bomby, która spadła na statek, powodując pożar. Potem przyszła kolej na pacjentów i pielęgniarki, którzy pozostali uwięzieni na najniższych pokładach, skąd nie było ucieczki. Nielicznym się udało, jednak większość umierała powoli, dusząc się i paląc w wielkiej stalowej trumnie.

Karetka krążyła między górami złomu i gruzu, które uniemożliwiały przejazd. Po kilku minutach pielęgniarzowi kierującemu autem udało się dotrzeć do miejsca, gdzie stało już kilka innych samochodów ratowniczych. Strażacy dogaszali pożar zacumowanego statku trafionego odłamkiem. Między gruzami zbombardowanych magazynów jeńcy, którzy ocaleli, znosili ciała tych, którzy zginęli, jeszcze ciepłe, wysuwające się z rąk, pokrwawione, w poszarpanych szczątkach ubrań. Pod nadpaloną ścianą budynku, z którego wnętrza wciąż unosiły się obłoki zamienionego w pył tynku, bo w czasie nalotu jedna z bomb wpadła przez dach, niszcząc

wszystko, co było w środku, leżeli ranni. Wokół kręciło się kilku lekarzy i kobiety ze służby pomocniczej.

Doktor Kamińska wraz z pielęgniarką, która jej towarzyszyła, podbiegła do leżącego z brzegu mężczyzny. Ranny miał rozszarpaną nogę na wysokości kolana. Nogawka spodni była przesiąknięta krwią, która cały czas wypływała z rany. Helena wyjęła z torby skalpel i szybkim ruchem przecięła mokry materiał, po czym odsłoniła zmiążdżone kolano. Skrawki poszarpanej skóry porzebijane były fragmentami rozłupanych kości pokrytych resztkami krwawego mięsa.

– Nie bój się – powiedziała uspokajająco po niemiecku. – Wszystko będzie dobrze. – Wiedziała, że zaraz po przyjeździe do szpitala mężczyzna trafi na stół operacyjny, gdzie noga zostanie odcięta wysoko ponad kolaniem.

– Na pewno nie dla was, ty szkopska świnio – mężczyzna odpowiedział po polsku. Na jego zakurzonej, pokrwawionej twarzy pojawił się nikły uśmiech. Miała wrażenie, że ten uśmiech pozostał nawet wtedy, gdy ranny osunął się, tracąc przytomność.

Helena na ułamek sekundy poczuła się ogłuszona słowami, które usłyszała. Jednak szybko otrząsnęła się, podrywając znad nieprzytomnego ciała, gdy obok rzucono pierwsze zwęglone zwłoki. Skręcone, z wykrzywioną twarzą zastygła w ostatnim krzyku. W powietrzu uniósł się swąd spalonego ciała. Odór zwęglonej ludzkiej skóry, niepodobny do niczego, co знаła do tej pory, choć lekarzem była przecież od lat. Ostry, przenikający każdą komórkę jej ciała. Obezwładniający, odbierający nadzieję.

Z wnętrza wynoszono kolejne zwęglone resztki. W magazynie na czas nalotu zamknięto grupę francuskich jeńców. Spaleni w pożarze po wybuchu bomby, która spadła na budynek, nie mieli szans na ucieczkę. Helena

zrobiła kilka kroków, by poszukać miejsca, gdzie swąd nie był tak silny, poczuła jednak gwałtowny skurcz i zwijając się wóół, z wymiotowała wprost na czyjeś dymiące jeszcze szczątki.

## ROZDZIAŁ

# 29

Pierwsza myśl, która przysłała mu do głowy, musiała przebić się przez ból, otępiający i mocny. W ustach czuł wilgotny smak ziemi oblepiającej mu twarz. Gdy próbował się poruszyć, cichy szelest oślizgłych liści, na których leżał, przeszył ostro mózg, rozpychający się boleśnie pod rozmiękłą czaszką. Pierwszym obrazem, który pojawił się pod zaciśniętymi powiekami, była kobieca postać pochylona nad krzakiem róż – grubymi nożycami odcinała same pąki. Miała ich już cały fartuch, uniesiony do góry, tak by wrzucać do niego kolejne kwiaty jak do kosza. Odwróciła się i uśmiechnęła. Jej twarz, choć pełna zmarszczek, była promienna i świeża. I dopiero po chwili zorientował się, że to tylko krótki sen, w który zapadł, leżąc między drzewami na zboczu wzgórza opadającego do Gotenhafen.

– Waltraud – wyszeptał do siebie i otworzył powoli oczy.

Poczuł chłód. Mocny zapach ziemi drażnił. Podniósł się powoli i opierając o najbliższe stojące drzewo, dotknął rozciętej brwi, z której po upadku pociekła wąska struga krwi, teraz już zaschnięta. W uszach słyszał dudnienie, choć samoloty zniknęły za horyzontem. Mgła w dole rozrzedziła się i zobaczył przed sobą miasto i port. Wszędzie unosiły się słupy dymu, strzelały gwałtownie płomienie wybuchających wciąż pożarów i dopalały się zgliszczka tych, które udało się już ugasić. W basenach kilka statków,

trafionych bombami, osiadło na dnie. Fale rozbijały się łagodnie o ich nadbudówki i maszty, tafla wody marszczyła się i podrygiwała w jesiennym słońcu. Wokół pływały portowe motorówki. Poprzewracane żurawie portowe nie górowały już nad okolicą. Potężny łoskot przeszył powietrze w całej dolinie, gdy jeden z nich runął na dach stojącego obok budynku. W głębi łądu leje po bombach znaczyły szlak kolejowy, który prowadząc z południa, kończył się tutaj, na nabrzeżach. Kilka wagonów wypadło z torów, kilka leżało przewróconych na torowisku. Statek, który oplatały żarłoczne języki ognia wijące się wokół kadłuba, nadbudówki i kominów, odpływał od nabrzeża, ciągnięty przez dwa holowniki. Śwąd spalenizny docierał wysoko na wzgórze.

– Gotenhafen – powiedział głośno. – Alianci zniszczyli Gotenhafen. Gdingen – dodał i nagle jego myśli odwróciły się od widoku rozpościerającego się w dolinie. Przyjrzał się swoim dłoniom, spojrzął na płaszcz i piżamę, którą miał pod nim. Płaszcz był wilgotny i brudny od leżenia na ziemi, kostki nóg zaczerwieniły się z zimna. Dotknął twarzy, jeszcze raz przyjrzał się dłoniom.

„Dobrze, że Waltraud tego nie widzi” – pomyślał i w odpowiedzi powiedział sam do siebie:

– Mój Boże, przecież biedna Waltraud nie żyje!

I nagle wspomnienia zaczęły zalewać go nieprzerwaną falą, napływały, bombardując niczym alianckie latające fortece, które przeleciały tego dnia nad miastem. Runęły bez żadnego chronologicznego uporządkowania, pojawiały się chaotycznie i bez związku. Wywoływały obrazy przesuwane pod czaszką niczym film w technicolorze, który oglądał w kinie Ufa-Palast. Ale oprócz obrazów pojawiały się też dźwięki, smaki i zapachy, które niczym perpetuum mobile powodowały kolejne wspomnienia. Sztynne koronki babki Geszkau i marynarski mundurek pojawiły się razem



z zapachem różanej konfitury... nie, to była różana woda. Babka skrapiała się nią, by nie trącić maglem. Waltraud pachniała inaczej. Najpierw tym dziwnym zapachem domu towarowego, w którym woń perfum i wód kolońskich klientów mieszała się z zapachem sprzedawanych tu materiałów, hawańskich cygar i skórzanej galanterii – to wtedy, gdy jako panna sklepowa pracowała w Zoppot, w domu handlowym Fastów; potem gdy zamieszkali razem, najpierw przy Hundegasse, a potem przy Kohlenmarkt, pachniała apfelstrudlem, który piekła każdej soboty, by w niedzielne popołudnie mogli wspólnie usiąść do stołu. Apflestrudel był słodki albo lekko kwaśny, zależnie od jabłek, które kupowała od przekupek w cieniu baszty Kiek in die Köck koło Markthalle. A kiedy przeprowadzili się do Langfuhr, jej palce zaczęły pachnieć pomidorami, które hodowała w ogrodzie. Soczyste i duże, oblepiały pnącza oplatające drewniane patyki, które przygotowywał Franz, by Waltraud mogła je wkopać głęboko w grządki, tak aby stały się dla nich stabilną podstawą.

Komisarz poczuł w piersi kłujący ból na myśl o tym, co usłyszał od pani Schulze, sąsiadki, z którą Waltraud nawet się zaprzyjaźniła, choć często powtarzała, że Inga Schulze jest zbyt wścibska, by mieć do niej zaufanie.

To było bolesne i na myśl o tym, że Waltraud jest już wyłącznie przeszłością, Franz zapłakał, chowając twarz w ubrudzonych ziemią dłoniach. Ale jego umysł nie zwalniał. Przez głowę przewijały się już kolejne obrazy. Morderstwo w polskim hotelu Continental, którego sprawcą okazał się pracownik niedalekiego konsulatu Belgii. Mężczyzna, którego zwłoki wyłowiono z kanału Radaune w ogrodzie Kleine Irrgarten, bo gnijący but na jego rozkładającej się nodze zahaczył o przesło pod bramą z herbem miasta. Wisielec znaleziony w domku ratownika na plaży w Heubude i martwy marynarz, którego ciało wyłoniło się z ładowni pełnej

zboża na jednej z barek cumujących pod spichrzami na Bleihof. To były sprawy, które rozwiązał, pracując w Prezydium Policji przy Karenwall. Kroki odbijały się tam długim echem od wysokich sklepień; pamiętał, jak wsłuchiwał się w nie, przemierzając korytarze. Zapach butwiejącego drewna galeriowych baumannshofów przy Fleischergasse i woń eleganckich sklepów przy Langgasse, obsługujących gdańskie elegantki pachnące francuskimi perfumami, mieszały się ze sobą. Jasno oświetlony fronton kina Rathausspiele przy Langgasse i weranda Caféziglershöhe, skąd roztaczał się widok na całe Langfuhr, aż po dworzec lotniczy i plażę w Brösen. Mały antykwariat nad Motlau, w którym kupił Waltraud chińską porcelanową figurkę rybaczki. To był prezent, który sprawił jej z okazji pięćdziesiątych urodzin. Pamiętał tamten dzień – Waltraud siedziała w bujanym fotelu i spoglądając na figurkę, jadła belgijskie czekoladki, które kupił w delikatesach Friedricha Grossa przy Altstädtischer Graben. Był stałym klientem delikatesów Grossa, a pan Gross zawsze witał go głębokim ukłonem, sięgając po najlepszy tytoń, jaki miał w sklepie. Ten tytoń był mocny, intensywny, sprawiał, że kręciło mu się w głowie. Pamiętał, że nic tak nie pozwalało na skupienie myśli, jak tytoń z delikatesów Grossa. Tym samym tytoniem pachniał tamten mężczyzna. Alois? Nie, Alois musiał zrezygnować z tytoniu.

– Jeśli chce pan jeszcze trochę pożyć, niech pan zarzuci tytoń. Tak mi powiedział tamten łapiduch.

Franz słyszał wyraźnie głos Aloisa Richtera. Siedzieli na tarasie hotelu w Adlershorst. Tamtego wieczoru. A przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna, który palił mocne papierosy i tonąc w obłokach wypuszczanego nosem dymu, patrzył w zadumie w ciemniejący nad zatoką horyzont. Na tarasie było pusto. Tylko oni i tamten mężczyzna. Głos Aloisa niósł się nad spokojną taflą Ostsee aż do samego Danzig, bo Alois Richter

głos miał donośny i lubił, by go słyszano. Był znacznie młodszy od Franza, jednak komisarz uważał, że tej różnicy nie było widać, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Alois był postawnym mężczyzną, lecz odkąd się znali, miał problemy z nadwagą, łysiał, a teraz na jego twarzy pojawiły się ciemne plamy, świadczące o trawiącej go chorobie. Cienie pod oczami nadawały mu zmęczony wygląd, a nadwaga powodowała zadyszkę, ta z kolei prowadziła do gwałtownych napadów kaszlu. Spotkali się kilka dni wcześniej, przypadkiem, na ulicy w Langfuhr. Alois Richter od trzech lat mieszkał w rodzinnym Reichenbergu, bo pochodził z Sudetenlandu i na nizinach nigdy nie czuł się najlepiej. W Danzig spędził siedem lat, które poświęcił głównie na pracę agitatora i propagandzisty, a nie komisarza policji, jednak to właśnie w prezydium przy Karenwall Franz Thiedtke poznał Aloisa Richtera. Wiedział, że Alois był zdeklarowanym nazistą, zwolennikiem ideologii, wobec której on pozostawał tak obojętny, jak było to możliwe w kraju, w którym istniała tylko jedna racja, a ci, którzy nie byli jej zwolennikami, natychmiast stawali w szeregu przeciwników, za co odsyłano ich za druty kolczaste, by mieli okazję zrehabilitować się za swoje ideologiczne pomyłki. Nigdy jednak nie rozmawiali o polityce, a Alois był na tyle zabawnym towarzyszem rozmów, że Franz nie unikał spotkań z nim. Co więcej, Alois lubił wędkować i kilka razy zdarzyło im się nawet spędzić wspólnie wiele godzin na nabrzeżu Motlau, na którym Franz wędkował każdej niedzieli, aż wyprowadzili się z Waltraud do Langfuhr.

Kiedy więc spotkali się przypadkiem na ulicy, ucieszył się, widząc Aloisa, choć początkowo wcale nie zamierzał przyjąć jego zaproszenia na spotkanie do Adlershorst, gdzie stary kolega zamieszkał. Dlaczego się zdecydował? Właściwie nie był teraz pewien, choć pamiętał spotkanie na Mirchauerweg doskonale. Ale to było i tak nieistotne. Franz nie lubił zastanawiać się nad przeszłością, układanie hipotez jej dotyczących

stanowiło element jego pracy, więc pozostawił je na Karenwall, odchodząc na emeryturę. A teraz był tutaj, na wzgórzach nad zniszczonym portem, ubrany tylko w płaszcz Stefana Kamieńskiego i jego piżamę. Cała ta sytuacja wydała mu się niesłychanie groteskowa, tak bardzo że niemal zapomniał o tym, co działo się w Gotenhafen.

Miał wrażenie, że obudził się z głębokiego snu, a to, co wydarzyło się od tamtego spokojnego wieczoru, który z Aloisem spędzali na tarasie w Adlershorst, było tylko koszmarem, który już pozostawił za sobą. Pozbawiony pamięci, odczuwał bezradność; odzyskawszy tożsamość, poczuł pustkę i nagły smutek. Otworzył oczy i patrzył przed siebie. Nie wierzył w koniec świata; bliższy mu był raczej Darwin ze swoją teorią ciągłej ewolucji, być może prowadzącej do destrukcyjnego końca, jednak nie tak gwałtownie, jak biblijna apokalipsa, choć miał wrażenie, że był niemal jej świadkiem. Bo oto świat, którego nienawidził, powróciwszy do własnej rzeczywistości, świat, który pozbawionemu pamięci wydawał się szaleństwem, zaczął upadać u jego stóp, ginąć jak zalewana falami Atlantyda, której mieszkańcy nie wiedzieli jeszcze o zbliżającym się końcu, jednak wypełzając ze swoich schronów, wydobywając się spod gruzów, leżących na ulicach miasta, zaczęli przeczuwać, że koniec utopii jest bliski.

Lazaretschiff Stuttgart w kłębach ciemnego dymu, który wydobywał się z każdego okrętowego okna, z każdych drzwi, które niegdyś prowadziły na pokłady spacerowe, skąd podziwiano fiordy Norwegii i liguryjskie wsie zawieszane nad skalistymi przepaściami włoskiego wybrzeża, z uszkodzoną rufą stojącą w ogniu, żarłocznym, zazdrośnie strzegącym własnego terytorium, wypływał z portu na redę, ciągnięty przez dwa holowniki, które wypełniały rozkaz kontradmirała Platha. Bo kontradmirał kazał statek zatopić. Razem z ludźmi, którzy przebywali na jego pokładzie.

## ROZDZIAŁ

# 30

Helena nie wróciła już do szpitala przy Litzmannplatz. Po długich godzinach spędzonych na nabrzeżach portu, skąd karetki odwoziły rannych do szpitali w całym mieście, a ciała zmarłych zbierano do skrzyń, które ładowano na wciąż nadjeżdżające ciężarówki, zdjęła fartuch i korzystając z panującego wokół chaosu, ruszyła po prostu w stronę Oksywia. Wiedziała już, że linie kolejowe zostały zbombardowane, musiała jednak dostać się do domu, by sprawdzić, co stało się z Janem i ukrywającym się u niego Franzem. Po nalocie, gdy w szpitalu zapanował alarm, bo spodziewano się wielu rannych, udało jej się wymknąć SS-manom, którzy w zamieszaniu nie nadążyli za nią, gdy wybiegła ze schronu, by wsiąść do jednej z nadjeżdżających karetek.

Wiedziała, że gdy chaos nieco się uspokoi, natychmiast stanie się poszukiwana, postanowiła więc jak najszybciej dotrzeć do domu, zabrać trochę rzeczy i uciekać z Gdyni. Miała nadzieję, że spotka Franza, że on będzie wiedział, gdzie jest Jan, i wspólnie ustalą, co robić dalej. Kluczyła ulicami, posuwając się w stronę dworca.

Część budynków była uszkodzona, z wielu wypadły szyby, które pokrywając grubą warstwą chodniki, chrzęściły pod podeszwami jej pantofli. Cały czas sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Nikt jednak nie

zwrócił uwagi na przedzierającą się wśród rumowiska samotną kobietę. Ludzie błakali się z niedowierzaniem między budynkami, właściciele sklepów oceniali pierwsze straty, ubrany w cywilne ubranie mężczyzna bezradnie okrążał zaparkowany przy krawężniku samochód, na który upadła uliczna lampa. Pogruchocona blacha odsłaniała silnik. Kilkanaście metrów dalej odgruzowywano wejście do mieszczącego się w piwnicy schronu. Z głębi dochodziły krzyki zasypanych w nim ludzi.

Przed gmachem sądu Helena zauważyła przewrócony rower. Rozejrzała się, ale właściciela nie było w pobliżu. Podniosła go i wskoczyła na siodło. Rama była trochę wykrzywiona, z przedniej opony uszło sporo powietrza, jednak rowerem mogła dotrzeć na Oksywie szybciej, niż idąc o własnych siłach. Ruszyła więc przed siebie z nadzieją, że nikt nie zauważy, iż zabrała cudzy rower. Wolą nie myśleć, co by się stało, gdyby właściciel oskarżył ją o kradzież.

Bez przeszkód dotarła na Oksywie. Wprowadziła rower na korytarz kamienicy i oparłszy go o ścianę, zostawiła, by wspiać się po drewnianych schodach na piętro. Idąc na górę, pomyślała, że schody nadają się już do wymiany, nigdy bowiem nie wydawały z siebie tak głośnych trzasków pod każdym postawionym krokiem.

Dopiero kiedy stanęła przed drzwiami swojego mieszkania, zorientowała się, że to nie schody wyjątkowo głośno trzeszczały, ale w kamienicy panowała zupełna cisza. Zarówno drzwi do mieszkania, które zajmowała, jak i te do innych mieszczących się na tym samym piętrze były otwarte, a z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Nie było krzyków dzieci, odgłosów sobotniej krzątany, nie było śmiechu ani płaczu. Tylko głucha cisza. W pierwszej chwili pomyślała, że wszyscy mieszkańcy schronili się przed nalotem. Jednak kiedy zajrzała do siebie, poczuła niepokój. Porozrzucone ubrania, przewrócony stół, zerwane zasłony.

Weszła do sąsiadów, mieszkanie wyglądało podobnie. W kolejnym to samo. Wbiegła na drugie piętro, gdzie mieszkał Jan. Jego mieszkanie było puste – otwarte szafy, szuflady pozbawione zawartości, która leżała rozsypana po podłodze. Na wszystkim osiadła warstwa pierza z porozcinanej pościeli.

Oparła się o futrynę drzwi, czując, jak oblewa ją fala gorąca. Ciepły pot spływał po twarzy, dłonie zrobiły się zupełnie mokre, zwilgotniały włosy. Serce łomotało jej w piersi. Zbiegła po schodach i wróciła do swojego mieszkania. Rozgarnęła leżące na podłodze rzeczy i wysunęła dolną szufladę szafy, w której trzymała niedużą walizkę. Kiedy musiała opuścić mieszkanie przy Świętojańskiej, zapakowała wszystko w tę walizkę, wszystko, co wydawało się cenne. Fotografie, wyjęte z ozdobnych ramek i spomiędzy bibuły w albumach, bo były jedynym świadectwem minionego życia; złoty zegarek ojca; ulubione pióro Stefana, które zawsze miał przy sobie, ale tamtego dnia, gdy wybiegł z domu, żegnając się z nią pośpiesznie, zostało na biurku w jego gabinecie, jakby miał niebawem wrócić, by dokończyć przerwana korespondencję; listy, przesyłane każdego dnia, który spędzili oddzielnie, wśród nich i ten ostatni, w którym prosił, by o siebie dbała. Biżuterię zaszyła w rękawach futra. Teraz rozdarła je pośpiesznie. Złote pierścionki, secesyjna kolia z diamentową ważką, kolczyki z perłami po babce, wszystko rozsypało się po podłodze. Zebrała je szybko, chowając do kieszeni płaszcz. Do walizki wrzuciła rozrzucone po pokoju ubrania, wybierając te gorsze, zwykłe, bo kilka sukienek, które zabrała z mieszkania przy Świętojańskiej, sukienek, które pamiętały czasy, gdy była kobietą elegancką i zadbaną, teraz wydało jej się niedorzecznie nieodpowiednich. Zamknęła walizkę, zawiązała na głowie chustkę i rozejrzała się wokół po raz ostatni. Nie wiedziała jeszcze, dokąd pójść, ale była przekonana, że nie może zwlekać. Kiedy zbiegała po schodach na parter kamienicy, za oknami było już niemal ciemno.

Gdy kątem oka zobaczyła ciemny zarys sylwetki mężczyzny stojącego w drzwiach prowadzących na podwórko, zachwiała się, zsuwając obcasem o jeden stopień niżej.

– Helena? – Usłyszała głos Franza.

– Franz? – Walizka wysliznęła się z jej dłoni.

Mężczyzna podszedł i objął ją bez słowa.

– Myślałam, że cię złapali – powiedziała po chwili, odsuwając się i w ciemności próbując dostrzec rysy jego twarzy. Po czym jeszcze raz przycisnęła policzek do jego ramienia.

– Ja też myślałem, że cię nie zobaczę. – Głos komisarza Thiedtkego zadrżał. – Rano było tu gestapo. Szukał mnie mój stary znajomy z Danzig. Uciekłem, ale oni zabrali wszystkich stąd. Wszystkich sąsiadów. W Rahmel złapali Jana. Myślałem, że ciebie też już mają.

– Byli w szpitalu. Ale uciekłam. Zaczął się nalot. A potem uciekłam. Byłam w porcie. Tam była rzeźnia. A potem ukradłam rower i przyjechałam – mówiła Helena chaotycznie. Poczowała, że po policzkach spływają jej łzy. Franz objął ją znowu mocno i przyciągnął do siebie. – Zaraz, zaraz. – Odsunęła się po chwili, otwartą dłonią ocierając oczy. – Skąd wiesz, kto cię szukał? – zapytała. – Powiedziałeś: mój stary znajomy. Skąd wiesz, kto to był?

Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy uśmiech. Franz roześmiał się cicho.

– To niewiarygodne, ale jest tak, jak mówiłaś. Odzyskałem pamięć – powiedział. – Uciekłem stąd rano, a potem widziałem nalot. Stałem na górze, patrzyłem na Gotenhafen, na bomby, które spadały z samolotów, a kiedy jedna z nich wybuchła bardzo blisko, upadłem i straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem... Wszystko było z powrotem tutaj. – Dłonią wskazał swoją głowę. – Znowu dokucza mi ból, ale wszystko



pamiętam. – Jego śmiech odbił się cichym echem od ścian pustej kamienicy.

– I wiesz, kto zabił tego człowieka w hotelu?

– Tak. Wiem. Chodź. – Pociągnął ją za rękę w stronę podwórka. – Nie możemy tutaj zostać. W mieście jest chaos, ale i ciebie, i mnie z pewnością już szukają.

Wieczór był chłodny i wilgotny. Wspięli się na wzgórze ponad Oxhöft. Pojedyncze wolno dogasające pożary w dolinie rozświetlały pogrążające się w mroku miasto, na wodach zatoki niedaleko klifu unosił się Lazaretschiff Stuttgart. Łuna nad jego pokładem, jasna i migotliwa, oświetlała płytkie wody wokół. Z portu zmierzały teraz w jego stronę trzy małe patrolowce. Kiedy znalazły się dostatecznie blisko, powietrze przeciął świst pocisków wypluwanych z dział na ich pokładach. Woda wokół okrętu szpitalnego rozbryzgiwała się, pociski rozpruwały pomalowaną kiedyś na biało, teraz czarną od dymu i ognia burtę. Z metalicznym chrzęstem rozrywanych łańcuchów, z przenikliwym skrzypieniem pękających lin, statek zaczął przechylać się na jedną stronę. Wody zatoki, zalewając kolejne pokłady, wdierały się do wnętrza przez małe bulaje na dole i duże okna na wyższych poziomach, szkło roztrzaskiwało się pod ich naporem; ginęły pokłady, którymi przechadzali się niegdyś eleganccy wycieczkowicze pływający Stuttgartem na Daleki Wschód i wracający z hiszpańskiej wojny członkowie Legionu Condor, którego akcję nad Guernicą uwiecznił malarz z andaluzyjskiej Malagi – wszystko powoli pogrążało się pod wodą, pozostawiając po sobie płonąca plamę, która niebawem niczym rozpalony cień znaczyła miejsce, gdzie okręt zatonął. Nad doliną wkrótce zapanowała cisza, dozorowce odpłynęły do portu.

Helena Kamieńska i Franz Thiedtke patrzyli w milczeniu na scenę, która rozgrywała się u ich stóp.

- To nie był okręt wojenny – odezwał się komisarz.
- Nie, to był statek szpitalny.
- Dlaczego to zrobili?
- Widziałeś mgłę? Pewnie nie widzieli, że to Lazaretschiff.
- Nie. Dlaczego go nie ratowali?
- Byłam tam. Chyba nic nie dało się zrobić. Nie wiem... Widziałam, jak Niemcy strzelali do Niemców. Ci z lądu do tych na statku. – Helena zamilkła. Po długiej chwili, gdy w milczeniu patrzyli na płamę płonącą na wodach zatoki, odwróciła się w stronę Franza. – Pamiętasz siebie sprzed tego morderstwa? – zapytała.
- Skinął potakująco głową.
- Też byłeś taki?
- Pytasz mnie, czy byłem nazistą?
- Teraz Helena przytaknęła milcząco.
- Nie, nie byłem. Chodźmy stąd. Musimy jak najszybciej dostać się do miasta. – Komisarz ruszył wąską ścieżką przed siebie.
- Do miasta? – Helena podbiegła, by dotrzymać mu kroku. – Przecież tam nas szukają.
- Nie, na razie będą nas szukać w Oxhöft. My w tym czasie dostaniemy się do śródmieścia, do Josepha Krupkego.
- Do tego policjanta? Przecież mu nie ufałeś.
- Jest teraz jedynym człowiekiem, do którego mogę się zwrócić. Mówiłem ci, że Jana złapali.
- Może ukryjemy się w Rahmel? U państwa Mireckich, państwa Mirau...
- Ich też aresztowali. Razem z Janem.

Helena zatrzymała się. Franz zrobił jeszcze kilka kroków i stanął, odwracając się w jej stronę.

– Franz, tylu ludzi... Tylu ludzi...

– Heleno – objął ją – wiem, miałaś rację. Z mojego powodu złapali Jana, państwo Mirau, wszystkich sąsiadów... Z mojego powodu zginęła moja żona. Z mojego powodu zginął Alois Richter.

– Franz, co ty mówisz? – Odsunęła się, przyglądając komisarzowi. Dostrzegł, że jej oczy zaszklily się, choć szybko odwróciła wzrok, by tego nie widział.

– Nie, nie ja go zamordowałem – powiedział szybko. – Oni go zamordowali, żeby się mnie pozbyć. Chodźmy, nie czas teraz na wyjaśnienia. Musimy dostać się do Josepha.

– Nie znamy przecież jego adresu. Nie chcesz chyba iść do Prezydium Policji?

– Pamiętasz album ze zdjęciami, który zabrałem ze swojego mieszkania? Była tam kartka świąteczna, którą na Weinachten przesłał mi Joseph. Na kopercie był jego adres.

– Masz ją?

– Nie, została w albumie, w mieszkaniu Jana. Dlatego musimy się śpieszyć, zanim ją znajdą i pojedą do Josepha. Wiesz, gdzie jest Gotenstrasse?

## ROZDZIAŁ

# 31

Komisarz Joseph Krupke mieszkał na rogu Gotenstrasse i Askanierstrasse. Kamienica, w której znajdowało się jego mieszkanie, nie została trafiona w sobotnim nalocie. Wyleciały tylko szyby z okien na korytarzu, ale dozorca szybko uprzątnął szkło z klatki schodowej. Jednak tej nocy Joseph Krupke nie mógł spać, bardziej zajęty myślami o swoim dawnym przełożonym niż o tym, co wydarzyło się w Gotenhafen poprzedniego dnia. Był wściekły. Czuł się oszukany, a oszustwa nie był w stanie wybaczyć nawet Franzowi Thiedtkemu. Ciągle słyszał słowa recepcjonistki hotelu w Adlershorst, do którego wybrał się w sobotnie przedpołudnie, by zacząć śledztwo, z którego w prezydium szczęśliwie zapomniano go zwolnić.

– Smutna sprawa – powiedziała ładna blondynka stojąca za recepcyjną ladą. – Najpierw ten gość, a potem nasz chłopak... To nie był dobry miesiąc. Poza tym, wie pan, teraz więcej jest rannych w szpitalach niż gości na urlopie. – Pokiwała głową. – Tak, panie komisarzu. Ciężkie czasy. Oczywiście, w słusznej sprawie – zapewniła szybko. – Tylu ludzi ginie, ale jak to się dzieje tak blisko, jak tutaj, u nas, to wie pan, dziwnie się człowiekowi robi. Był człowiek, a następnego dnia nie ma. I dla rodziny szok. Nawet był tu jeden krewny. Miły, uprzejmy. Najpierw bałam się, że do nas będzie miał pretensje. Ale on chciał tylko porozmawiać z kimś, kto

ostatni widział tego zamordowanego. Dowiedzieć się chciał, jak wyglądały ostatnie chwile życia tego nieszczęsnego człowieka... – Dziewczyna zadumała się, przerywając na chwilę potok słów wylewanych z siebie z gdańskim akcentem.

– Krewny? – zainteresował się Krupke. – Krewny tego zamordowanego? Pani z nim rozmawiała? Przedstawił się? Mówił, skąd jest?

– Nie. Powiedział tylko, że rodzina chciałaby wiedzieć, jak wyglądały ostatnie chwile życia tego zamordowanego. No ale wie pan, ten chłopak, co ich obsługiwał, i jeszcze tego drugiego pana, to właśnie też nie żyje.

– A jak wyglądał ten krewny?

– No, wie pan... Taki zwyczajny, starszy. Niczym się nie wyróżniał.

Kiedy Joseph Krupke wyszedł na pusty taras hotelowy, z którego uprzątnięto już stoliki, pozostawiając miejsce dla rozkrzyczanych mew, poczuł silny podmuch zimnego wiatru znad zatoki. Choć dzień był słoneczny, zrobiło mu się chłodno. Był wściekły. Od razu domyślił się, że w hotelu był komisarz Thiedtke. Bo Krupke doskonale wiedział, że Alois Richter był Niemcem sudeckim, do Danzig przyjechał z Berlina i nigdy nie krył, że chce wrócić do rodzinnego Reichenbergu. Tam zostawił rodzinę i nie planował, by przeprowadzić żonę i córkę nad Ostsee. W Danzig nie miał żadnych krewnych.

Krupke poznał Aloisa Richtera w czasach, gdy pracowali w Prezydium Policji przy Karenwall. Gdy dyrektor rządowy, SS-Sturmbannführer Rudolf Tröger stanął na czele powołanego w Danzig Einsatzkommando 16, Alois Richter wszedł w jego skład jako jeden z funkcjonariuszy Kripo, a SS-Sturmbannführer Friedrich Claas, którego znał dobrze z pracy w prezydium, zabrał go do swojej ekspozytury w Gotenhafen. Jako zaufany człowiek Claasa, Alois Richter nie odstępował go w czasie działań jesienią

trzydziestego dziewiątego, gdy we współpracy z funkcjonariuszami lokalnego Selbstschutzu systematycznie pozbywano się wrogich elementów, o których mowa była już w czerwcu na naradzie u doktora Trögera w Danzig. Krupke nie brał w niej udziału, jednak w prezydium przy Karenwall nie było tajemnicą to, co doktor Tröger wówczas mówił.

Joseph Krupke nie był świadkiem działań Einsatzkommando 16, bo kiedy przyjechał do Gotenhafen przed końcem trzydziestego dziewiątego roku, operacja Tannenberg dobiegała końca, słyszał jednak o tym, co doktor Tröger i jego ludzie robili w pierwszych tygodniach po wybuchu wojny. Kiedy rozwiązano Einsatzkommando w Gotenhafen, Alois Richter miał przed sobą obiecującą karierę. Zniknął jednak z miasta i dopiero kiedy Krupke zidentyfikował jego zwłoki w hotelu w Adlershorst, okazało się, że wiosną czterdziestego roku, gdy SS-Sturmbannführera Claasa przeniesiono do Grazu, on wyjechał do rodzinnego Reichenbergu.

Joseph Krupke czuł obawę wobec ludzi, którzy znaleźli się w Einsatzkommando doktora Trögera. Wiedział, czym zajmowali się jesienią trzydziestego dziewiątego, i w duchu cieszył się, że pozostawiono go wówczas w Danzig, gdzie zajmował się, co prawda, wyłapywaniem ostatnich pozostałych w mieście Polaków, których nazwiska znalazły się na listach proskrypcyjnych, ale to, co działo się z nimi dalej, nie było już jego problemem. Nie interesował się tym, bo wszelkie działania, jakie wówczas podejmowano, tłumaczył sobie koniecznością przestrzegania planu, stworzonego przez lepiej od niego zorientowanych przywódców z Berlina, wizjonerów, których założenia tylko realizował. Nie czuł odpowiedzialności za swoje czyny, ufając tym, którzy plan stworzyli. Nie eksterminował własnymi rękami, nie myślał więc o tym, co działo się wokół. Sumiennie wypełniał swoje obowiązki, a to zawsze wydawało mu się najważniejsze. Dotrzymywał też danego słowa, dlatego tak bardzo

wzburzyło go to, że komisarz Thiedtke złamał ich umowę i wybrał się z własnym śledztwem do Adlershorst. Dopiero gdy pierwsza złość minęła, uświadomił sobie, że nie wie, kiedy Franz Thiedtke pojawił się w hotelu, nadal jednak był na niego wściekły, bo uważał, że pojawienie się na miejscu zbrodni, o którą było się podejrzanym, jest skrajną nieodpowiedzialnością, a tej po nim nigdy by się nie spodziewał.

Gdy usłyszał dźwięk pierwszych syren ogłaszających nalot, zmierzał do auta, zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej na nadmorskiej promenadzie. Z rozdrażnieniem pomyślał, że musi wrócić do hotelu, w którym zapewne była piwnica służąca za schron, choć wiadomo było, że w Gotenhafen jest bezpiecznie i alarm zapewne jest próbny. Sztuczna mgła, którą żołnierze z Nebbiogeno Battaglione z pomocą swych agregatów zaczęli rozpylać nad miastem, do Adlershorst, oddzielonego od śródmieścia Gotenhafen wzgórzami Redlau, nie dotarła. Docierał za to świst bomb wypuszczanych z luków nadlatujących bombowców i następujący kilka sekund później huk, gdy bomby osiągały swój cel, jednak Adlershorst było dostatecznie daleko, by nalot można było spędzić na zewnątrz.

Wszystko trwało około dwudziestu minut, które kucharz i recepcjonistka spędzili na pogawędce o poprzednim nalocie, w którym miasto prawie nie ucierpiało, ale kiedy Krupke wsiadł w końcu do swego służbowego samochodu i pojechał do Gotenhafen, z każdą chwilą przybliżającą go do centrum jego oczom ukazywały się coraz większe zniszczenia. Nie czuł jednak żalu, bo Gotenhafen i tak pozostawało dla niego polskim miastem, choć wcielono je przecież do Rzeszy, zacierając dokładnie wszelkie ślady polskości.

Na szczęście Askanierstrasse nie była zniszczona. Kiedy dojechał na miejsce, minął na korytarzu dozorcę, który zamiatał szkło z rozbitych okien, pokrywające schody w kamienicy. W mieszkaniu służąca Marianna

zdążyła już uprzątnąć rozbite wazony i szklany secesyjny abażur lampy wiszącej w salonie. Gdy wszedł, zbierała kawałki tynku, które odpadły ze ścian pod oknami wychodzącymi na Gotenstrasse. W gabinecie podłoga pokryta była papierami, bezładnie porozrzucone kartki przykryły wzorzysty afgański dywan.

Porządkowanie dokumentów skończył późnym wieczorem, nie położył się jednak, zmęczony swądem spalenizny dochodzącym z za okien i zaduchem panującym, gdy okna się zamykało. Odprawił Mariannę i zapadł się w fotelu, z czasem pogrążając się w na pół świadomy letarg. Nigdy nie cierpiał na bóle głowy, teraz jednak czuł narastający ucisk w skroniach. Miał ochotę spakować walizki i pozostawić to miasto, posadę i Franza Thiedtkego, który oczekiwał pomocy, a nie potrafił dotrzymać obietnic. Joseph Krupke czuł zniechęcenie i zmęczenie, choć nie wynikało ono z wydarzeń minionego dnia. Miał ochotę uciec i jak komisarz Thiedtke stracić pamięć, by odgrodzić się od przeszłości nieprzekraczalnym murem.

Pukanie do drzwi, najpierw ciche i nieśmiałe, potem coraz bardziej zdecydowane, przedostawało się powoli do jego rozkojarzonej świadomości. Krzyknął na służącą, która zawiązując pasek szlafroka, pobiegła otworzyć. Gdy Krupke podążył za nią, widok, który zobaczył, natychmiast wyrwał go z letargu.

– Do diabła, co wy tutaj robicie?! – Odepchnął Mariannę i zamknął szybko drzwi wejściowe. – Co wy tutaj robicie? – powtórzył. – Marianno, herbaty zrób!

Helena Kamieńska i Franz Thiedtke wyglądali na wyczerpanych. Komisarz miał na sobie płaszcz ubrudzony mokrą ziemią, która oblepiła rękawy. Spod płaszcza wystawały spodnie od pizamy, nie dość długie, by zakryć kostki u nóg.



– Panie Krupke, wiem, że to nie jest stosowna pora – zaczął emerytowany policjant – ale chciałbym z panem porozmawiać i prosić pana o pomoc. Nie jest już potrzebne śledztwo, wszystko jest jasne i dlatego muszę... musimy wyjechać z Gotenhafen. Jest pan jedyną osobą, która może nam w tym pomóc. Jak najszybciej.

– Jak to wszystko jest już jasne? – Joseph Krupke przetaił oczy, zdjawszy okulary w drucianej oprawie. Bez szkieł jego oczy były małe i wąskie.

– Wszystko już pamiętam. Jeśli zgodzi się pan nas wywieźć z miasta, opowiem panu po drodze. Myślę, że pana też to zaciekawi, panie Krupke.

## ROZDZIAŁ

# 32

Poranek był chłodny i wilgotny. Nad gładką taflą jeziora nieruchomo zawisła gęsta mgła, która nikła w zderzeniu z brązowiejącymi drzewami porastającymi brzegi. Wokół było cicho. We wsi po drugiej stronie jeziora nie widać było żadnego ruchu, jakby wszyscy mieszkańcy przyczaili się we wnętrzach swoich siedlisk z czerwonej cegły, rozłożonych na pagórku wznoszącym się łagodnie ponad taflą wody.

Franz pomyślał, że taki poranek byłby idealny, by rozłożyć drewniany stołek i zarzucić wędkę. O tej porze roku najlepiej brały drapieźniki, szczupaki i sandacze, które łowił w płytkich przybrzeżnych wodach Ostsee. Kiedyś regularnie wędkował, nad wodą odnajdując oczyszczenie po tym, co zwykle oglądał w czasie swej pracy w policji kryminalnej. Czasem, trzymając w ręku wędkę, już starą i sfatygowaną, bo łowił nią od kilku dziesięcioleci, zapominał o węgorzach, linach i leszczach, które można było złowić w Motlau, przywoływał za to w pamięci skrawki rozwiązywanej właśnie sprawy, składał je w całość, nieoczekiwanie odnajdując właściwą odpowiedź. Niekiedy wpadał na nowy trop, który ostatecznie doprowadzał go do rozwiązania. Tak, bez wątpienia wędkarstwo mu pomagało; w moczeniu kija, jak nazywała to Waltraud, nie rozumiejąc, choć akceptując jego pasję, znajdował oczyszczenie, to katharsis, którego opis

czytał u któregoś z dawnych mistrzów, choć nie był pewien u kogo, bo nie bardzo znał się na filozofii. Wiedział, że lepiej od niego znał się na niej Joseph Krupke – widział przecież nieraz, jak jego asystent czytał Nietzschego i Heideggera. Teraz jednak problemy egzystencji na poziomie abstrakcji nie były ważne. Teraz chodziło o elementarne przetrwanie.

– No dobrze. – Krupke spojrział w lusterko, w którym odbijała się zmęczona twarz Heleny Kamieńskiej. Kobieta spała. – Przywiozłem was tutaj, teraz czekam na wyjaśnienia – zwrócił się do siedzącego na fotelu pasażera Franza Thiedtkego.

Stary komisarz wysiadł z samochodu i stanął nad samym brzegiem jeziora. Z kieszeni płaszcza wyjął wymiętą paczkę papierosów i zapalił jednego. Papierosy były wilgotne, czuł tę wilgoć w ustach. Krupke stanął obok.

– Pamięta pan moją ostatnią sprawę? – Głos komisarza Thiedtkego był w porannej mgle matowy i słaby. Krupke skinął głową. – Sprawę tej Polki, której ciało znaleziono na molo w Glettkau? – Krupke znów przytaknął. –

No cóż. Ta sprawa nie skończyła się odłożeniem do akt. Odsunięto mnie od niej, ale nie dawała mi spokoju. Ta dziewczyna, Lotte Meier, asystentka w naszym prezydium, podejrzewała, że w tej sprawie coś jest nie tak. Poprosiła mnie o pomoc. I wie pan? Miała rację. Okazało się, że tą topielicą wcale nie była ta Polka, ale jakaś panienka, rozumie pan, z Hakelwerku. –

Franz zamilkł na chwilę, patrząc przed siebie ponad głową Josepha Krupkego.

– Nie rozumiem, po co mi pan to opowiada, komisarzu. Jaki to ma związek z morderstwem, o które oskarżają pana? – Krupke wydawał się poirytowany. Wybrał to miejsce, by mieć pewność, że nikt nie zobaczy go z Franzem Thiedtkem, jednak obawiał się, że ktoś przypadkowo może ich dostrzec i donieść, o czym szybko dowiedzą się na Steinbergu.

– Pamięta pan Sturmbannführera Heinricha Auerbacha?

– Tak, jakiś czas temu awansował. Jest teraz Obersturmbannführerem.

– Oczywiście, panie Krupke. Oczywiście. Wie pan, że to on był prawdziwym mordercą w tamtej sprawie? To znaczy nie on sam zabił, nie, tacy jak on nie brudzą sobie niepotrzebnie rąk. Ale decyzja... Decyzja była jego. I rozkaz.

– W dzisiejszych czasach jedno życie nie ma znaczenia, panie komisarzu. Sprawa wymaga wielu ofiar.

– Do diabła, panie Krupke! Niech pan siebie posłucha! – Franz z wściekłością rzucił na ziemię niedopałek, który zgniótł podeszwą buta. –

Każde życie ma znaczenie! Niech pan zmieni zestaw swoich filozoficznych lektur! Nadal wierzy pan w tę ułudę? W ten makabryczny pomysł stworzenia lepszego człowieka przez zgładzenie tych, którzy nie są w stanie osiągnąć ideału?

– Panie komisarzu, nie rozumiem zupełnie, co to ma wspólnego z morderstwem w Adlershorst. Jeżeli mi pan tego nie wyjaśni, wracam do Gotenhafen, by zawiadomić o miejscu pana pobytu.

Franz przyglądał się w milczeniu swemu dawnemu asystentowi. Po jego twarzy przebiegł cień uśmiechu, czający się w zmrużonych oczach, ukryty w kącikach ust, które nawet się nie uniosły, choć Krupke wyraźnie ów uśmiech dostrzegł.

– Ta Polka była kochanką Sturmbannführera Auerbacha. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że on zrobił z niej swoją agentkę, ona zaś rozszerzyła swoją działalność i była też agentką Polaków. Kiedy było wiadomo, że wybuchnie wojna, on pomógł jej w ucieczce z Danzig, a sam upozorował jej morderstwo, żeby wszelki ślad po niej zagaął. Nie chciał, by ktokolwiek grzebał w jej przeszłości. Romans z Żydówką nie był w dobrym tonie, prawda?

– Ona była Polką... przecież.

– Jej ojciec był Polakiem. Matka była niemiecką Żydówką. Za taki romans Sturmbannführer pewnie nie dostałby swojego awansu. Poza tym wydaje mi się, że ona nie była mu obojętna, a romans był efektem, a nie założeniem. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– No dobrze. Ale co z tym ma wspólnego morderstwo w Adlershorst? To Alois Richter zamordował tę panienkę z Hakelwerku?

– Nie, ale widzę, że zmierza pan we właściwym kierunku. Auerbach był świadomy, że Lotte Meier i ja wiemy, że to on stał za tym morderstwem. Polacy pomogli uciec Lotte z Danzig, ale dziewczyna nie miała szczęścia. Nie zdążyła wyjechać z Gotenhafen. Złapali ją i postawili przed sądem za zdradę. Wie pan, co robią ze zdrajcami... Poszedłem do Auerbacha, chciałem, żeby wyciągnął z tego Lotte... Prosiłem...

– Szantażował go pan?

– Prosiłem. To on wszystko zaaranżował, to on wciągnął w to Lotte. Dziewczyna nie była niczemu winna, pogubiła się w tym wszystkim. Była przerażona, ale postanowiła poznać prawdę. Auerbach nic nie zrobił, a ona skończyła tak jak wszyscy zdrajcy. Ścięta toporem. Podobno jesteśmy najbardziej nowoczesnym państwem na świecie, panie Krupke. Mamy wspaniały naród i nowoczesne poglądy. A ciągle utrzymujemy katów. Pluton egzekucyjny nie jest dla wybranych.

Franz zapalił drugiego papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Pyta pan o związek między tamtymi wydarzeniami a morderstwem Aloisa Richtera? To bardzo proste, panie Krupke. Odkąd poszedłem do Heinricha Auerbacha, żeby prosić go o ułaskawienie Lotte, on bał się, że ujawnię jego tajemnicę. Groził mi wielokrotnie, a potem wysłał samochód, który przejechał moją biedną Waltraud. – Krupke przypalił sobie palce dopalającym się papierosem. Nerwowo strząsnął popiół z dłoni. – Pan

o tym nie wiedział, przysyłając tę kobietę, która podała się za moją żonę, prawda? To było całkiem zmyślne sprawdzenie mojej pamięci, panie Krupke. I nie wydałoby się, gdybym nie pojechał do Langfuhr, tak jak się umówiliśmy. Ale teraz to nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, że Auerbach podstawiał tamtego człowieka, którego spotkaliśmy z Aloisem w hotelu w Adlershorst. Urzędnik z Berlina. Tak się przedstawił. Jego twarz wydawała mi się znajoma. Miał zabić nas obu. Alois był ważną figurą, ja miałem zostać obciążony jego zabiciem. A jako trup nie mógłbym się bronić. Tak, Auerbach jest mistrzem w wymyślaniu takich historii. Pozbyłby się mnie, a jednocześnie na zawsze zrobiłby ze mnie mordercę.

– Panie komisarzu, jest pan pewien swoich słów? To poważne zarzuty.

– Panie Krupke, przecież sam pan powiedział, że czasy wymagają ofiar. Życie pojedynczego człowieka nie ma znaczenia. Nikt nie przejmie się śmiercią mordercy, choćby wcześniej miał wspaniałą opinię sumiennego stróża prawa. Nikt nie przejmie się też śmiercią człowieka, który sam zamordował wielu innych, choć wszyscy uważają, że robił to w słusznej, jak pan to powiedział, sprawie. Zatem śmierć Aloisa Richtera i Franza Thiedtkego nie miała znaczenia. I tak by było, gdyby ten nedorobiony zabójca nie spartolił sprawy i nie dał mi za mało hexobarbitalu. Miał chyba nadzieję, że dodatkowo weronał z machandlem pomogą mi w szybkim przejściu na tamten świat, ale skończyło się tylko amnezją.

– Skąd pan to wie, pani komisarzu? Przecież dopiero zaczął pan zbierać dowody...

– Panie Krupke, teraz nieważne są dowody i śledztwo. Muszę się ukryć gdzieś razem z doktor Kamińską. Ona też nie może już wrócić do Gotenhafen. Mam nadzieję, że wojna się skończy. Widział pan wczorajszy nalot? Już nie jesteśmy niepokonani. – Franz rozchylił lekko płaszcz, pod

którym miał jedyny pulower, jaki służąca Marianna znalazła w szafie komisarza Krupkego. – Dziękuję, że dał mi pan swoje ubrania.

– To nie mnie powinien pan podziękować, a mojej służącej. Ona na to wpadła. Choć na co dzień nie jest zbyt bystra.

Komisarz Thiedtke skinął tylko w milczeniu głową. Kiedy zobaczył w drzwiach mieszkania przy Gotenstrasse służącą Josepha Krupkego, choć była w niedbale zawiązanym szlafroku, a na twarzy brak było starannie wykonanego makijażu, który nadawałby jej odpowiedni charakter, od razu rozpoznał dziewczynę z fotografii. Nie miała tamtej idealnej twarzy, jej dłonie nosiły ślady pracy, którą wykonywała jako służąca, a cała sylwetka, pozbawiona dawnej lekkości i dumy, była przygarbiona i ciężka, jednak Franz był pewien, że nieoczekiwanie po latach stanął twarzą w twarz z tamtą Marianną. Po wybuchu wojny wszelki słuch o niej zaginął, choć wiedział, że Heinrich Auerbach usiłował ją odszukać, zwłaszcza gdy w Warschau odnaleziono dokumenty polskich agentów działających w Danzig. Ale nikt nie trafił na ślad Marianny Walewicz, dzięki czemu nie dostała się pod topór nazistowskiego kata. Komisarz z nikłym uśmiechem pomyślał, że przez te wszystkie lata Marianna była tak niedaleko, jednak nikt jej nie rozpoznał, bo czyż w prostej służącej można doszukiwać się tamtej wyrafinowanej córki znanego antykwariusza? Przewrotne. Tej przewrotności musiała zapewne nauczyć się od Auerbacha, choć tak naprawdę Franz nigdy się nie dowiedział, czy panna Walewicz wiedziała o planie zabicia dziewczyny, której jedyną winą było podobieństwo do niej. Nie odezwał się jednak słowem, nie dając poznać, jak silne wrażenie wywarło na nim to nieoczekiwane spotkanie, bo tym razem postanowił nie mieszać się tak, jak zrobił to, by pomóc Lotte, i pozostawić Mariannę tam, gdzie była najwyraźniej bezpieczna, choć tuż pod nosem samego gestapo z Gotenhafen.

– Tak, niech pan podziękuje swojej służącej. Miła dziewczyna – powiedział.

– Tak, miła, chociaż słabo mówi po niemiecku. – Krupke wyrzucił do jeziora tłący się jeszcze niedopałek. – Co więc pan zamierza, komisarzu?

– Rozpłynąć się tutaj, na Kaszubach. – Franz rozejrzał się wokół. – A pan niech wraca czym prędzej do Gotenhafen i zapomni o wszystkim dla swojego dobra. Tylko na Obersturmbannführera Auerbacha niech pan uważa, bo z pewnością to nie koniec tej sprawy.

– A ona? – Krupke kiwnął głową w stronę samochodu, w którym spała Helena.

– Ona chciała pomóc swojemu pacjentowi, a wpadła w to po samą szyję. Nie ma wyjścia, też musi uciekać. Tuż przed nalotem przyszło po nią gestapo.

– Ale mówiła, że czeka w Gotenhafen na męża. Dlatego nie wyjechała.

– Panie Krupke, przecież pan doskonale wie, że on nie wróci.

Joseph Krupke podniósł kołnierz swego skórzanego płaszcza. Wilgoć poranka i chłód znad jeziora przenikały do szpiku kości. Franz wyciągnął w jego stronę rękę. Krupke uścisnął ją bez słowa.

– Heleno, obudź się. Już czas. – Komisarz Thiedtke otworzył tylne drzwiczki auta i delikatnie potrząsnął ramieniem śpiącej kobiety. – Już czas – powtórzył, gdy otworzyła oczy. Wyjął leżącą obok walizkę i pomógł jej wsiąść.

Ciszę przeciął warkot uruchamianego silnika. Patrzyli, jak samochód powoli okrąży jezioro, wspina się na pagórek po drugiej stronie i wreszcie niknie wśród łagodnie pofalowanych wzgórz.

– Powiedziałaś mu, co zamierzamy zrobić dalej? – zapytała Helena.

– Nie, oczywiście, że nie. – Ruszyli piaszczystą drogą w przeciwną stronę. – To byłoby nierozsądne i niebezpieczne. I dla nas, i dla niego. Czy



to daleko stąd?

– Pieszko mamy spory kawałek. Opowiedziałeś mi, co się naprawdę wydarzyło?

– Tak.

– To może teraz opowiesz i mnie?

– Oczywiście, Heleno. Chodźmy, opowiem ci po drodze.

## ROZDZIAŁ

# 33

To nie mieściło się w jego planie. Jego plan w ogóle runął. Wszystko poszło nie tak, jak zaplanował, i zupełnie nie wiedział dlaczego. Bo jego plany zawsze się realizowały. Zawsze potrafił tak wszystko zaaranżować, by scenariusze ułożone w samotne wieczory, gdy pozostawał sam na sam z butelką koniaku, dawało się odegrać do końca. Nigdy nie miał też problemu, by skłaniać ludzi do tego, aby postępowali tak, jak to sobie wymyślił. Posiadał tę zdolność, odkąd pamiętał. Początkowo wykorzystywał ją dla zabawy. Manipulował ludźmi, by się rozerwać, potem, by wykorzystać ich do własnych celów. Z czasem umiejętność realizowania intryg pomogła mu zrobić karierę. Czuł się jak budowniczy, który tworzy misterne labirynty, by potem niewidzialną ręką prowadzić przez nie niczego nieświadomych uczestników własnego planu. To była intelektualna gra, czasem zabawa ludzkim losem, czasem zawodowa konieczność, zawsze jednak sprawiała mu przyjemność, bo kiedy przyglądał się swojemu dziełu, czuł dreszcz emocji i podniecenie, które pchały go do tego, by tworzyć kolejne intrygi. I zawsze je realizował. Nigdy nic ich nie popsuło. A teraz wszystko było nie tak, jak miało być. Czy dlatego, że stracił czujność?

A może pomylił się i wybrał do realizacji swoich celów niewłaściwych ludzi? Może to oni byli winni? Tym razem wszystko wymknęło mu się spod kontroli i to od pierwszej chwili. Miało być zupełnie inaczej, prosto, bez żadnych problemów. Tymczasem kłopoty pojawiły się od razu i każdego dnia coś go zaskakiwało. Ciągłe musiał zmieniać, modyfikować, a potem jego przewidywania i tak rozsypywały się niczym zamek z piasku. To doprowadzało go do furii, bo nikt nigdy nie był tak nieprzewidywalny i krnąbrny w działaniu, jak ten przeklęty Franz Thiedtke.

W trzydziestym dziewiątym nie sądził, że komisarz Thiedtke wplącze się w sprawę M., jak w myślach określał swój plan pomocy Mariannie w ucieczce z Danzig. Uważał, że ten plan był genialny w swej prostocie, jej dawał nowe życie, a jego pozbawiał ewentualnych zarzutów o romans z Żydówką, która współpracowała z polskim wywiadem. Obydwoje mieli więc osiągnąć same korzyści, no, może z wyjątkiem Jutty Buschke, ale przecież nie mógł roztkliwiać się nad życiem, które i tak nie miało w sobie nic wartościowego. To raczej rola, jaka prostytutce z Hakelwerku przypadła w jego planie, była jedynym elementem jej życia, który miał w sobie jakiś sens.

Sprawa miała zostać załatwiona szybko i równie szybko zamknięta. W sierpniu trzydziestego dziewiątego w Prezydium Policji przy Karenwall zajmowano się już ważniejszymi sprawami niż pojedyncze morderstwo Polki, której zwłoki wyłowiono przy molo w Glettkau. Ułożył wszystko tak, by sprawa była jasna, oczywista od samego początku, by nie było dochodzenia, świadków i dowodów. Zeznania Lotte Meier miały zamknąć całość w ciągu jednego dnia. Tymczasem pojawił się Franz Thiedtke, nudny komisarz Thiedtke, który zamiast urządzać sobie nowe życie na emeryturze, postanowił ostatni raz zabawić się w detektywa.

Początkowo nie myślał o tym, by się go pozbyć. Zajęty sprawami, które miały dopiero nadejść, nie zajmował się ani komisarzem Thiedtkem, ani Lotte Meier. Jednak szybko zorientował się, że komisarz prowadzi własne śledztwo, węszy, wypytuje, wciska się tam, gdzie nie powinien, a do tego spotyka się pokątnie z panną Meier. Potem jednak Lotte uciekła, a komisarz zniknął, pierwszego września przeszedł na emeryturę. Zresztą we wrześniu i tak nie miał czasu, by się nim zająć. I już właściwie sądził, że sprawę może zamknąć, gdy stary Thiedtke znowu się pojawił. Nie był nachalny ani napastliwy, przyszedł jako dawny policjant z Karewall, jak spokojny emeryt, z wizytą do młodszego kolegi, którego chciał prosić o małą przysługę. Nie miał pojęcia, skąd wiedział, że złapali Lotte Meier i oskarżyli ją o szpiegostwo. W każdym razie chciał, by wydobył ją z więzienia i oczyścił z zarzutów. Zastanawiał się tylko, dlaczego tak mu na tym zależało. Tak bardzo, że posunął się w końcu o krok za daleko.

„Przecież dobrze pan wie, że Lotte Meier była tylko pionkiem w tej sprawie, że jej prawdziwi bohaterowie są zupełnie inni. I mają o wiele więcej do stracenia, gdyby rzecz wyszła na jaw. Proszę więc jeszcze raz rozważyć moją prośbę”. Ciągle pamiętał słowa, które wypowiedział wtedy Franz Thiedtke, choć minęły już prawie trzy lata. Nie, nie wystraszył się. Raczej poczuł złość, bo nie lubił takich historii. Poza tym ten komisarz emeryt naprawdę działał mu na nerwy.

Dlatego osobiście dopilnował, by Lotte Meier stanęła przed gdańskim sądem, który oskarżył ją o szpiegostwo. Doktor Smauser, który przewodniczył rozprawie, był rozsądny i sprawnie załatwiał podobne sprawy. Lotte dostała karę, której oczekiwał, i trafiła w ręce kata z Königsbergu. Kiedy Franz Thiedtke pojawił się u niego ponownie, było już po wszystkim. Nie sądził, by ta historia miała swój dalszy ciąg. Kiedy z sarkazmem przyuczajonym w protekcjonalnym tonie mówił, że nie był

w stanie nic zrobić, bo oskarżenie okazało się najcięższe z możliwych, a w takich sytuacjach sąd Trzeciej Rzeszy nie przewiduje ułaskawień ani nawet zamiany kary na pobyt w obozie, myślał, że spotka się z niezadowoleniem, z trzaśnięciem drzwiami, z zaciśniętą pięścią. Kiedy więc Franz Thiedtke poczerwieniał na twarzy i powiedział: „Szkoda, wielka szkoda. Bo teraz już zawsze będzie pan wiedział, że ja wiem” – nie przejął się. To była chwila małego tryumfu, przewrotnego zwycięstwa, które dało mu krótkie poczucie wyższości. Małe zwycięstwo nad człowiekiem, którego miał ochotę się pozbyć, choć wówczas nie myślał jeszcze, że to okaże się konieczne. Bo Franz Thiedtke zrobił to, czego się po nim nie spodziewał. Zaczął go nękać listami, w których pisał tylko jedno słowo: „Pamiętam”. Zapisane starannym pismem na bileciku włożonym w paczkę mocnego tytoniu przynoszonego umyślnym z delikatesów Friedricha Grossa przy Altstädtischer Graben. Najpierw pomyślał, że stary komisarz zwariował, z czasem jednak czuł coraz większą irytację. W końcu zdecydował się na rozmowę. To w jej trakcie doszedł do wniosku, że musi zamknąć komisarzowi usta, by rzeczywiście nie mieć większych problemów. Był wściekły, a wściekłość mieszała się z pogardą dla człowieka, który wśród przedwojennych pracowników prezydium ciągle uchodził za wzór policjanta, profesjonalistę, który nie musiał udowadniać swych racji za pomocą pistoletu. Kiedy więc spotkał przypadkiem Obersturmführera Richtera, który przyjechał na krótko do Danzig, przyszedł mu do głowy plan.

„Pamięta pan naszego starego Franza Thiedtkego? Dziwak, to prawda, ale poczciwy. Mieszkam na letnisku, w hotelu w Adlershorst. Może przyłączy się pan do nas jutro wieczorem? Planujemy miłe kameralne spotkanie” – głos Aloisa Richtera niósł się donośnym echem pod wysokimi

sklepieniami korytarzy przy Neugarten. Podziękował, uprzejmie odmawiając.

Rottenführer Grabeck był jednym z jego najbardziej zaufanych ludzi. Choć dorosłe życie rozpoczął jako pomocnik szewca w St. Albrecht, był ambitny i z czasem nabrał ogłady, która w połączeniu z jego powściągliwą aparycją dawała całkiem porządne wrażenie. Potrafił też trzymać język za zębami, a ambicja popychała go do czynów, których inni nie zawsze chętnie się podejmowali. Chciał zajść wysoko i miał nadzieję, że on mu w tym pomoże. Dlatego był lojalny. I dlatego właśnie jego wybrał do tego zadania.

Należało działać szybko. Grabeck, ubrany w cywilny garnitur, pojechał do Adlershorst i zameldował się jako Hans Toth z Hamburga. Pozostawił mu wolną rękę co do metody, miała być tylko skuteczna i Franza Thiedtkego obarczać całą winą. Ten człowiek zirytował go tak bardzo, że postanowił, iż najlepszą zemstą będzie nie tylko usunięcie go z tego świata, ale ostateczne zniszczenie reputacji, którą przez lata pracy zyskał. Dlatego postanowił, że nie zabije Franza Thiedtkego tak po prostu, w banalny sposób kazać jakiemuś prymitywnemu SS-manowi zastrzelić go bez zbędnego zamieszania. Z przyjemnością pomyślał, że usunie go też z ludzkiej pamięci, bo nikt nie będzie wspominał zalet policjanta, który nie dość, że okazał się mordercą, to w dodatku zabił kogoś tak zasłużonego jak Alois Richter. Grabeck miał to załatwić inteligentnie i bez świadków. Skutecznie. Tymczasem wszystko zepsuł. Następnego ranka oczekiwał telefonu od Grabecka. Ale telefon milczał. Zaczął mieć złe przeczucia. Kiedy zadzwonił do Prezydium Policji w Gotenhafen, by pod pretekstem kontaktu z Obersturmführerem Richterem dowiedzieć się, czy jest już po wszystkim, okazało się, że Alois Richter rzeczywiście nie żyje, ale Franza Thiedtkego, znalezionego w jednym pokoju hotelowym z denatem, zatrzymano i zamknięto przy Hafenstrasse.

Nie czekał, aż przy Neugarten zjawi się Rottenführer Grabeck i wytłumaczy, co się stało, tylko natychmiast kazał zawieźć się do Gotenhafen, by pod jakimkolwiek pretekstem przejąć Franza Thiedtkego. Na miejscu dowiedział się, że komisarz faktycznie został zamknięty w areszcie, jednak twierdzi, że nic nie pamięta. Kiedy zażądał widzenia z aresztowanym, zasapany wachman zameldował, że ów Thiedtke wpadł w szal i leży teraz nieprzytomny w swojej celi. Był wściekły, bo oto drugi już raz w ciągu jednego dnia musiał zmieniać swój plan, który na jego oczach walił się w gruzy, choć nie zdawał sobie sprawy, że to dopiero początek kłopotów.

Komisarz leżał na podłodze, zakrwawiony i brudny, z twarzą w siniakach, które dopiero nabierały ciemnej barwy. Wydał wachmanowi rozkaz, by wezwano lekarza z najbliższego szpitala przy Litzmannplatz i poszedł do Sturmbannführera Helmutha Müllera, aby oznajmić, że gdańskie gestapo przejmuje śledztwo.

Wydobycie Franza Thiedtkego ze szpitala było prostą formalnością. Był już przecież podejrzany o zabójstwo polityczne. Oczekując na niego w swoim gabinecie przy Neugarten 27, popijał wolno koniak, z zadowoleniem wyobrażając sobie twarz komisarza, gdy skutego w kajdanki, pozbawionego godności niemieckiego policjanta przyprowadzą do niego. I właśnie wtedy zadzwonił telefon. Z posterunku policji w Adlershorst zawiadamiano o wypadku, który zdarzył się na szosie do Zoppot. Kierowca służbowego auta zginął, dwaj oficerowie byli ciężko ranni, czwarty mężczyzna zaś prawdopodobnie zbiegł. W każdym razie świadkowie nie zauważyli, gdy się oddalał.

Kolejne dni były walką wściekłości z chłodną kalkulacją. Plan zupełnie się rozpadł, komisarz Thiedtke zniknął, a on miał ochotę wysłać kilka oddziałów gdańskiego SS, by przeczesać całe Gotenhafen, dom po domu,

ulica po ulicy, bo wiedział, że komisarz gdzieś tam jest, śmieje się z niego i pamięta. Potem jednak górę brał pozbawiony emocji rozum, który podpowiadał, by poczekać, przyczaić się i pozwolić Franzowi Thiedtkemu poczuć się bezpieczniej, bo wtedy szybciej popełni błąd, przekonany, że niebezpieczeństwo minęło.

Okazało się, że miał rację. Kiedy odebrał telefon od Johanny Gruber, pogratulował sobie decyzji. Humoru nie zepsuł mu nawet fakt, że nie udało się zdążyć do Langfuhr, zanim Franz Thiedtke odjechał. Znał przecież numer samochodu, którym się poruszał, więc teraz wystarczyło odwiedzić jego właściciela. Chłopak był uparty, Mirecka szybko stała się bezwartościowa, za to Mirecki okazał się pomocny, wystarczyło wymienić imię córki.

Kiedy jechali wczesnym rankiem do Oxhöft, naprawdę miał dosyć tej historii. Kiedy nie udało się znaleźć Franza Thiedtkego pod wskazanym adresem, od razu kazał wszystkich mieszkańców wysłać do obozu w Stutthoff. A w szpitalu przy Litzmannplatz? To było najbardziej upokarzające. Miał już w swoich rękach tę polską lekarzkę. Już wyobrażał sobie, jak dokładnie wyjaśnia mu, co wydarzyło się z komisarzem. A potem stało się to, czego nigdy by nie przewidział. Aliancki nalot. Ci przekłęci, cholerni wyspiarze nie mogli wybrać sobie gorszego momentu. Nie miało dla niego znaczenia to, że zniszczyli miasto i port, że nagle okazało się, iż Gotenhafen też nie jest bezpieczne, że nie tylko porty na zachodzie Rzeszy, gdzie samoloty z Anglii dolatywały bez problemu, ale i oddalony o setki kilometrów port nad Ostsee nie daje już bezpieczeństwa.

Kiedy siedział wieczorami samotnie nad butelką koniaku, zamknięty w swoim gabinecie przy Neugarten, myślał czasami, co zrobi, jeśli wojny jednak nie uda się wygrać, a porządek, któremu się poświęcił, nie przetrwa dłużej niż do momentu kapitulacji. Czy wtedy Franz Thiedtke wystąpi, by



oskarżyć go o zabójstwo Jutty Buschke? Czy domyśli się, że wypadek jego żony to był akt czystej zemsty? Opowie o Lotte Meier? Może zeznania Marianny pomogłyby mu przed sądem? Ale nie miał pojęcia, gdzie jest Marianna, i był przekonany, że już nigdy jej nie spotka. Dlatego wiedział, że musi odnaleźć komisarza Franza Thiedtkego i usunąć go ze swej drogi. Choćby miał szukać do ostatniego dnia wojny. Do ostatniego dnia swego życia. Nie mógł wybaczyć mu tego, że jako pierwszy wyłamał się, nie poddał manipulacji, okazał się tak nieprzewidywalny, że cały plan poszedł na marne, nie zadziałał, a on czuł się ośmieszony. On. Sam Obersturmbannführer Heinrich Auerbach.

## ROZDZIAŁ

# 34

Alois Richter nie był człowiekiem, którego śmierci należałoby żałować. Ale wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Był moim znajomym z czasów, gdy pracowałem w Prezydium Policji. To nie były łatwe czasy, bo w mieście rządzą już Arthur Greiser i gauleiter Forster. Alois też był w NSDAP, ale w prezydium to było normalne. Kiedy zaczęła się wojna, miałem nadzieję, że ucieknę od tego wszystkiego. Myślałem, że jestem już dość stary, by nie przejmować się tym, co dzieje się wokół mnie, że świat nie ma już dla mnie znaczenia, teraz liczy się tylko moje własne życie. Planowałem przeprowadzkę do Langfuhr i marzyłem o świętym spokoju. A Alois włączył się w to, co działo się w Danzig, a potem w Gotenhafen. Zawsze był ambitny. To, że przysłali go do Danzig, traktował jako zsyłkę, po Berlinie była to daleka prowincja. Ale kiedy stało się jasne, że to jest miejsce, w którym Tysiącletnia Rzesza ma do odegrania szczególną rolę, wykorzystał okazję i postanowił zrobić karierę. Opowiedział o tym, kiedy siedzieliśmy w jego pokoju hotelowym w Adlershorst. Był już z nami ten mężczyzna, inżynier z Hamburga na urlopie. Tak się przedstawił. Przysłał nam do stolika butelkę koniaku. Dziwnym trafem tego wieczoru znaleźliśmy się na tym tarasie tylko my i on, sam przy stoliku.

Alois lubił towarzystwo. Kiedy kelner przyniósł koniak, zaprosił go do nas. Nazywał się Hans Toth. Zabawne. Pomyślałem, że jego przodkowie pochodzą z Węgier. Toth to węgierskie nazwisko. Chyba... Tak pomyślałem. Kiedy szliśmy na górę, do pokoju Aloisa, nie sądziłem, że o to chodzi. Że to tylko wymyślone nazwisko, że to będzie ostatnia twarz, którą mam zobaczyć przed śmiercią. Koniak zrobił swoje, w głowach nam zaszumiało. Alois miał w pokoju machandla. Powiedział, że Hans Toth z Hamburga nie może wyjechać, nie spróbował machandla. Hans Toth kazał zrobić kolację, ten chłopak z Kielau przyniósł ją nam do pokoju. Była już północ, pamiętam, że spojrzałem na zegarek. Toth narzekał, że ma nudną pracę w jakimś biurze, nie wzięli go do wojska, bo chorował kiedyś na gruźlicę i ta gruźlica nie została do końca wyleczona. Tak mówił. Marzyło mu się burzliwe życie, ale mógł tylko biernie godzić się na upływ czasu. Namawiał nas do zwierzeń i nalewał kolejne kieliszki machandla. Nie zwykłem opowiadać o swojej pracy, to tajemnica służbowa i ja przestrzegam jej nawet po wielu latach od zakończenia śledztwa. Od zakończenia służby w policji. Ale Alois z każdym kieliszkiem był coraz bardziej rozmowny. Najpierw opowiedział o swoim dzieciństwie w Reichenbergu. Przechwalał się, że już wówczas znał Konrada Henleina, z którym utrzymywał przyjacielskie kontakty nawet wtedy, gdy ten został gauleiterem Sudetenlandu. Potem opowiadał o swojej znajomości z gauleiterem Forsterem i spotkaniach w Wordel, o planowaniu budowy obozu w Stutthof i o tym, jak powstawały listy, na których mieli znaleźć się wszyscy niebezpieczni Polacy. Opowiadał o tym wszystkim, od czego ja próbowałem uciec, a Hans Toth dolewał mu machandla i zachęcał głośno, by opowiadał dalej. Kiedy Alois zaczął opisywać działalność Einsatzkommando, w którym znalazł się jesienią trzydziestego dziewiątego, wytrzeźwiałem.

„No, nie byliśmy na to przygotowani – mówił. – Kiedy doktor Tröger powiedział, że trzeba sprzątnąć polską inteligencję, myślałem, że wyślemy ich do obozów, a tam, prędzej czy później, sami się wykończą. Ale okazało się, że chodziło dosłownie o sprzątnięcie, i to my, Einsatzkommando 16, mieliśmy to zrobić. Przynajmniej tutaj, na Pomorzu, w Danzig, w Gotenhafen. No, nie wszyscy mogli to znieść, bo zrobiła się jatka. Kiedy zorientowałem się, co się tak naprawdę dzieje, było za późno. Piłem, żeby to przejść. Myślałem, że jak to się skończy, to wrócę do Reichenbergu, do rodziny. Sumienie, rozumiecie panowie, sumienie jeszcze działało... Ale kiedy wszystko dookoła pogrąża się w szaleństwie, to nikt już nie zauważa, że to szaleństwo. Bo to szaleństwo staje się normą, a nie normalność. Wiecie, o czym mówię? Nie, skąd wy możecie to wiedzieć... Ty, Franz, uciekłeś na emeryturę, no, przepraszam, nie uciekłeś, a zostałeś odesłany, ale ty nigdy się nie włączyłeś w budowanie naszej Rzeszy, co, Franz?” – Alois pochylił się nade mną, był już bardzo pijany. Stracił chyba kontrolę nad sobą, bo potem zwrócił się do naszego gościa i mówił dalej: „A pan, Hans? Nie wygodniej siedzieć z boku i narzekać, że się nie może uczestniczyć w tym, co się dzieje? A potem posłuchać, co mówi stary SS-man? I okrzyknąć go bohaterem? Bo przecież byliśmy bohaterami. Przynajmniej tak nam mówili. Pierwsza linia walki z zagrożeniem. Z wrogiem. My, Einsatzkommando doktora Trögera”.

Tutaj Alois uderzył się z dumą w pierś, czknął, a potem usiadł i nalał sobie kolejny kieliszek. Wypił, chociaż naprawdę miał dosyć. Potem wstał i podszedł do okna. Zataczał się, potykał o meble. A ten Hans wziął butelkę, nalał wszystkim następną kolejkę, jeden kieliszek podsunął mnie, a z drugim podszedł do Aloisa. I on znowu wypił. A potem odwrócił się od okna i wyglądał, jakby zaraz miał paść trupem. Ale zamiast tego zaczął wymachiwać rękami i krzyżeć: „Raz, dwa i strzał! Raz, dwa i strzał!

Groby były wykopane wcześniej. Jak ich przywoziliśmy, to zostawało tylko strzelić. Raz, dwa i już! Kolejny wpadał do dołu. Najlepiej było strzelać w głowę, to od razu zabija. Tylko robi się straszny bajzel. Nie znoszę tego widoku! Kawałki mózgu spadały mi na mundur. Obrzydliwe. I ten wrzask. Najbardziej darły się dzieci. Pytałem, po co je zabijamy, przecież można było zrobić z nich dobrych Niemców. Ale oni mówili, że nikt nie będzie się tymi bękartami zajmował. Nikt nie będzie ich wychowywał i uczył, co jest słuszne, a co nie. Łatwiej będzie się ich pozbyć. Ale na te najmniejsze szkoda było nabojów. Więc łapaliśmy je za nogi i łup! I łup! I łup! Od razu cichły. Straszne były ich matki. Jak to widziały, to rzucały się z wrzaskiem na nas. Ale nie one było najgorsze, chociaż jak się strzela z tak bliska, to krew chlapie na wszystkie strony. Mundur musiałem nowy zamówić”.

Alois podszedł do stołu i prosto z butelki wypił resztę machandla. „Najgorsze były te – ciągnął – które patrzyły na nas bez słowa i czekały tak, suki jedne, dalej bez słowa. Tylko patrzyły i między te oczy trzeba było strzelać. A potem jeszcze trzeba je było zawlec do dołu, żeby trupy nie zostały na wierzchu. No, nie mogłem na trzeźwo tego przejść. Wracalem do Neustadt i zapijałem się. Właściwie nie trzeźwiałem wtedy. Bo ile można brać w tym udział... Nawet jak się uważa, że to słuszne, że trzeba zabijać tych wszystkich ludzi, że te kobiety i dzieci są zagrożeniem dla wielkiego państwa, jakim jesteśmy. Co, panie Toth? Nie zgadza się pan ze mną? Uważa pan, że to bohaterstwo? Walka w pierwszym szeregu? Też chciałby pan brać w tym udział? Poczuć swoją siłę z pistoletem w ręku?” Zaczął wymachiwać wyimaginowaną bronią. „Jesteśmy panami świata! Mamy moc zabijania innych ludzi! Co, Franz? Nie bądź taki oburzony! Nie wzięłeś emerytury od życia, więc chyba wiesz, co się dzieje dokoła ciebie? Co, uważasz, że byliśmy mordercami? Że ja byłem mordercą? Mordercą z Gross Piasnitz?”

Nagle Alois osunął się na sofę, a kiedy upadał, to właściwie już spał. Od razu zaczął głośno chrapać. Ja miałem dość tej opowieści. Też byłem pijany, ale nie chciałem zostać w tym pokoju razem z Aloisem. Było mi niedobrze, chciałem wyjść na zewnątrz. Ale kiedy wstałem, Hans Toth powiedział, że zamówi jeszcze coś u tego chłopaka z hotelu, że jeszcze się napijemy, że po tej historii trzeba się jeszcze napić. Odpowiedziałem mu coś... że już nie mam ochoty czy już mi wystarczy... a on złapał mnie za ramię i zatrzymał. Powiedział, że to bardzo miły wieczór i właściwie dopiero się zaczął. Ja odpowiedziałem, że wieczór był miły, ale teraz mam już dość. On nie dawał za wygraną. Zaczęliśmy się szarpać. Wtedy zorientowałem się, że on wcale nie jest pijany. Musiał udawać, że pije, albo tak go wyszkolili, że ani koniak, ani machandel go nie ruszały. W tej szarpaninie upadłem i uderzyłem się w głowę. A jak otworzyłem oczy, on stał nade mną i z kieszeni wyjmował strzykawki. Jak zobaczył, że oprzytomniałem, odłożył jedną, a drugą wbił mi szybko w udo, przez spodnie. „To ci pomoże, panie komisarzu – powiedział. – Od Obersturmbannführera Auerbacha z pozdrowieniami”.

Czułem, jak wszystko się rozplywa. Nie rozumiałem, co się dzieje. Nie byłem w stanie analizować. Myślałem tylko o tym, że on chce mnie zabić, a ja nie mogę mu na to pozwolić. To nie może się tak kończyć, życie nie może się po prostu tak kończyć – tak myślałem. On sięgnął po drugą strzykawkę, ale się zatrzymał.

„Nie, najpierw popatrz sobie, czemu będziesz winien – powiedział do mnie i podszedł do śpiącego Aloisa. – Za zabicie Aloisa Richtera nie zostaniesz naszym bohaterem. Zapamiętają cię jako mordercę bohatera, panie komisarzu” – tak powiedział, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki nóż i wbił go Aloisowi prosto w serce, raz, ale dopchnął, dla pewności. Alois się obudził, zaczął szarpać, ale to trwało bardzo krótko.

„To dla ciebie, tchórze. Nie potrzebujemy takich jak ty”. Przytrzymał go kolanem. A potem wyjął ten nóż, przez chustkę włożył mi go do ręki. Sięgnął po drugą strzykawkę, podniósł mi rękaw i wbił o tu, w żyłę. Nie pamiętam, jak wychodził, bo po tym zastrzyku od razu straciłem przytomność.

A potem było już rano. Leżałem w pokoju razem z martwym Aloisem i zamiast sam być trupem, straciłem tylko pamięć. Obersturmbannführer Auerbach musiał być wściekły. Tak to właśnie wyglądało.

## OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

### POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387







# SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Izabela Żukowska, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana  
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana  
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie trzecie w języku polskim, Gdańsk 2020

Redakcja: zespół

Korekta: Marta Stochmiałek

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce:

© Fauxels / Pexels; Nattapol\_Sritongcom / Adobe Stock

ISBN 978-83-66899-27-8



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek